

EDMUND NIZIURSKI

LALU KONCEWICZ, BRODA I MIŁOŚĆ

I INNE OPOWIADANIA

3 0 03. 2004

18. 05. 2004

1 0 08, 2004

Projekt okładki: Paweł Kołodziejski

Opracowanie graficzne:

Anna Olek Jolanta Szczurek

Redakcja: Edyta Wygonik

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Zabrze

1 ZN. KLAS. ...

NR INW.

Z

© Copyright by EDMUND NIZIURSKI, Warszawa 2001

ISBN 83-7220-344-X

Wydawnictwo Zielona Sowa

30-103 Kraków, ul. Tatarska 9

tel./fax (012) 431 -14-63, tel. (012) 431 -18-44,

(012) 294-00-83, (012) 294-00-84

www.zielona-sowa.com.pl wydawnictwo@zielona-sowa.com.pl

Lalu Koncewicz, broda i miłość

K.

>oedukacja, proszę was, to rzecz męcząca. Chodziłem jedenaście lat do budy razem z dziewczętami i wiem coś niecoś o tym. Lalu Koncewicz może byłby innego zdania, ale Lalu Koncewicz nie chodził jedenaście lat z dziewczętami do jednej klasy, a poza tym Lalu Koncewicz to była jednostka wybitna i w ogóle typ nie z tej ziemi. W dziesiątej klasie uważaliśmy go za outsidersa i fuksa, ale teraz wiem z całą pewnością: Lalu Koncewicz to był geniusz. Być zaś geniuszem nie leżało zupełnie w naszym stylu. W naszym stylu leżało być i ównym chłopem i nie wyłazić na światło dzienne z duszą, czyli nie wybrzuszać się, proszę was.

W naszym stylu leżało także wyrażać głośno i kwaśno przekonanie, że nas/e dziewczęta są do luftu. Oczywiście, z wyjątkiem Eli Peremskiej. Ale Ela Pcremska... Na jej wspomnienie chłopcy z naszej klasy wykonywali znaczący ruch ramionami, w którym było tyleż podziwu, co bezradności.

Wiadomo. Nie mieliśmy szans. Ela nie chciała zadawać się z nami i darzyła nas lodowatą i niezłomną obojętnością. Ponieważ zaś znajdowała się pod zbrojną osłoną si-taczy z jedenastej, była bezwzględnie bezpieczna i niedotykalna i nie mogli-n iy nawet powetować sobie jej obojętności docinkami i kpina.

Natomiast poza Ela, jak zgodnie orzekliśmy, nie było twarzy. Same kozy i gęsi, czyli menażeria, jak to określił lakonicznie Jasio Nimbus. Wprawdzie chłopcy z męskiej szkoły im. Lindego zazdrościli nam babskiej połowy naszej I lasy i niejeden z tych osłów usiłował wykorzystać znajomość z nami, by zbliżyć do jakiejś kozy lub gęsi, ale my uśmiechaliśmy się tylko pobłaźliwie. \lv wiedzieliśmy najlepiej. Koedukacja to rzecz męcząca. Dziewczęta, chociaż nawel kozy i gęsi, istnieją i nie sposób darzyć je zimną obojętnością. Istnieją, I :ą w sąsiednich rzędach, mają okrągłe kolana, śmieją się, potrząsając wło-

-3-

mi... I choć się widzi, jak dukają przy tablicy, jak przy klasówkach gryzą :rwowo pióra, jak zajadają bułki z serem na dużej przerwie, jak się kłócą yygłupiają, to przecież nie przestają być dziewczynami. Każą myśleć o sobie gdzieś w głębi duszy budzą niepokój, a może i jakieś dobre, ciepłe uczucia, e kto by się tam do tego przyznawał.

Baliśmy się tych uczuć. Buntowaliśmy się przeciw tym strasznym siłom liewalającym. Broniliśmy się beznadziejnie, ale tym bardziej zażarcie drwi-t szyderstwem i gburstwem, czuwając zazdrośnie, by nikt nie wyłamał się linii. Prawdopodobnie taki właśnie jest mechanizm działania szatana i tajem-cajego złośliwej aktywności.

Oczywiście, zdarzało się na początku roku szkolnego, że przenosiło się do is jeden, dwu facetów ze szkoły męskiej, którym obecność osiemnastu gęsi lerzała do głowy, i ci próbowali wyłamać się z naszego stylu. Trzeba przy-mć, że dziewczyny pomagały im w tym dość wytrwale. O ile nas traktowały góry jak łobuzów i drani, o tyle w stosunku do nowicjusza zachowywały >stawę życzliwą i wyczekującą. Były to szlachetne i cierpliwe istoty, którym iwet długoletnie obcowanie z takimi ciemnymi typami jak my nie potrafiło iebrać wiary w ród męski. Czekwały więc na swój ideał. Kiedy nowicjusz był nieśmiały, próbowwały go ośmielić. Uśmiechały się do ego zagadkowo, były nadzwyczaj uprzejme i niesamowicie wygadane. Nie rtrzebuję dodawać, że drażniły nas okropnie. Oszolomiony facet szedł począt-)wo na to jak mucha do miodu. Przyglądaliśmy się temu szyderczo, a gdy uzna-łmy, że facet zagalopował się wystarczająco daleko, trzeźwiliśmy go szybko. Zaczynało się od tego, że facet otrzymywał przezwisko K a p u l e t. A kto i/ywał przezwisko Kapulet, ten był bardzo biedny. Dowiadywał się o tym pi wrażeniem, kiedy próbował podejść do nas i odezwać się byle jakim sło-em. Wtedy jak na zaklęcie milkły rozmowy i wszyscy patrzyli na niego miażdżącym szyderstwem. Wreszcie ktoś z boku, najczęściej kulawy Mlecz-). piszczął przeraźliwie.

fCapulet, Julia czeka!

W jzyscy ryczeli ze śmiechu, a facet spływał jak zmyty. Jeśli nie był tumani, orientować Się, szybko, że grozi mu wysiadka, nabierał więc oleju do gło-y i sz) bko przechodził na nasz styl. Żeby pokazać, że jest równym chłopem, nieniał gwałtownie front i wykorzystywał każdą sposobność, by dopiec dziew-cynom / takich K apuletów stawali się później najzjadliwsi zaginacze dziew-5yn k- .li iuL.iIlo mi się zagiąć je odpowiednio, obrazić śmiertelnie, przezwi-01 - K > w . apomnienie i zostawali przyjęci do naszej paczki.

i ii Byli po

Kapuletem w naszej klasie był niejaki Aleksander Koncewicz,

n I .ilu

Lalu zjawił się w połowie roku szkolnego i wydał nam się od pierwszego wyjrzenia typem nad wyraz mętym. Miał wspaniałą, rzymski profil, śmiejące się, zielone oczy, ani jednego pryszczka na starannie wygolonej twarzy i włosy przeraźliwie jasne. O ile u nas krótkie owłosienie sterczało sztywno jak sierść zjeżonych wilków, o tyle u Koncewicza kłębiło się krótkimi kędziorami jak u autentycznego Tytusa, którego popiersie stało w kancelarii. Do tego miał wzrost. Pod tym względem dorównywał Jasiowi Nimbusowi i Tomkowi Tomi-szewskiemu, którzy liczyli sobie metr osiemdziesiąt z hakiem.

Wszystko to byłoby jeszcze znośne, gdyby nie prowokująca elegancja typu. Nosił starannie zaprasowane spodnie, błękitne, wąskie i bez mankietów, modną marynarkę włoskiego kroju i szalowe krawaty przy nieposzlakowanie białym kołnierzyku.

Poza tym był beczelnym Kapuletem. Już na pierwszej lekcji rozpoczął swoje bezwstydnymizgi. Kiedy Wiesia Siwińska upuściła zeszyt, schylił się błyskawicznie i wręczył go jej z wyzywającym uśmiechem. Kiedy na przerwie dyżurna Ewa Hajnówna szarpała się z napęczniałym od deszczu oknem, Koncewicz doskoczył od razu i otworzył je bez słowa, Rutkowskiej napełnił pióro „atramentem do złotych piór”, Niteckiej zatemperował ekspresowo ołówek, a wszystko to z taką wniebowziętą miną, jakby te nędzne przysługi sprawiały mu niewypowiedzianą rozkosz. Były to poczynania bez precedensu w naszej klasie, toteż obserwowaliśmy go z największym niesmakiem i rosła w nas żywiółowa niechęć do typu.

Nie potrzebuję dodawać, że dziewczyny z miejsca oszalały na jego punkcie. Wzbudził wśród niech niezdrową sensację. Przez pierwsze lekcje nie spuszczały z niego wzroku, a kiedy profesorowie wywoływali je do odpowiedzi, wstawały czerwone i ogłupiałe, plotąc trzy po trzy. Co do Koncewicza, nie stracił bynajmniej głowy, odpowiadał płynnie z taką swobodą, jakby prowadził nieobowiązującą rozmowę na płaszczyźnie towarzyskiej. „Podpadł” od razu profesorom i rozbroił nawet naszego historyka, pana Ostroga, znanego ze zgryź-liwości. Po celującej odpowiedzi

Kapuleta Ostróg podszedł do niego, zdjął okulary i zmierzył go od stóp do głów podejrzliwym wzrokiem.

- Nie-ty-po-we - wycedził - nietypowe... ceterum nieźle zaczynasz, Koncewicz.

Koncewicz skłonił się ze śmieszną powagą.

- Tak jest, panie profesorze.

Rzeczywiście nieźle zaczynał Kapulet. Już na dużej przerwie dopiął tego, że spacerował w kręgu zachwyconych dziewczyn, prowadząc z nimi ożywioną rozmowę na temat ostatnich filmów. A kiedy szliśmy do klasy, posłyszałem, jak Siwińska mówiła do Rutkowskiej, że Koncewicz jest dystygowany.

-4

— 5 —

Od nas trzymał dystans i nie próbował się zbliżyć, zachowując zagadkowe milczenie, a kiedy jakieś okoliczności zetknęły nas przypadkowo, ranił nas wy-azdaną grzecnością, od której nas mdliło i która doprowadzała nas do pasji.

Na gimnastyce wyprowadził w ten sposób z równowagi samego Jasia Nim-ausa. Graliśmy w koszykówkę. Koncewicz, jako drań, miał duże fory, poza tym zdradzał nieźle umiejętności techniczne. Jego zespół objął prowadzenie. Upokorzony Jasio Nimbus postawił wszystko na jedną kartę i zaczął szaleć po boisku. W pewnej chwili zderzył się z Koncewiczem i przewrócił haniebnie. Koncewicz natychmiast przeprosił go, podniósł i chciał otrzepać.

Nimbus wyrwał się wściekły.

- Odczep się, bo ja biję w zęby!

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - rzekł rozbawiony Koncewicz.

W szatni podszedł do Jasia Nimbusa.

- Czego się właściwie tak wściekałeś?

Uznaliśmy, że chwila nadeszła i że nie ma co dłużej zwlekać. Należało zabrać się do trzeźwienia typu.

Przybraliśmy możliwie najbardziej zjadliwe uśmiešky, a Mleczek pisał z boku:

- Kapulet, Julia czeka!

W tym miejscu należało rzeć. Więc zarzeliśmy, ale jakoś nie wyszło naturalnie. Tak, nie ulega wątpliwości. Za słabo zarzeliśmy. Koncewicz popatrzył na nas jak na wariatów...

- Kapulet, Julia czeka! — powtórzył smutno Okapnik.

- Czy to z Szekspira? - zainteresował się Koncewicz. - Jeśli tak, to przecież nie ma sensu. Julia nie może czekać na Kapuleta, bo Kapulet, a właściwie Capuletti to właśnie nazwisko Julii. Powinniście więc mówić raczej: „Romeo, Julia czeka” względnie: „Montecchi, Julia Kapuletówna czeka”, bo Romeo nosił nazwisko Montecchi. A w ogóle mam wrażenie, że nie jesteście normalni.

To powiedziawszy, odszedł, zostawiając nas w stanie przygnębienia.

Próbowaliśmy innych chwytów, ale bezskutecznie. Zaczęliśmy się nawet poniżać do nędznych, sztubackich kawałów. Chowaliśmy mu pantofle i podkładaliśmy pinezki. Okazało się jednak, że typ był oblatany w tych rzeczach. Pantofle zabierał z sobą i nie zostawiał ich w szatni oraz sprawdzał dokładnie ławkę, nim na niej usiadł. Ale nawet gdyby tego nie robił, nasze kawały nie miałyby żadnych szans powodzenia, gdyż nad bezpieczeństwem Koncewicza czuwało osiemnaście par dziewczęcych oczu, które śledziły każde nasze posunięcie i ostrzegały w porę swojego pupila. Podobnie na nic się zdało smarowanie mu kredą garnitur, czyli tak zwane „zakreślanie typu”. Dziewczęta czyściły go ochoczo, a Wiesia Siwińska posu-

— 6 —

nęła się nawet tak daleko, że zaczęła nosić w teczce szczotkę i służyła mu nią w razie potrzeby. Mleczek próbował wyszydzać tę gorliwość i kiedy raz Siwińska, po którymś tam z rzędu „zakreślaniu” Koncewicza, chwyciła za szczotkę, pisał z boku:

- Siwa, najlepiej językiem, mówię ci!

Wtedy dostał w paszczę od Lulu Koncewicza. A kiedy chciał mu oddać, wylądował od razu na podłodze, gdyż okazało się, że Lulu zna na dodatek dziu-dzitsu.

Lansowaliśmy najprzeróżniejsze przezwiska: „Laluś”, „Szyfcik”, „Tytu-sik”. Ale z przezwiskami jest tak: albo od razu „przylegną”, albo nie „przyleg-ną” i wtedy już nic nie pomoże. Do Lalu Koncewicza żadne nie „przyległo”. Przekonaliśmy się, że sam wygląd zewnętrzny to jeszcze mało. Musi być jakieś wewnętrzne zahaczenie. U Koncewicza takich zahaczeń nie było. Po prostu Lalu nie był Lalusiem. Koncewicz walił po paszczy i choćby z tego względu nie mógł być Lalusiem, bo laluś nie wali.

Trwało to cały miesiąc. Po miesiącu zrozumieliśmy wreszcie, że Koncewicz nie boi się wysiadki, a może należy do takich, co nie wysiadają nigdy i nigdzie. Zaczęliśmy przed nim odczuwać niejaki respekt i coraz częściej zaczęliśmy sobie zadawać pytanie, kim jest właściwie Koncewicz i co, u licha, robi w naszej klasie?

- Niebezpieczny typ — orzekł Jasio Nimbus — uważajcie na niego. On jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Ósmego marca, w dzień Święta Kobiet, zanotowaliśmy mały fakt, który rzucił pewne światło na osobę Koncewicza. Koncewicz został zwolniony z polskiego. Przez całą lekcję dobiegały nas z boiska szkolnego przeraźliwe dźwięki szkolnej orkiestry dętej. Kiedy po lekcjach wyjrzelśmy przez okno, zobaczyliśmy ku naszemu zdziwieniu Lalu Koncewicza kroczącego z wielką trąbą w ostatnim szeregu orkiestry dookoła rozmiękłego boiska. Nadymając policzki, grał na złocistej tubie, ocierając raz po raz spocone czoło, budząc entuzjazm malców i podziw dziewcząt z naszej klasy. Następnego dnia Tomek Okapnik, odznaczający się talentem wywiadowczym, doniósł nam, że Lalu Koncewicz, zanim przeniósł się do naszej budy, uczęszczał do szkoły muzycznej na Żoliborzu. Nie zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, kiedy Koncewicz zadziwił nas nowym wyskokiem. Oto bowiem ni stąd, ni zowąd przestał się golić i zaczął zapuszczać brodę. Początkowo sądziliśmy, że to zwyczajne zaniedbanie. Jednak minął jeden dzień i drugi, a Koncewicz chodził dalej nieogolony. Nie ulegało wątpliwości, że postanowił zapuścić brodę. Komentowaliśmy ten wypadek ze zdenerwowaniem. Gdyby brodę zapuścił kto inny, moglibyśmy to uznać za ka-

— 7 —

Z Koncewiczem sprawa była inna. Koncewicz nie robił kawałów i w ogóle la nie była w jego stylu. W jednym byliśmy zgodni. Posunięcie Lalu Koncewicza ma z pewnością 3 podstępny sens. Ale jaki? Gubiliśmy się w domysłach. Okapnik twierdził, ^alu Koncewicz jest egzystencjalistą, na dowód czego przyniósł ;cie z „Przekroju”, gdzie prezentowano brodatych studentów z „Piwnicy Baranami” z podpisem:

MŁODZI EGZYSTENCJALIŚCI LANSUJĄ BRODY

Byliśmy już skłonni dać wiarę Okapnikowi, gdy Jasio Nimbus postawił /ą tezę: broda Koncewicza jest prowokacją wymierzoną w naszą stro-Ponieważ większość z nas nie mogła się jeszcze poszczycić żadnym zaro-n, a reszta posiadała go tyle, że starczyłoby za ledwie na szczupłe bródki fiskie, hipoteza Jasia Nimbusa wydała nam się dość przekonująca. Tak. ! ulegało wątpliwości. To mogła być tylko złośliwa prowokacja - wyzwanie cone naszym gładkim obliczom. Koncewicz chciał nas pognębić brodą.

Jako ludzie aktywni, musieliśmy ustosunkować się do tego zjawiska. Sądzi-ny zrazu, że można będzie obrócić je przeciw Koncewiczowi. Zaczęliśmy sować przezwisko Lalu-Bródkka. Nimbus wypłacił szczeniakom z niższych s po złotówce na łebka i rozkazał im dręczyć Koncewicza przezwiskiem, dekolwiek się pojawi.

Nie wyszło. Okrzyki były anemiczne. Lalu imponował wyraźnie smarka-)m. Mieli jeszcze w pamięci jego triumfalny pochód po boisku z trąbą iesamowite chwytty dziu-dzitsu. I na to nie było rady. Takie rzeczy biorą za ca smarkaczy.

Zresztą, podobnie jak inne przezwiska, i to spływało po Lalu jak woda. wiem więcej, z niewiadomych powodów pieściło jego muzyczne ucho. Wsłu-iwał się w nie z uśmiechem, a jego długie palce głąskały z lubością brodę.

Tymczasem broda rosła. Rosła w jakimś zatopkowym tempie i po tygodniu iło się jasne, iż będzie to broda równie dystygowana, jak jej szczęśliwy siadacz. Miała odcień ciemnoblond, zdrowy połysk i łagodny, falujący skręt.

Wreszcie zwróciła uwagę profesorów. Pierwsza dostrzegła ją polonistka, ni Petruszewiczowa. Wywołała Koncewicza do tablicy, by wygłosił „Ode do lodości”, spojrzała na niego i zastygła w niemym przerażeniu.

— Koncewicz! — wykrztusiła wreszcie.

— Słucham, pani profesorko.

— Nie... nic, nic... wracaj na miejsce — zamachała rękami, jakby odpychając I siebie senną zmore. Koncewicz skłonił się i wrócił na miejsce.

Sądziłyśmy, że pani Petruszewiczowa zażąda od niego wyjaśnień. Przerastało to jednak widać siły subtelnej kobiety, bo nie powiedziała już na ten temat ani słowa. Obserwowała go jednak przez całą lekcję ze wstrętem, a równo z dzwonkiem wybiegła na korytarz, alarmując z przerażeniem personel nauczycielski:

- Niesłychane! W dziesiątej mamy ucznia z brodą!

W klasie zjawiała się natychmiast nasza wychowawczyni, pani Kwaskow-ska.

- Koncewicz, pozwól no, proszę.

Koncewicz wylazł na środek klasy. Pani Kwaskowska podeszła do niego i zlustrowała go z bliska swymi wypukłymi oczyma krótkowidza... jak zoolog nieznanne zwierzę.

- Koncewicz, co ty wyprawiasz z sobą?

- Nie rozumiem, pani profesorko.

Zaczęliśmy chichotać, czując w powietrzu drakę, ale pani Kwaskowska uciszyła nas surowo.

- Dlaczego się nie golisz, Koncewicz?

- Zapuściłem brodę, pani profesorko.

- Bez głupich żartów!

- Mówię całkiem poważnie.

Pani Kwaskowska przyglądała mu się z obrzydzeniem.

- Jak ty wyglądasz, mój chłopcze! - wręczyła mu lusterko. - Czy ty tego nie widzisz? To przecież okropne.

Wtedy podniosła się Siwińska.

- Proszę pani...

- Czego chcesz, Siwińska?

- Ja chciałam powiedzieć, że nam się bardzo podoba broda Koncewicza. Niech pani pozwoli mu nosić brodę.

Pani Kwaskowska spojrzała na nią z osłupieniem.

- Ależ, moje dziecko!...

W klasie podniosła się wrzawa. Wszystkie dziewczęta krzyczały:

- Niech pani pozwoli mu nosić brodę!

- Spokój! - zdenerwowała się pani Kwaskowska. - Dość tych żartów! Koncewicz nie może nosić brody.

- Ale dlaczego?

- Broda daje wygląd niechlujny i śmieszny. Koncewicz jest za młody na brodę. Noszenie brody w jego wieku jest pretensjonalne.

Dziewczęta zaczęły protestować głośno, ale pani Kwaskowska przerwała ostro dyskusję:

- Dość tego. Koncewicz, przyjdiesz jutro ogolony. Zrozumiałeś?

-9-

Koncewicz poczerwieniał.

- Ja bardzo przepraszam, ale... ale nie mogę się zastosować do polecenia pani profesorki.

- Co takiego?! - wybuchnęła pani Kwaskowska.

- Chciałem powiedzieć, że nie mogę niestety ogolić brody.

- A to dlaczego?!

- Nie mogę powiedzieć, pani profesorko. To jest sprawa osobista, nie szkolna.

- Koncewicz! - wykrztusiła oburzona nauczycielka. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, co mówisz?

- Ja bardzo przepraszam, ale uważam, że mam prawo do brody. Zanim zdecydowałem się na

noszenie brody, przestudiowałem regulamin uczniowski. Regulamin uczniowski, pani profesorko, nie zabrania noszenia bród w szkołach stopnia licealnego.

- Jednak regulamin powiada, że uczniowie powinni dbać o czystość i higienę osobistą.

- Ja dbam o czystość - chrząknął z godnością Koncewicz. - Moja broda jest czysta. Myję ją i czeszę dwa razy dziennie.

Zachichotaliśmy. Rzecz zaczynała być diabelnie wesoła.

- Ależ ty sobie kpiny urządzasz, mój panie! - wykrzyknęła pani Kwaskowska.

- Ja jestem poważny - Koncewicz wyprostował się z godnością. - Pani profesorka wie, że zawsze jestem poważny.

- Koncewicz... to jest jakieś dziwactwo - pani Kwaskowska patrzyła na niego oszołomiona - ja nie będę tolerować w klasie dziwactw.

- Broda nie jest dziwactwem, proszę pani - zaproponował spokojnie Koncewicz. - Broda jest naturalną cechą człowieka płci męskiej. Powiedziałbym raczej, że nienoszenie brody, wstydlive golenie jej, jest czymś nienaturalnym i może budzić zastrzeżenia typu biologicznego, estetycznego i w ogóle humanistycznego...

- Proszę pani - przerwał mu Okapnik. - On jest egzystencjalistą i dlatego...

- Co takiego?! - pani Kwaskowska zamrugła oczyma. - Koncewicz, jesteś egzystencjalistą?

- Nie, proszę pani. Brody noszą nie tylko egzystencjaliści. Na przykład dyrektor Miejskich Zakładów Komunikacyjnych Lilpop nosi brodę, chociaż nie jest egzystencjalistą, przynajmniej nic mi nie wiadomo...

- Koncewicz...

W ogóle większość sławnych ludzi od początku dziejów nosiła brody. Od I lammurabiego poprzez Sokratesa aż do Miczurina i profesora Oparina,

- 10-

prezesa Akademii Nauk Związku Radzieckiego. Także klasycy marksizmu nosili brody.

Pani Kwaskowska poczerwiała.

— Dość! Nie mam zamiaru z tobą dyskutować, Koncewicz. A w ogóle dziwię się. Miałam cię dotąd za ucznia rozsądnego. Siadaj na miejsce. I powtarzam. Jeśli jutro zjawisz się z tą okropną brodą, pójdziesz od razu do pani dyrektorki.

— Tak jest, proszę pani.

Byliście bardzo ciekawi, co zrobi Koncewicz. Zachodziliśmy też w głowę, co znaczył jego dziwny upór. Był dotąd uczniem wzorowym i spełniał skrupulatnie wszystkie polecenia nauczycieli.

Sądziliśmy, że i tym razem zastosuje się do życzenia profesorki. Stało się jednak inaczej.

Następnego dnia zjawił się w szkole z nieogoloną brodą.

Pani Kwaskowska przygryzła wargi i bez słowa odesłała go do kancelarii. Koncewicz skłonił się z godnością i odmaszerował. Było jasne, że trwa w swoim niezrozumiałym uporze. Podnieceni i zaintrygowani, czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków.

Wrócił po paru minutach.

— Pani dyrektorki nie było - zameldował z powagą - zastałem tylko pana profesora Ostroga. Pan profesor Ostróg nie widzi w mojej brodzie nic zdrożnego.

— Siadaj — machnęła złowrogo ręką pani Kwaskowska — ale nie myśl sobie, że to się na tym skończy. Nie będę tolerować w mojej klasie ucznia z brodą.

Istotnie, pani Kwaskowska nie rzuciła tych słów na wiatr. Po czwartej lekcji Koncewicz został wywołany do kancelarii. Wkrótce potem nasz wywiad doniósł, że wobec uporu Koncewicza i pewnych rozbieżności w opinii grona profesorskiego broda znajdzie się na porządku dziennym najbliższej sesji rady pedagogicznej jako podpunkt c) punktu osiemnastego, czyli sprawy moralności uczniów.

Postaraliśmy się zawczasu o zorganizowanie służby wywiadowczo-informacyjnej. Przebieg posiedzeń rady bywał nam na ogół dobrze znany na skutek specjalnego nasłuchu. Za pokojem nauczycielskim znajdował się magazyn pomocy naukowych, z osobnym wejściem, do którego mieliśmy dorobiony klucz. W dniach sesji umieszczaliśmy tam ochotników odznaczających się dobrym słuchem, którzy przez małe okienko łączące obie izby czuwali nad przebiegiem obrad.

Na żadną sesję nie czekaliśmy z taką niecierpliwością i ciekawością jak na tę. Odbyła się ona równo w dwa tygodnie po zajęciu w klasie. Do tego czasu broda Koncewicza osiągnęła długość połowy palca, rozkrzewiła się bujnie, przybierając wspaniałe, isticie Hemingwayowskie kształty. Należy bezstronnie

-11-

wierdzić, że nie była to broda niechlujna, brodi capuazi łona z rozpaczny czy iedbalstwa. Była to broda, jeśli się tak można wyrazić, świadoma, broda | całym teflo słowa znaczeniu wykwinna W oznaczonym dniu i godzinie zajęliśmy naaze pozycje nasłuchowe. Przez wie godziny nudziliśmy się straszliwie, zamknięci w ciasnym, dusznym i ciemnym pomieszczeniu, WIMZCic ()kapnik, który stał na widocznej, dał nam oczekiwany znak. Wspięliśmy się na stół i przywarliśmy nosami do szyby.

Rozpoczęła się dyskusja nad podpunktem c) punktu osiemnastego, czyli prawy moralności uczniów. Na wstępie pani Kwaskowska zreferowała zagadnienie w słowach najbardziej nieprzychylnych dla Lulu Koncewicza, podkreślając jego niesubordynację, ekstrawagancję i destrukcyjny wpływ jego brody a klasę.

Z kolei zabrała głos dyrektorka. Ku naszemu zdziwieniu pocziwa „Babia” stanęła w obronie Koncewicza i starała się zbagatelizować sprawę.

- Mamy chyba poważniejsze zmartwienia, niż zajmowanie się brodą ucznia

- mówiła miękko, łagodnym głosem. - Zdaje mi się poza tym, że to jest chyba kwestia mody, a nie moralności. Na przykład za moich, co prawda bardzo, >ardzo już dawnych czasów uczniowie starszych klas gimnazjalnych i studen-:i dość powszechnie nosili brody. Być może, jest to dziś pewna ekstrawagan-:ja, lecz z pewnością ekstrawagancja nieszkodliwa.

' - Jednakże w wojsku każą golić brody - zauważył gimnastyk, pan Jaroch.

- Szkoła to nie wojsko - uśmiechnęła się przyrodniczka, panna Malinowska.

- Nie znam ucznia Koncewicza - wtrącił matematyk, pan Ciarka - nie znam ucznia Koncewicza, gdyż go nie uczę... gdyż go nie uczę - powtórzył, miętosząc swoim zwyczajem ucho - sądzę jednak, że należałoby rozpatrzyć fakt zapuszczenia brody przez ucznia Koncewicza na płaszczyźnie... na płaszczyźnie jego postępowania i zachowania. Jak pan ocenia ucznia Koncewicza, kolego Ostróg?

- Jest to uczeń nietypowy - odrzekł profesor Ostróg - ceterum z plecakiem wiadomości... z plecakiem zadziwiających wiadomości.

To powiedziawszy, zabrał się do czytania gazety, jakby ta sprawa nie obchodziła go więcej.

- To poza tym talent - powiedziała dyrektorka. - Uczeń Koncewicz gra na skrzypcach oraz na instrumentach dętych.

_ W takim razie sprawa jest jasna - orzekł zadowolony profesor Ciarka -broda ucznia Koncewicza to poza. Poza artystyczna. Sądzę, że należy walczyć z pozerstwem u młodzieży.

- Nie wiem, czy to jest poza - wtrąciła zaczerwieniona panna Malinowska

- brody artystyczne są niechlujne. Natomiast broda ucznia Koncewicza jest przyjemna... to znaczy... chciałam powiedzieć... starannie utrzymana.

Profesorowie chrząknęli i spojrzeli na pannę Malinowską z naganą, po czym podniósł się polonista, profesor Rozmaz.

- Proszę państwa, nie ślizgajmy się po naskórku zjawisk. Zjawiska należy macać podskórnymi... to jest chciałem powiedzieć... drążyć dośrodkowo. Drążyć dośrodkowo, proszę państwa. Dlatego spytajmy najpierw, co kryje się za brodą ucznia Koncewicza? Uczeń Koncewicz od dawna budzi mój najwyższy niepokój. Powiem więcej. Budzi dreszcz. Przez moje ręce przeszły wszystkie powojenne roczniki uczniów. Byli uczniowie, którzy wagarowali, byli i tacy, którzy miauczelili na lekcjach, byli i tacy, którzy grali pod ławką w pokera, miałem uczniów pijaków i szantażystów. Miałem takich, którzy złośliwie zapchlili klasę, a nawet takich, którzy umieścili mi kota na katedrze. I to nie budziło mojego niepokoju, gdyż jako pedagog na wszystko byłem przygotowany i wiedziałem, że uczniowie muszą coś robić. Jeden uczeń Koncewicz przeraził mnie. Przeraził mnie, bo on nic nie robił. Obserwowałem go z niepokojem, z drżeniem serca, czekałem na jego występki.

Występków nie było. Co robił zamiast tego uczeń Koncewicz? Uczeń Koncewicz był wzorowy. I dlatego uczeń Koncewicz napelniał mnie strachem od początku. W jego układności węszyłem podstęp, zasadzkę, wężowy chwyt, prośbę kolegów. Dlatego zapuszczenie brody przez takiego właśnie ucznia Koncewicza budzi we mnie dreszcz... i dlatego pytam się z lękiem, co się może kryć za brodą ucznia Koncewicza.

To powiedziawszy, profesor Rozmaz napił się wody i usiadł.

- Kolega Rozmaz dotarł od jądra zagadnienia - powiedziała pani Petrusiewiczowa. — Jeśli taki uczeń jak Koncewicz zapuszcza znieczeka... powiedziała bym, podstępnie... brode, to coś znaczy...

- To manifestacja poglądów nihilistycznych - orzekł gimnastyk, pan Jaroch.

- Izolacjonizmu, personalizmu i...

- I indywidualizmu wojującego.

- Niebezpieczny obyczajowy precedens.

- Uczeń Koncewicz dziś zapuścił brode, jutro przyjdzie do klasy w kostiumie kąpielowym.

- Ależ koledzy - poruszył się niespokojnie profesor Ciarka - to chyba jakaś przesada... Myślę, że uczeń Koncewicz po prostu chciał zwrócić na siebie uwagę i zrobić furorę wśród dziewcząt. A propos, jaki jest stosunek żeńskiej części klasy do ucznia Koncewicza?

- Bardzo... hm... pozytywny - odparła niechętnie pani Kwaskowska. - Dziewczęta go lubią.

- Otóż to - uśmiechnął się pan Ciarka.

- Otóż to - zahuczał basem profesor Rozmaz. - Dziewczęta to normalny kierunek natarcia nihilistów moralnych. Sądzę, że pan się zgodzi ze mną, kolego Ostróg.

-12-

-13

Ostróg błysnął szklami zza gazety.

- Ja jestem za brodą - powiedział krótko. Profesor Rozmaz uniósł do góry brwi.

- Pan chyba żartuje...

- Nie. Zupełnie nie.

- Ależ dlaczego jest pan za brodą?

- Bo jestem za wolnością.

Wszyscy spojrzeli na niego, czy nie kpi, ale Ostróg znów skrył się za gazetą i tylko my, patrząc z góry, mogliśmy dostrzec, że uśmiechnął się pod pół-przymkniętymi powiekami.

- Niechże pan odłoży tę płachtę i włączy się do dyskusji - rzekła ze zgorszeniem pani Petrusiewiczowa.

- Powiedziałem - Ostróg błysnął szklami. - Jeśli broda ucznia Koncewicza dostąpiła już tego zaszczytu, by być przedmiotem zasadniczej dyskusji, i urosła... hm... że tak powiem ceterum do znaczenia symbolu... niechże tak będzie... ale w takim razie pozwólcie mi państwo powiedzieć, że jestem za brodą, ponieważ jestem za wolnością. Niech chłopak nosi brode, byle czystą... ceterum.

Wypowiedź Ostroga rozjuszyła opozycję. Dyskusja stała się tak zażarta i osiągnęła taki wysoki poziom, że już nic nie mogliśmy zrozumieć. Wreszcie pani dyrektorka przerwała ją zmęczonym głosem i brode poddano pod głosowanie. Niestety, osiem głosów było za brodą i tyleż przeciw i uchwała nie mogła być powzięta.

Opozycja starała się przekonać pana Ostroga, by zmienił stanowisko, jednak bezskutecznie. Pan Ostróg nadymał się oficjalnie i grzmiał:

— Broda to wolność. Jestem za brodą.

Wreszcie oświadczył, że jeśli opozycja nie wycofa swych nihilistycznych zarzutów przeciw brodzie, to on sam zapuści takową, dając wyraz swym humanistycznym ideom. Daremnie starano się go odciągnąć od tego zamiaru. Profesor Ostróg powtarzał nieubłaganie:

— Zapuszcze brode, ceterum.

Wreszcie po dwu godzinach bezowocnych sporów profesor Ciarka postawił wniosek, by sprawę brody Koncewicza jako dyskusyjną przekazać Ministerstwu Oświaty do rozstrzygnięcia.

Propozycję przyjęto z ulgą i zebranie się zakończyło.

Niezdecydowane stanowisko rady rozczarowało nas i wzburzyło. Lulu Koncewicz chodził w

dalszym ciągu ze swoją brodą, a co gorsza stał się sławny, jako ten, który podbił starego Gala Ostroga i wyzwolił w nim sympatycznego, płomiennego humanistę.

-14-

Życie szkoły uległo zakłóceniu. Klasówki z polskiego i matematyki, które miały się odbyć następnego dnia, zostały przełożone na inny termin, ponieważ profesorowie, na skutek nieprzewidzianego przedłużenia wczorajszej narady, nie zdążyli przygotować tematów. Najbardziej punktualni pedagodzy zaczęli chronicznie spóźniać się na lekcje, ponieważ prowadzili z sobą niekończące się dysputy na temat brody Koncewicza i związanych z nią zagadnień.

Gal Ostróg przytaszczył na lekcję portrety brodatych postaci historycznych i urządził rodzaj wesołego quizu, ze zgadywaniem, w jaki sposób ludzie brodaci wpłynęli na tok dziejów. Zaginał nas niesamowicie, lecz ku ogólnemu zdziwieniu nie postawił ani jednej dwóki, co było faktem nienotowanym od lat w kronice szkolnej. Na koniec wywołał Koncewicza. Z lubością przysłuchiwał się jego bezbłędnym odpowiedziom, a potem spojrział z dumą na jego brodę i orzekł:

- Bardzo dobrze, Koncewicz... ceterum masz u mnie piątkę.

Po południu rada pedagogiczna w komplecie zjawiała się na próbie orkiestry szkolnej, a Koncewicz trąbił i popisywał się na żądanie profesorów swoim talentem muzycznym i biegłością instrumentalną.

Potem grał na skrzypcach utwory klasyczne. Koncert ten naruszył poważnie spójność bloku antybrodowego.

- To jest bardzo zdolny i pracowity chłopiec - powiedział pan Rosyniolski, nasz profesor śpiewu.

A profesor Ciarka orzekł wręcz:

- Chłopiec zajmujący się tak poważnie sztuką klasyczną nie może być ni-hilistą.

Poloniści wyrazili ogólną opinię, że istotnie Koncewicz jest interesujący, jednakże znalazł się w kręgu niebezpiecznych wpływów zewnętrznych. Nie wspominali już o egzystencjalizmie, natomiast przy pożegnaniu pani Petruszewiczowa wzięła Koncewicza pod ramię i zapytała go z troską:

- Mój chłopcze, powiedz nam szczerze, dlaczego nosisz tę okropną brodę? Koncewicz uśmiechnął się smutno.

- Proszę mnie zwolnić od odpowiedzi, pani profesorko. To jest tak, jakby pani profesorka zapytała mnie, dlaczego noszę rękę lub nos.

- Coś takiego - oburzył się profesor Rozmaz. Ale Ostróg interweniował natychmiast.

- Doskonale, Koncewicz! - zawołał. - To jest odpowiedź godna humanisty.

Nazajutrz Okapnik zjawiał się w szkole podelektryzowany.

- Mam wiadomości - oświadczył z miejsca. - Koncewicz nie mieszka pod starym adresem na Żoliborzu.

- Żartujesz! — zaniepokoił się Nimbus.

-15-

-Jak Boga... Informowałem sit,-. Typ m już od listopada.

Wszystko to, rzecz jasna, pogłębiało i lenerwowanie. Tymczasem Koncewicz robił karierę. Koncev ił, a trzysta dziewczęcych ust wymawiało słodkojego imię. W I-1 va wybiegła poza mury szkoły. Zjawili się fotoreporterzy z „Dool .Sztandaru Młodych" i „Na przełaj". Sprawa brody Koncewkv;i miała wejś< na łamy prasy jako zagadnienie dyskusyjne.

Trzeba przyznać, że Lalu zachował w ty< li dniach umiar i właściwą mu dystynkcję.

Uśmiechnięty melancholijnie, ale życzliwie, odpowiadał z cierpliwością na pytania prasy.

Wyznawał, że jest zażenowany hałasem wokół jego osoby i że naprawdę jego broda, acz niewątpliwie estetyczna i przyjemna, nie jest warta takiego rozgłosu. Radził też reporterom, by raczej przeprowadzili wywiad z naszą paczką „młodzieży typowej", jak się wyraził.

Oczywiście, uznaliśmy to za prowokację. Nil- /myliły nas te uniki i pozory skromności. Fałsz był widoczny. Lalu Koncewicz prowadził jakąś grę. Ale co to była za gra — na próżno staraliśmy się odgadnąć.

W tej atmosferze zrodziła się nasza ponura myśl: ogolić Koncewicza. Ogolić go natychmiast,

radykalnie i za wszelką cenę. Idea wydawała nam się wspaniała. Ułożyliśmy szybko plan. Mleczek postara się o narzędzia. Tomiszewski, który codziennie golił kuzyna i miał wprawę, dokona samego aktu. Pozostała trójka zniewoli Koncewicza. Mleczek tak się zapalił, że chciał od razu biec po przybory. Wypłynęły jednak pewne wątpliwości.

- Nie utrzymacie go - powiedział Okapnik - do golenia facet musi siedzieć spokojnie...

- Będzie siedział - powiedział Jasio Nimbus - najważniejsze przestraszyć typa. Jak się przestraszy, będzie siedział spokojnie.

- A jak się nie przestraszy? Wiecie, jaki jest Koncewicz... ogolić to nie to, co dać po pysku... jak on nie będzie chciał, jak się będzie rzucać?

- Nie musimy go golić dokładnie. Jak nie będzie chciał, to złapiemy go tylko i wy strzyżemy mu kawałek brody... wystarczy popsuć mu brodę. Jak mu popsujemy, to przecież nie będzie tak chodził i musi zgolić resztę.

- Tak czy owak w szkole nie da rady. Za duża chryja.

- W szkole nie. Po co? Załatwimy gościa w domu.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Pójdziemy śladem.

Trzynastego maja mieliśmy obchodzić uroczyste jubileusz pięćdziesięciolecia pracy pedagogicznej naszej dyrektorki, panny Dulębianki. Lulu miał wystąpić w części artystycznej.

-16-

To przeważyło szalę. W przeddzień uroczystości powzięliśmy ostateczną decyzję.

Tego dnia ostatnią lekcją była gimnastyka. Mleczek z racji swojego kalectwa nie ćwiczył. Na przerwie Jasio Nimbus mrugnął do niego.

- Kulas, jazda po narzędzia. Za trzy kwadransy masz być z powrotem.

Po gimnastyce ubraliśmy się szybko. Pod bramą czekał już na nas podniecony Kulas. Na nasz widok poklepał się znacząco po kieszeniach i uśmiechnął złośliwie.

Parę minut później wyszedł z budy Koncewicza. Patrzyliśmy na niego ponuro, był jak wycięty z żurnala. Nawet teczka, ów sztubacki symbol, dodawała mu szyku. Trzymał ją z niedbałą elegancją pod pachą. Jak zwykle otaczała go paczka dziewcząt. Szli całą szerokością chodnika. Rozmawiali o czymś z ożywieniem, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Dziewczęta wpatrywały się w niego, jakby był co najmniej Elvisem Presleyem. Raz po raz któraś ukradkiem poprawiała włosy.

- Gęsi! - syknął przez zęby Nimbus.

Drażniły nas niesamowicie. Innym razem nie dalibyśmy im przejść spokojnie, ale teraz nie chcieliśmy budzić czujności Koncewicza. Na rogu placu Komuny i Słowackiego Koncewicz pożegnał się z dziewczynami, kupił w kiosku „Życie” i wsiadł do pierwszego wagonu piętnastki nadjeżdżającej z Bielan.

Wskoczyliśmy do przyczepy. Dochodziła druga. O tej godzinie tramwaj był jeszcze pustawy i mogliśmy przez szyby obserwować Koncewicza. Stał odwrócony na tylnym pomoście pierwszego wozu i przeglądał gazetę.

Byliśmy niespokojni. Akcja wydała nam się ryzykowna i nasze wątpliwości odżyły. Najbardziej denerwował się Mleczek. Wciąż mu się zdawało, że Koncewicz już wysiada. Na każdym przystanku wyskakiwał, zaglądał do pierwszego wozu, znów wskakiwał. No, i wreszcie dograł się. Na przystanku przy dworcu Gdańskim Koncewicz przyłapał go.

- Skąd się tutaj wzięłeś, Mleczek? Zasuwasz do Śródmieścia? Wsiadaj. Pojedziemy razem.

Mleczek zgłupiał, wsiadł i pojechał razem z Koncewiczem. Byliśmy zdemaskowani. Przez całą drogę Koncewicz mrugał do nas wesoło przez szybę. Musiał domyślić się, że jest śledzony, bo kiedy na Królewskiej wyskoczył z tramwaju, od razu podszedł do naszego wozu i powiedział:

- Wsiadka, panowie.

Nie było sensu grać dłużej komedii.

Wściekli wyleźliśmy z wozu. Koncewicz przyglądał nam się rozbawiony.

- Jak widzę, bawicie się w detektywów. Karty na stół. O co chodzi?

- Chcieliśmy z tobą pogadać - mruknął Nimbus.

- A to ciekawe. Można wiedzieć, na jaki temat?

-17-

- Na temat zasadniczy. Koncewk/ zagwizdał.

- Nie mogliście tego załatwić w budzie1/

-Nie. Tego się nie da załatwić w bud/.ic odparł ponutO Nimbus.

-No, to jazda. Chodźcie do mnie. Pogadamy.

Jego gotowość zaskoczyła nas i wydała nam się; podejrzana,

- Mieszkam niedaleko stąd, na Próżnej — dorzucił Koncewicz.

- Na Próżnej? — zdziwił się Nimbus. — A chodzisz do budy na Żoliborzu?

- Nie wolno mi? — zaśmiał się Koncewicz.

- To jest w każdym razie dziwne.

- Dlaczego? Jestem przywiązany do Żoliborza. Zresztą tutaj mieszkam dopiero od pół roku.

- Przedtem chodziłeś do szkoły muzycznej?

- Zgadza się.

- Dlaczego przenieśliście się do nas?

-W muzycznej nie dawałem rady z czasem. Tam jest diabelnie dużo zajęć, a ja muszę mieć trochę czasu, żeby zarobić walutę. Nie wyżyłbym ze stypendium.

- Starzy ci nie pomagają?

- Nie mam starych - odburknął zimno Koncewicz i spojrzął na zegarek. -Ale do rzeczy, panowie.

Jeśli chcecie, walcie do mnie, a jak nie - good bye.

- Mieszkasz zdaje się z ciotką?

- I o mojej ciotce też słyszeliście?

- Owszem.

- Informacja nieścista. Z ciotką mieszkalem na Żoliborzu. Potem ciotka dostała budkę inwalidzką we Włochach i przeniosła się do Włoch, a ja zamieszkałem tutaj. Mam niekrępujące apartamenty. Komfort, zobaczycie!

Parę minut później zatrzymaliśmy się przed odrapaną kamieniczką na Próżnej.

- To tu - powiedział Koncewicz z dziwnym uśmiechem - włączcie, jeśli łaska.

Zachowanie Koncewicza nie podobało nam się zupełnie. Z pewnością nie miał złudzeń co do uczuć, jakimi go darzyliśmy, i wiedział, że nie przyszliśmy grać z nim w oko. Dlaczego więc się nie bał? Dlaczego zaprosił nas do siebie? Nie udało nam się go przecież zaskoczyć, mógł się więc łatwo wymigać. Czyżby gotował nam jakiś kawał? Może zasadzkę?

Kamieniczka nie budziła zaufania. W takich ponurych ruderach mogą się mieścić meliny. Okolice placu Grzybowskiego i Bagna nie miały wtedy dobrej opinii.

18-

Spojrzeliliśmy z wahaniem na Jasia Nimbusa. Jasio miał minę niewyraźną.

- Zostaniesz na dole - szepnął do Okapnika. - Jakbyśmy nie wyszli za pół godziny, to...

- Rozumiem - wykrztusił Okapnik.

- Szybko... szybko, nie wahać się, panowie! - Koncewicz przypatrywał się nam szyderczo, gładząc bródkę. - Tutaj nie mordują. Śmiało na górę, tajemniczy Jamesie! — popchnął Nimbusa.

Schody były drewniane, dobrze już wysłużone i odrażająco brudne. Trzeszczały nieprzyjemnie przy każdym kroku. Gdzieś niedaleko miauczał niewidzialny kot. Na półpiętrze w niszy okiennej poniewierały się butelki po wódce. Odór kiszony kapusty mieszał się z zapachem chlorku.

Na drugim piętrze na odgłos naszych kroków otworzyły się drzwi i wyjrzał z nich zarośnięty olbrzym o twarzy goryla. Drapiąc się w pierś, przypatrywał nam się podejrzliwie spod kosmatych brwi.

Nieprzyjemny dreszcz przeszedł nam po skórze.

- Śmiało, śmiało, panowie! - popędzał nas Koncewicz.

Szepnął jakieś słowo olbrzymowi i ten zniknął natychmiast za drzwiami. Zatrzymaliśmy się na trzecim i ostatnim piętrze.

- To tutaj? - przygryzł wargi Nimbus.

- Jeszcze ciut, ciut wyżej - uśmiechnął się Koncewicz.

Wyżej były już tylko wąskie, dziurawe schodki wiodące na strych. Spojrzeliśmy po sobie.

- Koncewicz, jeśli robisz nam jakiś świński kawał, to marny twój los - zasapał Nimbus. — Nie mieszkaś chyba na strychu?

Koncewicz zaśmiał się diabelsko pod nosem i nie powiedział ani słowa. Wdrapaliśmy się gęsiego po schodkach i stanęliśmy przed szeregiem drzwiczek zamkniętych na kłódki. Koncewicz otworzył jedną z nich.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Weszliśmy do małego poddasza wytapetowanego starymi gazetami. Przez małe okienko widać było potężne ściany Pałacu Kultury błyszczącego olśniewającą bielą w słońcu.

Oniemiali, rozglądaliśmy się po locum. Na glinianej polepie spełniającej l u rolę podłogi leżał starannie zasłany siennik, obok miednica i wielkie tekturowe pudło. Zamiast stołu stała skrzynia z napisem „Madę in Poland”, na niej kilka książek i lusterko. Ścianę podpierał dziurawy, antyczny fotel cały obsypany białym proszkiem.

- Zdobyłem go niedawno - powiedział Koncewicz. - Boję się, że ma pluskwy.

Zdjął marynarkę, przejechał kilka razy szczotką, strzepnął jakiś pyłek i zawiesił na ścianie, na wieszaku. Wisiało tam także znane nam już czarne, wizy-

-19-

towe ubranie Koncewicza. Obok zauważyliśmy skrzypce w futerale. Nie ulegało wątpliwości, że znajdujemy się naprawdę w mieszkaniu Koncewicza. - Czujcie się jak u siebie - powiedział Lulu i wyciągnął się swobodnie na sienniku.

Spojrzeliliśmy po sobie. Sprawa była w zasadzie prosta. Należało teraz złapać faceta za ręce i nogi, zatkać mu gębę i dokonać zabiegu. A jednak staliśmy głupio w miejscu. Było nam jakoś niesporo. To cholerne mieszkanie i ten elegancki Lulu... Cała ta historia z goleniem wydała nam się niesamowicie głupia... Nie wiem doprawdy, jak to określić... no... jakoś w tych okolicznościach niezręcznie było golić...

Pamiętaliśmy także o „gorylu” z drugiego piętra i to wspomnienie bynajmniej nie dodawało nam odwagi.

Trąciłem w bok Jasia Nimbusa.

- Chyba damy spokój - szepnąłem.

- Wariat! A klasa? Co powie klasa?

Przygryzłem wargi. To prawda. Chłopaki wezmą nas za tchórzów. Nie rozumieją przecież... no, w żaden sposób nie rozumieją, że zaszły nieprzewidziane komplikacje.

Westchnąłem i Jasio Nimbus westchnął również, jakby się zabierał do wykonania zadania ponad siły.

- Słuchaj, Koncewicz — rzekł nieswoim głosem — odstawiasz Anglika... to jest... zimną krew... ale dziwisz się pewnie, po cośmy tu przyszli.

- To prawda - Koncewicz zamachał beztrudno nóżką w powietrzu. - Trochę się dziwię.

- Koncewicz — głos Jasia stał się niższy o pół tonu — sprawa jest taka.

Przyszliśmy zgolić ci brodę.

Utkwiliśmy badawcze spojrzenie w Koncewiczu. Typ przestał machać nogą i wytrzeszczył śmiesznie oczy.

- Czyście z byka spadli?

- Mówimy poważnie — rzekł zachryple i smutno Nimbus. - Kulas ma w teczce przybory.

Mleczek otworzył drżącymi rękoma teczkę i zaczął pomału wyciągać nożyczki, maszynkę, pędzel i krem do golenia. Tuba wyśliznęła mu się z rąk i potoczyła pod skrzynię. Mleczek na czworakach poczołgał się za nią, sapiąc jak astmatyczny starzec.

Lulu Koncewicz wychylił się z siennika i oglądał ciekawie narzędzia. Potem spojrzał na nasze

uroczyste miny i wybuchnął śmiechem. Przewrócił się na brzuch i chichotał.

-To kapitalne! Jak Boga!... Przynieśli maszynkę!

Jego śmiech był w najwyższym stopniu obraźliwy i w ogóle nie na miejscu.

-20-

- Przestań chichotać - mruknął ponuro Jasio - i przygotuj się do golenia.

- Ale dlaczego?... Co wam strzeliło do głowy? - pytał rozbawiony Koncewicz.

- Nie będziemy ci tłumaczyć - mówił zmęczonym głosem Jasio. - Musimy ogolić ci brodę i powinieneś to zrozumieć, Koncewicz. Czy chcesz, czy nie chcesz, musimy i radzę ci poddać się dobrowolnie zabiegowi, bo nas jest czterech, a ty jesteś jeden.

Koncewicz podniósł się na łokciach, udając powagę.

- Niemożliwe! Golicie gratisowo?

- Gratisowo — zasapał Nimbus.

Na jego znak otoczyliśmy siennik i przeszywaliśmy Koncewicza ponurym wzrokiem oprawców.

Koncewicz powinien zrozumieć, że jesteśmy zdecydowani na wszystko, i przestraszyć się. Ku naszemu zdziwieniu nie zdradził jednak żadnego niepokoju. Poglądził się tylko po bródce i zapytał po prostu:

- Jakie macie żyłki?

- „Matador”

- Nowe?

- Nowe.

- Krem do golenia? Używam tylko najlepszych gatunków.

- „Uroda”.

- Pieski, ale niech tam. Tylko, panowie, ostrzegam! Pod jednym warunkiem, że nie pokancerujecie. Mam delikatną skórę i jakbyście skrewili, zrobię z was pasztet. Uprzedzam. Mam tutaj kumpli. Oni biją w mordę.

- Nie bój się - chrząknął Nimbus - będziesz ogolony fachowo. Zajmie się tym Tomiszewski. On ma wprawę. Goli co dzień kuzyna.

- No, to jazda — Koncewicz podniósł się z legowiska i siadł okrakiem na pudle — umyj tylko łapy, Tomiszewski.

Ta gotowość wydała nam się równie niezrozumiała, co podejrzana.

- Więc ty, Koncewicz, zgadzasz się dobrowolnie? - zapytał Tomiszewski, myjąc ręce w miednicy.

- Ależ oczywiście! To jest okazja! I naprawdę bardzo miło z waszej strony, że się fatygowaliście. A propos, czy ogolicie mnie tylko dzisiaj, czy też będziecie golić codziennie?

- Koncewicz, przestań - zasapał zrozpaczony Jasio. - Czyżbyś naprawdę nie rozumiał?

Patrzył zrozpaczony na namydlonego Koncewicza, który ochoczo podstawił brodę pod nożyczki.

- Rozumiem, że chcecie mi oddać koleżeńską przysługę w trosce o mój wygląd zewnętrzny, nie rozumiem natomiast, dlaczego zabieracie się do tego

21

! Uł.u U”

pretensje. No, to

z takimi ponurymi minami, /daje się, że

siup! Kawę na ławę!

— Koncewicz... drażnisz nas - rzekł Miuitiin Jasiu — lak, to jest najwłaściwsze określenie...

drażnisz nas diablme i mcc/.ys/

-Obrażasz nas -wscłchnaj Tomiszewski, mydh|c n n i bez przekonania twarz.

— Obrażam? - podniósł brwi Lulu. - Zdaje się, że bytem dla was zawsze...

— Właśnie - skrobał go posępnie maszynką Tomiszewski — byłeś dla nas... hm... uprzejmy i to nas właśnie obraża. My zabraniamy ci być dla nas uprzejmym, rozumiesz?

— Nie rozumiem.

— Bo ty to robisz na złość. Żeby nas pognębić.

— Nie, no, wy jesteście chyba nienormalni... - Koncewicz patrzył na nas

jak na wariatów.

— To ty jesteś nienormalny - dyszał Nimbus. - Nienormalny jest ten, kto jest inny od wszystkich... Ty jesteś inny. Naumyślnie robisz wszystko inaczej. Na złość nam. Wszystko. Od samego początku. A na koniec... na domiar wszystkiego zapuściłeś brodę. Nie wiedziałeś już, co przeciw nam wymyślić, i zapuściłeś brodę.

-Przeciw wam?!

Koncewicz zaniemówił na chwilę, a potem uśmiechnął się krzywo.

- Zginęła mi maszynka - mruknął niechętnie - to wszystko.

-I dlatego tylko się nie goliłeś? - Nimbus spojrział na niego z niedowierzaniem. — Nie zalewaj!

- Wy tego nie rozumiecie - mówił pospiesznie Koncewicz -ja muszę żyć z ołówkiem w ręku. W tym miesiącu zaplanowałem kupno krawata, więc nie starczyło na maszynkę, a tym bardziej na golenie u fryzjera. Dlatego postanowiłem się nie golić. To zresztą zdrowo zrobić czasem przerwę. Skóra odpoczywa, a włos nabiera miękkości.

- Łżesz! - warknął Nimbus. Koncewicz wzruszył ramionami.

- Możesz nie wierzyć. Nie zależy mi.

Golenie było ukończone. Koncewicz przyglądał się krytycznie w lusterku, gładząc sobie podbródek.

- Zupełnie nieźle - powiedział do Tomiszewskiego - szkoda, że nie chcesz golić mnie codziennie. -

Znów przybrał bez troski, drwiący ton: - Pozwól, że uścisknę twoją fachową prawicę.

Tomiszewski wyrwał rękę i zaklął pod nosem.

Do izby weszła stara kobieta z talerzem kartofli i dymiącą kanką. Zaleciało zapachem wędzonki.

Koncewicz spojrział na zegarek.

-22-

- Bardzo mi było miło, ale czas się pożegnać. Dziękuję za fatygę i polecam się na przyszłość.

W ponurym milczeniu ruszyliśmy do drzwi. Kiedy obejrzałem się na progu, zauważyłem, że Koncewicz mruknął do mnie wesoło okiem. „Nie zależało mu na brodzie - pomyślałem - co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Co wobec tego znaczył ten jego upór wobec belfrów? O co mu właściwie chodziło? Tylko o drakę? Lecz przecież Koncewicz nie należał do typów wyzywających się w tego rodzaju ekstrawagancjach. Nie, to w żaden sposób nie leżało w jego stylu... Więc?...”

Przed bramą doskoczył do nas Okapnik, wpytując ciekawie o przebieg akcji.

Nimbus zmierzył go zmęczonym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku. Poszliśmy, ogoliliśmy, i koniec.

- Nie bronił się? -Nie.

- Bujasz! -Jak słowo...

- To czemu masz taką gębę?

Nimbus nie odpowiedział. Bo co tu było odpowiedzieć? Czuliśmy wszyscy, że trafiliśmy w próżnię. Z jakichś względów cios nie doszedł Koncewicza.

- Co z tego, że go ogoliliśmy, kiedy mu wcale nie zależało na brodzie -powiedział Tomiszewski. - Naprzód trzeba było go rozgryźć, potem golić. Wygłupiłem się, i koniec.

- Ma zimną krew, to wszystko — rzekł bez przekonania Nimbus.

- Zimna krew tego nie tłumaczy. On sobie kpił z nas na całego. Bimba sobie na brodę, na nas, na wszystko. Cholerny typ.

- Do diabła ciężkiego - zakląłem - przestańcie już mówić o tej przeklętej brodzie!

- Masz rację, Huba — odezwał się Mleczek — do diabła z brodą! Broda nie ma już więcej znaczenia! Szlus z brodą!

Spojrzelśmy na niego zaskoczeni. Mleczek uśmiechał się złośliwie i robił tajemnicze grymasy.

- Kulas, co z tobą? - zapytał Nimbus. Mleczek zachichotał i poklepał się po kieszeni.

- No, nie rób z siebie małpy! - krzyknął Nimbus.

- Panowie! Mamy typa w ręku. Chodźcie za róg. Pokażę wam coś. Mleczek ruszył biegiem przed siebie.

Za rogiem przystanął i wyciągnął z kieszeni małą fotografię.

- Widzicie, kto to jest?

- Ela Peremska! — wykrzyknął Nimbus.

-23-

- A tu - Mleczek obrócił fotografię. Na odwrocie widniały słowa:

Nieźrównanemu Lалу Koncewiczowi

Ela

Chwilą staliśmy jak uderzeni obuchem.

- Kulas, skąd to masz? Gwizdnąłeś?

Jasio Nimbus chwycił Mleczkę za kołnierz, ale puścił go zaraz. W jego oczach zabłyśły niebezpieczne iskielki.

- Była wetknięta za szybę w oknie - powiedział Mleczek.

- „Nieźrównanemu” - powtórzył przez zęby Nimbus. - Miałeś rację, Tomek - mruknął ~ me w brode trzeba było uderzyć. No, ale nic straconego. Nic straconego^ panowie.

- Co chcesz zrobić? - zapytał zaniepokojony.

- Zobaczysz jutro.

- Nie radzę mieszać w to Eli. Będziemy mieli do czynienia z jedenastką.

- Jedenastka będzie milczeć. To im zatka gęby - pokazał na dedykację - oni są piekielnie zazdrośni. Zostawią nam wolną rękę. Będzie ich także można napuścić na Koncewicza. No, teraz to przemaglamy chłopca.

- Nimbus - powiedziałem poważnie - zwróć to zdjęcie. To jest nieczysty chwyt.

- Huba, co to za mowa - zaniepokoił się Nimbus - drętwo jakoś zaczynasz.

- Powiem ci prawdę - odparłem - to wszystko zaczyna mnie już nudzić. Najwyższy czas wysiąść. Mówię ci, Nimbus. Najwyższy czas wysiąść.

- Nie - powiedział Nimbus.

- Jak chcesz — ziewnąłem — mnie tam nie ma. Ja mam dość. Ja wysiadam.

- Boisz się?

Zaśmiałem się i spojrzałem na zegarek.

- Odpływam i życzę powodzenia.

Nimbus spojrzał na mnie ponuro zmęczonym wzrokiem. Rozumiałem go dobrze. On też był zmęczony. On też chciałby wysiąść, ale nie potrafił. Będzie dryfował do końca.

Sądziłem, że pojawienie się Koncewicza z ogoloną brodą wzbudzi sensację wśród dziewcząt. Tak się jednak nie stało. Ku naszemu zdziwieniu przyjęły te> jego metamorfozę całkiem naturalnie.

Zdenerwowany Nimbus zaczął Si-
wińską;

- Klie wiesz, co się stało Koncewiczowi?
ię miało stać?

-24-

- No, ogolił się.

- To co? Już przedwczoraj zapowiedział, że się ogoli. Nimbus przygryzł wargi i odszedł.

Profesorowie również nie okazali specjalnego zdziwienia. Sądziło, że Kon-
cewicz ogolił się z racji jubileuszu pani dyrektorki, i komentowali jego decyzję z zadowoleniem. Takie przynajmniej były wieści z „nasłuchu” przyniesione przez Okapnika.

Zamiast drugiej i trzeciej lekcji odbyła się akademie. W części artystycznej gwoździem programu stał się występ Koncewicza. Lala odegrał na skrzypcach „Marzenie” Schumanna. Na sali zrobiło się słodko i błogo. Dziewczęta miały łzy w oczach (pytanie: z powodu Schumanna czy Koncewicza?), a pani dyrektorka podziękowała wzruszona młodemu skrzypkowi za — jak się wyraziła — „podniosłą ucztę duchową” i nazwała go „szlachetnym chłopcem, który zjednoczył nas w jedną rodzinę cudownym muzycznym zaklęciem”.

Widziałem, że Nimbusa o mało krew nie zalała. W każdym razie wszystko to dołało oliwy do ognia. Spodziewałem się szybkiej draki i nie omyliłem się.

Ledwie wróciliśmy do klasy, Nimbus z paczką rozpoczął głośną prowokację-

- Widzieliście coś takiego, panowie! Koncewicza fryzjer złapał.
 - Sprzedał brodę na materac.
 - Nie, bracie. Ela mu kazała. -Ela?
 - No, a co myślisz. Z brodą przecież niewygodnie. Kłuje. W klasie ucichły rozmowy.
- Ela siedziała zaczerwieniona, z zaciśniętymi ustami. Reszta dziewcząt umilkła. Tylko Siwińska odezwała się grubym głosem:
- No, no, zamknijcie się tam. Co was znowu napadło? Czego się jej czepiacie? No, czego?
 - Siwa, odkąd to jesteś adwokatem?
 - Pilnuj lepiej swojej maski. Koncewicz cię zdradził.
 - To nic, pociesz się Mleczką. Mleczko, poszedłbyś z Siwą na bal?
 - Iii, trzeba by ją inaczej zmontować.
 - Dosyć tych wygłupiań - zerwała się Ela -jak zaraz nie przestaniecie, to...
 - To co, Kiziu?

Ela opadła na ławkę, ukryła twarz w rękach i zaczęła płakać.

- Ela, złość piękności szkodzi.
- Eli nic nie zaszkodzi. -Już?
- Miłość ją wypiększa.
- Widziałeś ją na basenie? Zupełnie jak Brigitte Bardot.

-25-

Okapnik szepnął coś Jasiowi do ucha i Jasio zarżał.

- E, naprawdę?
- No, mówię ci! Tylko do filmu!
- Tak, to prawda, marnuje się dziewczyna.
- Ela, podobno w „Stodole” angażują do striptizu!
- To nie dla niej. Koncewicz byłby zazdrosny.
- Ela, czy to prawda, że wy tak a la Sagan?
- A mamusia wam pozwoliła?
- Daj jej spokój, nie widzisz, że się wstydzi? Ela wybiegła z ławki.
- Dokąd, maleńka?
- Puść, serce ją woła.
- My też potrafimy pocieszyć. Tomiszewski zagroził jej drogę i chciał ją objąć.

Nie wiem dokładnie, jak to się stało, dość, że w tym momencie zatraciłem zupełnie styl. Chwyciłem za kałamarz i wskoczyłem na ławkę.

- Uwaga! — krzyknąłem.

Rozległ się brzęk. Szyba poszła w drobne kawałki. Dziewczęta odskoczyły z piskiem. Tomiszewski puścił Elę.

- Wariat, co robisz? - ujrzałem przerażoną twarz Nimbusa.
- Dalej! Rozrabiamy na całego! - krzychałem. - No, co się tak patrzycie! Jazda! Nimbus, Mleczko, Okapnik, Tomiszewski! Co z wami? Boicie się! Ja się nie boję!

Zacząłem zbierać kałamarze i ciskać je jeden po drugim w okna, póki mnie nie rozbroili.

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich zadyszany Koncewicz ze skrzypcami pod pachą.

— Co tu się wyrabia? — wytrzeszczył oczy.

Zeskoczyłem z ławki, dopadłem do niego, chwyciłem za ramiona.

- Wal ich w mordę, rozumiesz - trząsałem nim - wal ich w mordę, bo inaczej ja ciebie... dzisiaj musisz ich walić!

Koncewicz patrzył na mnie jak na wariata, nic nie rozumiejąc zrazu. Potem przebiegł niespokojnym wzrokiem po milczącej i znieruchomiałej klasie, wreszcie dostrzegł w kącie płaczącą Elę. - Co jej jest? - zapytał. Oczy mu się zwęziły niebezpiecznie.

W swym czarnym ubraniu, nieskazitelnie białej koszuli i wykwintnym krawacie wydawał się obcy

naszej klasie. Nigdy nie wydawał się tak obcy jak właśnie w tamtej chwili.

-26-

- Coście jej zrobili? - zwrócił się niskim głosem do Nimbusa. — No mów, ty bydlaku! Cemu ona płacze?

Klasa wstrzymała oddechy. Burza wisiała w powietrzu. Nimbus zacisnął pięści, ale się nie poruszył. Może by się wszystko rozeszło po kościach, gdyby nie Mleczek.

- Pytasz się, czemu płacze? - oblizał wargi. - Ona tak, z miłości.

- Podobno ty i Ela... podobno wy... tego... - zachichotał Tomiszewski, ale nie dokończył.

Koncewicz zbladł i zamachnął się błyskawicznie. Usłyszeliśmy głuchy łomot. To Tomiszewski potoczył się pod ścianę.

- Jaaasiu, biiiija! - zawył Mleczek.

Ale nim Nimbus pospieszył mu z pomocą, już sam Tomiszewski się zerwał i z furją runął na Koncewicza. Lalu odchylił się i skontrował. Tomiszewski znów wylądował na ziemi. Chwilę kulił się na podłodze, potem próbował wstać na kolana, podpierając się rękami, ale nie mógł... Z nosa płynęła mu krew.

Okrzyk zgrozy przebiegł po klasie. Spojrzałem na Koncewicza. Stał w rozkroku nad Tomiszewskim i dyszał ciężko.

Lecz nim miał czas ochłonąć, już dopadli go z boku Nimbus, Okapnik i Mleczek, a za nimi pomniejszych bractwo klasowe, patałachy i słabosilni. Myślałem w pierwszej chwili, że go rozniosą. Dziewczeta zaczęły piszczeć przeraźliwie i zasłaniać oczy. Ale Lalu nie dawał się zjeść w kaszy. Uskoczył w bok, cofnął się do ławek. W sekundę później był już na pulpitych i szerzył spustoszenie w bandzie, kręcąc straszliwego młynca futerałem od skrzypiec jak maczugą. Raz po raz któryś z patałachów odpadał z wyciem. Lecz pozostali, zasłaniając się łokciami, szturmowali nadal wściekli z bólu i rozjuszeni.

Wreszcie udało im się przyprzeć Koncewicza do ściany. Lalu jednak ani myślał o kapitulacji. Mając zabezpieczone tyły, rozrabiał z zimną pasją. Kto wie, jak by się skończyła ta niesamowita batalia, gdyby Mleczek nie zastosował chwytu węża. Podpełził na brzuchu pod walczącymi jak gad, uczeplił się łydek Koncewicza i poderwał mu nogę. Lalu zachwiał się i runął. Bractwo wydało triumfalny okrzyk i zważyło się na niego jak szturmowa fala.

Przez chwilę widziałem jeszcze czarne pudło skrzypiec unoszące się na powierzchni kotłowniska jak szczątek zatopionego okrętu, potem rozległ się głuchy trzask, skrzypce zniknęły i już nic nie mogłem rozpoznać w tym niesamowitym kłębowisku rąk, nóg i czupryn.

Nagle ktoś wrzasnął:

- Dyrka!

Obróciłem się gwałtownie. W drzwiach stała przerażona „Babcia” z dzieńnikiem w ręku.

Wiedziałem, że jej pomarszczone usta poruszają się bezgło-

-27-

nie. Mówiła coś, ale w tym piekielnym harmiderze nie można było zrozumieć ani jednego słowa.

Minęło jeszcze kilkanaście sekund, zanim bractwo oprzytomniało, i z podłogi zaczęły się podnosić jedna po drugiej pokrwawione i wymiętoszone postacie. Wstał również Lalu Koncewicz. Dziwnym trafem nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń, tylko ubranie zwisało na nim w łachmanach, a oderwany rękaw odślaniał rozdartą koszulę. Dyszał ciężko i uśmiechał się smutno.

Kiedy plac wokół niego opustoszał, podniósł z podłogi potrząskane skrzypce i bez słowa ruszył chwiejnym krokiem na miejsce. Ułamany ślimak od skrzypiec dyndał na dwu skręconych strunach i objął się głucho o spłaszczone pudło.

- Koncewicz, twoje skrzypce! - szepnęła struchlała dyrektorka.

Zmartwiałym wzrokiem zaczęła przesuwając po posiniaczonych, pokance-rowanych twarzach, po przerażonych dziewczętach, zapłakanej Eli i wybitych szybach.

Więść o awanturze musiała już obiec całą szkołę, bo do klasy zaczęli zaglądać podnieceni i ciekawi uczniowie z innych klas, a za nimi prawie całe

grono pedagogów.

- Chłopcy, jak wy wyglądacie? - załamała ręce dyrektorka. - Co tu się wyrabiało?

Nimbus zerwał się pierwszy.

- A bo, pani dyrektorko, Koncewicz na nas napadł...

- Nieprawda, to oni zaczęli - podniosła się Siwińska.

- Tak, zaczęli dokuczać Eli - poparły ją ośmielone dziewczęta.

- Jak Boga kocham, pani dyrektorko - wykrzyknął Okapnik - nic takiego nie mówiliśmy!

- Zwyczajnie rozmawialiśmy, jak w klasie - zadyszał się Tomiszewski.

- Kłamstwo. Jak oni kłamią, pani dyrektorko! Wyśmiewali się z Eli...

- Tak, że nawet powtórzyć nie można...

- I z Siwińskiej... -Wyśmiewali się, że Ela...

- Że ona kocha Koncewicza...

- Byli okropni!

Podniósł się tumult i wrzask. Wszyscy mówili naraz jedno przez drugie.

- Cisza - rzekła drżącym głosem „Babcia” - Nimbus, co to było?

- E... nic, pani dyrektorko. Mówię przecież, żartowaliśmy trochę, pani dyrektorka wie - Nimbus sepleniał z zapuchłą twarzą.

- Żeby już się odezwać nie było można...

- A Koncewicz wpadł na nas i od razu do bicia. Niech pani dyrektorka zobaczy, co on z nami porobił... No, jak my wyglądamy.

- Żeby to jeszcze miał o co -jęknął Tomiszewski, ocierając krew z nosa.

-28-

- Tak, a Ela... — zerwała się Siwińska — oni takie rzeczy o niej opowiadali, pani dyrektorko, że... Za mało jeszcze oberwali, ja bym ich wszystkich...

- Siwińska! - zmarszczyła brwi dyrektorka.

- A co, może nieprawda? - zaperzył się Mleczko. - Samą prawdę mówiliśmy.

- Prawda w oczy kole - zauważył filozoficznie Okapnik, patrząc w sufit.

- E, no w ogóle prawda czy nieprawda - mówił pojednawczo Nimbus - to przecież były tylko żarty - spojrzał surowo na Mleczkę.

Ale Mleczko udał, że nie rozumiał.

- Jak nie było żartować, pani dyrektorko -jęknął - kiedy to było przecież śmieszne, co Koncewicz wyrabiał... Taki pozer, z tą brodą na przykład... albo z tą miłością...

- Miłością?... Koncewicz, co to znaczy? Koncewicz spojrzał na chłopców pogardliwie.

- Ech, co oni tam gadają. Nie warto słuchać. Oni nic nie rozumieją. To smarkacze, pani dyrektorko.

W tym momencie włączyła się milcząca dotąd Kwaskowska:

- Więc zaprzeczasz, że ty i Ela...

- Nie, to prawda — wyprostował się Koncewicz. — Kocham Elę, tylko...

- Nie opowiadaj takich rzeczy - zasapał pan Ostróg. - Bądźże rozsądny, Koncewicz... ceterum zawsze miałem cię za wybitnie rozsądnego młodego człowieka...

- Tak jest, panie profesorze, ale...

- Zaraz, spokojnie - przerwała pani Kwaskowska - więc mówisz, Koncewicz, że... hm... przyjaźnisz się z Peremską?

- To... to niezupełnie ściśle, pani profesorko. Kocham Elę od roku, ale...

- Nie używaj słowa, którego znaczenia nie możesz zrozumieć — rzekła ostro pani Kwaskowska.

- Tak jest, pani profesorko, chciałem tylko powiedzieć, że to ja ko... to znaczy... od roku interesuję się Elą, bo ona... ona mnie wcale nie znała...

- Jak to?

- Zaraz wyjaśnię... Ela miała abonament na koncerty w filharmonii i chodziła tam z matką... i tam ją poznałem... to znaczy nie poznałem, tylko zobaczyłem ją... chciałem powiedzieć, zwróciłem uwagę, no i... no i zaczęło się.

- Co się zaczęło?
- No... właśnie to... nie wiem, jak powiedzieć, bo pani profesorka zabroniła mi używać słowa...
- Wystarczy. Rozumiemy.
- Chcę tylko powiedzieć, że było to uczucie jednostronne, pani profesorko. Rodzaj złotego snu, jak się wyraża Juliusz Słowacki, bo Ela nic nie wiedziała.

-29-

- Koncewicz, bez żartów!
- Ja nie żartuję zdziwił się KotlCCwicz
- Buja, pani profesorko zadyszał Mleczo, "A fotografia"? Przecież mu dała fotografię... O, proszę, niech pani profesorka zobaczy... wyciągnął połamane zdjęcie i wręczył Kwaskowskiej. lam jesi nawvi dedykacja.
- Koncewicz! — zmarszczyła brwi profesorka.
- Ja to zaraz wyjaśnię... Ela zrobiła sobie zdjęcia do legitymacji szkolnej w Foto-Rubens na placu Trzech Krzyży. Jej zdjęcie było w gablocie na wystawie. Jak je zobaczyłem, kazałem fotografowi zrobić trzy odbitki formatu karty pocztowej. Rzecz jasna, to kosztowało specjalnie, pani profesorko, ale pani profesorka rozumie, w tych sprawach nie zwraca się uwagi na walutę.
- Ach tak- rzekła niedowierzająco pani Kwaskowska - i potem Ela podpisała ci to zdjęcie?
- Tak, podpisałam - wtrąciła Ela, podnosząc dumnie głowę. - Prosił mnie, więc mu podpisałam. Trzy dni temu mu podpisałam. Dlaczego nie miałabym mu podpisać. Lubiłam go...
- Więc przyznajesz, że... lubiłaś Koncewicza? - uśmiechnęła się cierpko pani Kwaskowska.
- Lubiłam. Wszystkieśmy go lubiły. On nie był taki jak inni. — Ela przygryzła wargi. — Przy tych idiotach to byśmy lubiły byle kogo... zupełnie byle kogo, pani profesorko, żeby tylko był człowiekiem, a Koncewicz...
- Ela! - wykrzyknęła pani Kwaskowska.
- Tak, tak, byle kogo - uniosła się Ela - oni są głupi i źli. A teraz zrobili się podli. A Koncewicz... Koncewicz był wspaniały... od początku.
- No co, nie mówiłem — wtrącił uśmiechnięty złośliwie Mleczo - ona się zakochała w Koncewiczu.
- Coś mi na to wygląda - wycodziła pani Kwaskowska nieprzyjaźnie.
- Nie przesadzajmy... nie przesadzajmy, koleżanko - obruszył się profesor Ostróg. - Koncewicz jej się podobał, ale nie można od razu mówić o miłości. To przecież dziecinada. Skąd Ela Peremska może wiedzieć o miłości.
- Och, panie kolego — pani Kwaskowska podniosła oczy do góry — pan jest idealistą, kolego Ostróg.
- Pan profesor ma rację. Nie wiedziałam. Pan profesor ma rację - dyszała Ela. - Ale pani profesorka też. Koncewicz podobał mi się od początku, ale nie wiedziałam wtedy, że go Kocham, nie wiedziałam do dziś...
- Ela, dziecko, co ty wygadujesz? - dyrektorka patrzyła na nią osłupiała.
- Nie wiedziałam do dziś - mówiła Ela z ogniem w oczach - ale teraz wiem. I mogę to każdemu powtórzyć. Wszędzie i przed wszystkimi. I nic się nie boję. Tak. Kocham Koncewicza. On może mnie nie... ale ja go Kocham i będę Kochała - wybuchnęła płaczem.

-30-

- Ela! - krzyknęła przestraszona dyrektorka.
- Ela - powtórzył cicho Koncewicz. Podszedł do Eli i dotknął jej ramienia. - Nie płacz. To głupie, Eluś.
Ela przestała szlochać i uśmiechnęła się do niego przez łzy. Profesorowie patrzyli na siebie zdezorientowani i zakłopotani. W klasie była cisza.
- Nie... no to jest już bezwstydné! — wybuchnęła wreszcie pani Kwaskowska. - Jak ona mogła!... Co za wyzywające zachowanie!... Nigdy bym się nie spodziewała... nie możemy tego tolerować!...

Wśród profesorów zapanowało poruszenie.

- Spokojnie - starała się ich uspokoić dyrektorka - dziewczyna jest podniecona... sama nie wie, co mówi...

- Tak, nie wie, co mówi - wykrzyknął zacięty Mleczek. - Ona dobrze wie, co mówi... nareszcie puściła farbę!

- Mleczek, spokój! — huknął profesor Ostróg. Ale Mleczek nie słuchał.

- Gdyby pani dyrektorka wiedziała... — gestykulował zacięty — nie chciałem wszystkiego mówić... ale teraz powiem... Pani dyrektorka nie wie, co oni wyrabiają... Ja sam widziałem, jak się całowali... tak, całowali się, pani dyrektorko... W parku Traugutta na bocznej ławce...

- Kłamie! - zerwała się Ela. - Nigdy się nie całowaliśmy. Nigdy nie byliśmy w żadnym parku... On nas nienawidzi i dlatego tak... Ale dobrze... nigdy nie całowałam Koncewicza, ale teraz go pocałuję...

Nim się zorientowaliśmy, dopadła do Lulu Koncewicza i pocałowała go przy wszystkich.

- Ela! - wykrztusił przerażony Koncewicz.

Chwilę patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, potem twarz mu się rozjaśniła i przygarnął dziewczynę gwałtownie do swej podartej marynarki.

- Boże! — wykrzyknęła panna Malinowska, mrugając oczyma.

- Zdaje się, że sprawa jest jasna - wycedziła pani Kwaskowska. Profesorowie chrząknęli bezradnie.

- Koncewicz i Peremska - rzekła cicho dyrektorka - przejdziecie z nami do kancelarii.

I wśród niesamowitego milczenia wyprowadzono Elę z Koncewiczem.

Następnego dnia ani on, ani ona nie pojawili się w szkole. Od razu roznios-i i q wieść, że zostali wylani. Sprawdziliśmy tę wiadomość dokładnie. Oka-ła się niezbyt słuszna. Koncewicz i Peremska zostali przeniesieni. Koncewicz do szkoły im. Lindego, a Ela do żeńskiej budy na Stołeczną.

Podobno u szta bez konsekwencji karnych. Rada pedagogiczna nie uwierzyła zezna-

-31-

niom Mleczi i wzięła pod uwagę dotychczasowe nienagane zachowanie oskarżonych.

Ponieważ był już koniec tujt, muli otrzymać promocje jeszcze z naszej budy. Oczywiście noty ze sprawowania obniżone o jeden stopień. Podobnie jak my wszyscy.

Przez dwa dni w szkole było dużo szeptów i plotek. Nimbus wypinał pierś i uśmiechał się zwycięsko. To prawda, że miał powód. Jeszcze nigdy nie udało nam się tak dokładnie wykończyć Kapuleta.

Potem uspokoiło się wszystko. Najbardziej zamacona kałuża kiedyś się ustoi. Wszystko musi iść naprzód swoim trybem.

Jedna tylko rzecz mnie zdziwiła. Niekonsekwencja Nimbusa. Dlaczego odsądził Mleczkę?

Mleczek zaraz na drugi dzień podszedł do nas z rękami w kieszeniach i uśmiechnął się krzywo.

- No i co? Dobra robota. Typa diabli wzięli. Ale Nimbus powiedział tylko:

- Tomiszewski, odstaw go.

Tomiszewski odstawił Mleczkę i wszyscy zrozumieli, że Mleczek wysiadł definitywnie i kategorycznie.

Mleczek skarżył się, że to niesprawiedliwe. Nie wiem. W każdym razie niekonsekwentne. Z pewnością niekonsekwentne.

Inna rzecz, że ja też byłem niekonsekwentny. Od tamtej chry zacząłem się niebezpiecznie wybrzuszać. Tak przynajmniej twierdził Nimbus. Wybrzuszyłem się do tego stopnia, że poszedłem odwiedzić Koncewicza.

Była niedziela, wczesne rano. Zastałem go przy rannych porządkach. Z nagim torsem zabierał się właśnie do mycia.

Nawet nie bardzo zdziwił się na mój widok.

- Siadaj - powiedział - dobrze, żeś przyszedł.

- Jesteś wściekły na nas?

- Skąd - wzruszył ramionami - niechący zrobiliście mi dużo dobrego.

Dzięki wam dowiedziałem się, że Ela mnie kocha.

- Naprawdę nie wiedziałeś o tym przedtem?

-Nie.

- Wyleciałeś z budy - zauważyłem ponuro.

- To nie ma znaczenia. Zresztą wyleciałem dosyć honorowo i bez poważniejszych następstw. Wasi belfrzy to morowa ferajna — Koncewicz zaśmiał się. — Czy nie rozumiesz, że chodziło mi tylko o jedno? Chciałem poznać Elę. Tylko dlatego przecież przeniosłem się do waszej budy.

Wytrzeszczyłem oczy.

-32-

- Nie bujaj.

- Mówię, jak było. Ja, bracie, stawiam sobie cele i realizuję je. Życie bez tego byłoby piekielnie nudne. Kiedy rok temu zobaczyłem Elę, nie wiedziałem, że to mnie tak weźmie. Nie chciałem o niej myśleć. Mówiłem sobie, że to głupie. Ale nie dało się. To była bardzo mocna rzecz. Wtedy postanowiłem, że muszę ją poznać. A jak sobie coś postanowię, to szkoda gadać. Dlatego przeniosłem się do waszej budy. Chciałem być przy niej.

- I powiedziałeś jej?...

- Jasna rzecz. Ale ona nie chciała wierzyć i w ogóle mówić na ten temat. Nie wiedziałem, co robić, i postawiłem jej ultimatum. Powiedziałem jej, że zapuszczam brodę i będę ją nosił tak długo, aż uwierzy, że ja naprawdę...

Słuchałem go z podziwem.

- To był śmieszny pomysł, ale nic lepszego nie wpadło mi do głowy — ciągnął Lalu. — No, ale grunt, że poskutkowało. Inna rzecz, że wyście mi w tym bardzo pomogli. Byliście tacy okropni, że przy was nawet diabeł miałby szansę, no, a ja nie jestem znowu takim diabłem — przymrużył szelmowsko oczy. — Dość, że na dwa dni przed tą całą awanturą porozmawialiśmy poważnie. Przekonałem się wtedy, że wszystko jest na dobrej drodze i że mam u Eli szansę. Tak że kiedy przyszliście mnie golić, nie zależało mi już wcale na brodzie i cała ta historia strasznie mnie ubawiła. A potem już wiesz. Gwizdnęliście mi fotografię i zrobiliście tę ohydną drakę. To podziałało na Elę jak katalizator. Rozumiesz teraz, że właściwie nie mogę mieć do was urazy. Szkoda mi tylko skrzypiec i ubrania. Nie mogę teraz zarabiać graniem i przez to zrobiła się u mnie bryndza. Musiałem nająć się do roboty u jednego badylarza we Włochach.

- A co z Elą... Podobno jej starzy...

- Starzy jak starzy. Kiedy poszedłem do nich wyjaśnić sprawę, wyrzucili mnie za drzwi. Jakby to była moja wina, że wybuchł ten skandal. Na szczęście ani ja, ani Ela nie jesteśmy histerykami i nie robimy z tego tragedii. Wierzymy w siebie i to nam na razie musi wystarczyć. - Lalu wycierał się zamazyście licznikiem. - Może tak i lepiej - dodał pochmurnie po chwili. - Jestem jeszcze niczym. Żeby to wszystko miało jakiś sens, żeby nie było beznadziejnie smut-ne, muszę kimś być... coś znaczyć. Dlatego na razie zaplanowałem akcję „In”.

-In?

- Inwestowanie w szare komórki mózgu. Jest to dość kłopotliwe, ale póki \\ iem, że Ela mnie kocha...

A jeśli ona przestanie, jeśli jej to przejdzie, zanim ty... Koncewicz odrzucił ręcznik i chwycił mnie gwałtownie za ramiona. Od-hyliłem się zdumiony. I wtedy zobaczyłem nad sobą jego oczy. Był w nich ii ach.

-33-

Wielka heca

V-Jd samego początku kolonia ta zapowiadała się ponuro. Wyobraźcie sobie odludzie. Z jednej strony — las, z drugiej — jezioro, które nie wiem kto i dlaczego nazwał Pogodne, chociaż bez przerwy szalały po nim burze. Na jeziorze mała wyspa z rumami ponemieckiego bunkra. Nad jeziorem poręba -taki plac dwieście metrów w jedną stronę, pół kilometra w drugą, zresztą, dziś już wcale niepodobny do poręby, bo na nowo zarośnięty zdziczałymi ogrodami. W tych ogrodach dwa gmaszyska z czerwonej cegły. Jedno - dawne koszary pruskie, drugie — pałac generała, w którym właśnie zakwaterowano kolonie. Koszary są zrujnowane, bez okien. Tylko w lewym skrzydle

ocalało kilkanaście izb. Zajmuje je obecnie schronisko PTTK. Poza tym mieszka tam rybak i kierownik przystani kajakowej w jednej osobie, dawny żołnierz, inwalida bez nogi i niesamowity typ. Nazywają go Cyryl - nazwiska nikt nie pamięta. Zresztą Cyryl nikomu się nie przedstawia. To nie leży w jego zwyczaju. W zwyczaju Cyryla leży natomiast kurzenie ohydnych, cuchnących „skrętów” z samosiejki, nade wszystko zaś w zwyczaju Cyryla leży straszenie turystów i chłopców z kolonii. Trzeba powiedzieć, że jest czym straszyc w Lulkach.

Ledwie przyjechaliśmy i jako tako rozgościliśmy się w mrocznych izbach pałacu, przyszedł Cyryl z milicjantem Orzeszko. Najpierw rozmawiali z naszym kierownikiem, panem Muchą, a potem pan Mucha wyjął gwizdek i zrobił zbiórkę w sali generalskiej - największej sali pałacu. Kiedy zaś już staliśmy wystraszeni w rzędzie, rozległo się stukanie drewnianej nogi o posadzkę i zjawił się Cyryl w towarzystwie kierownika Muchy oraz obu wychowawców: pana Bąkowskiego, zwanego Łopatką i pana Lewandowskiego. Na końcu zaś przybył wielki jak niedźwiedź milicjant Orzeszko i uroczyście zamknął drzwi, po czym chrząknął urzędowo na znak, że można zaczynać.

-34-

Pan Mucha przedstawił wtedy Cyryla jako kierownika przystani i „władcę Jeziora Pogodnego”, jak go żartobliwie określił, i powiedział, żebyśmy dobrze słuchali, co Cyryl powie. Chciał jeszcze dłużej żartować, żeby trochę rozjaśnić ponurą atmosferę, jaka się wytworzyła, ale Cyryl zapalił właśnie swojego skręta i panu Musze nie pozostawało już nic innego, jak tylko zatkać nos i uciec czym prędzej do okna. Już wtedy zauważyliśmy, że jest słabego zdrowia, co miało później poważne konsekwencje na kolonii.

Tymczasem Cyryl pociągnął jeszcze ze dwa razy i uznawszy, widać, że atmosfera jest dostatecznie zadymiona, „wstawił mowę”. Od tej mowy ścierpła nam do reszty skóra. Powiedział, że dwa dni temu utopiło się w jeziorze dwóch chłopców z poprzedniego turnusu, Rotpelc i Michalski, i że ciała ich jeszcze nie odnaleziono, czemu on, Cyryl, się nie dziwi, ponieważ w jeziorze żyją węże wodne żywiące się topielcami. Powiedział nadto, że w wodzie są wodorosty, „hydry”, oplatające nogi pływaków i ściągające ich na dno. A na mieliznach - ostre, zardzewiałe, a niewidoczne wraki niemieckich kutrów. A więc nie wolno się kąpać poza linią oznaczoną i wypływać kajakami dalej niż trzydzieści metrów od brzegu. Nie wolno także waleśać się samotnie po lesie, a zwłaszcza oddalać poza drogę numer trzy, za którą znajdowały się pola minowe. Wprawdzie saperzy je rozminowali, ale w zeszłym miesiącu koniowi tam nogę urwało. Więc nie wiadomo, czy która mina nie została. Trzeba także uważać na nogi i nie chodzić boso, bo w okolicy są żmije, oraz nie kaleczyć się, bo w tutejszym błocie „siedzi tęzec” i prawie każdy skaleczony umiera w strasznych męczarniach.

W tym miejscu pan Mucha chciał przerwać i zaprotestować, że to jest chyba przesada, ale Cyryl zmierzył go karcąco wzrokiem i mrugnął powieką, a może nam się tylko zdawało. Kiedy to nie poskutkowało i pan Mucha chciał mimo wszystko zabrać głos, Cyryl dla świętego spokoju pociągnął dwa razy skręta i tym sposobem skutecznie odegnał pana Muchę. Po czym powiedział, że nie należy bawić się niewypałami, które leżą dookoła kolonii. Ale żeby się nie przejmować, bo poza tymi małymi przykrościami, które wymienił, na kolonii jest cudownie. Życzył nam przyjemnego odpoczynku po nauce oraz nabrania sił do nowej pracy, do wykonania planu nauki.

Następnie milicjant otworzył drzwi. Cyryl wyszedł, stukając drewnianą nogą wśród grobowej ciszy, uśmiechając się przyjaźnie.

A pan Lewandowski od razu powiedział:

- Słyszeliście, co mówił pan Cyryl? Tu grożą niebezpieczeństwa. Jedyne karność i posłuszeństwo mogą was uchronić od takiej przygody, jaka spotkała lamtych nierozważnych chłopców z poprzedniego turnusu - Rotpelca i Mi-i halskiego.

-35-

Potem rozległ się dzwon na kolację i wszyscy, nieco szybszym niż normalnie, jakby spłoszonym krokiem, udali się w milczeniu do jadalni.

Zanim poszliśmy spać, dyskutowaliśmy, czy to jest prawda, co mówił Cyryl.

- Straszył — powiedział Mańka, składając na kant spodnie. — Myśli, że

trafił na dziubasów.

- Ma się rozumieć - przytaknął jego kumpel Krahelski - straszyl.

- Byliśmy już na pięciu koloniach i możemy coś o tym powiedzieć, no nie, Mańka?

- Możemy - przytaknął Mańka - na wszystkich koloniach straszą. Ale nigdzie nie jest znowu tak źle, jak straszą.

- Jakby było tak źle - wtrącił Krahelski - to by nie organizowali tu kolonii.

- Poza tym ja widziałem, jak on mrugnął okiem do pana Muchy - rzekł Mańka, ściągając but - stałem blisko i widziałem.

- Naprawdę widziałeś? - zainteresował się chłopak w okularach, zwany Pyckiem, który najbardziej się bał.

- Jak mamę kocham! Znaczy, że lipę wstawiał.

- Może mu oko samo mrugnęło? - powątpiewał Pycek. - Niektórym ludziom z nerwów drga powieka.

- E, tam! Taki wiarus i nerwy! - Mańka otulił się kocem. - Idźcie lepiej spać, jutro, jak się wyśpię, wybadam i powiem, czy kolonia będzie w dechę i czy się da rozrabiać.

- Trzymaj się od nich z daleka - pociągnął mnie Jasio Fraczek. - Oni na pewno będą tutaj rozrabiać. Po to tu przyjechali. Ja ich znam. W zeszłym roku byłem z nimi nad morzem. Urywali się na całe dni i piekli ryby po wydmach. Wopiści ich ganiali. I las mało co przez nich nie spłonął. Dawniej jeździli z koloniami kolejarskimi, bo ich starzy są na kolei, ale już ich tam nie przyjmują. Za bardzo rozrabiali. Więc teraz jeżdżą, gdzie się da. A raczej, gdzie ich jeszcze nie znają.

- Spokojna głowa - powiedziałem, kładąc się do łóżka. - Nic nie zrobią. Za nisko skaczą na nasz poziom. A swoją drogą wołałbym, żeby pod względem Cyryla mieli rację. Gdyby tak było, jak on mówi! Brr! To byłyby diabelskie kolonie!

W nocy obudziły nas przeraźliwe krzyki, a potem jakaś kawalkada po schodach. Zerwaliśmy się z łóżek i wybiegliśmy na korytarz. Schodami biegł tabun chłopaków w koszulach. Wszyscy sadzili na górę.

- Co się stało? - zapytałem Mańkę, rozpoznawszy go w tłumie galopujących.

— Coś się stało z Pyckiem... Wiesz, z tym fąblem w okularach, co się tak bał. Podobno miał widzenie.

- Widzenie?... Jak to widzenie?... Co to znaczy? Nie rozumiem.

— Chodź, to zobaczysz.

-36-

Na górze kierownik Mucha i obaj wychowawcy uspokajali Pycka, który ilyszał ciężko i wciąż nie mógł jeszcze przyjść do siebie.

Oczywiście, bezsensowny alarm.

Na górze, na facjacie, spało dwóch chłopców, dla których zabrakło miejsca w salach dolnych: niejaki Pycek Tadeusz, o którym już wspominałem, i gruby Majtla. Majtla spał jak zabity i twierdził, że nic nie słyszał i nie widział. Natomiast Pycek Tadeusz utrzymywał, że mu się ogień pokazał na jeziorze.

- Jaki ogień? - denerwował się kierownik Mucha. - Musiało ci się zdawać. \lbo ci się śniło.

- Nie... Nie mogło mi się śnić! - upierał się Pycek. - Bo to było tak: wieczorem, kiedy szliśmy spać, ta facjata strasznie nagrzała się od słońca, więc zostawiliśmy na noc okno otwarte. Ale w nocy zrobiło się zimno i zmarłem pod kocem. Majtla ma tłuszcz, to jemu nie zimno, aleja zmarłem i wstałem, zczy zamknąć okno. I wtedy zobaczyłem na jeziorze ogień. Musiało to być wielkie ognisko, skoro było je widać z tej odległości, tym bardziej że na jeziorze zawsze wieczorem jest mgła. I nagle usłyszałem przeraźliwy huk. A potem zaczęły nadlatywać odrzutowce i wszystkie spadły do jeziora. Więc zacząłem krzyczeć, bo myślałem, że wojna.

Wychowawcy westchnęli i spojrzeli po sobie niespokojnie. Potem pan Mucha położył rękę na czole Pycka Tadeusza, a pan Lewandowski wsadził mu pod pachę termometr.

- To wszystko musiało ci się zdawać. Idź spać, synku - rzekł kierownik. -A może wolałbyś spać na dole.

- Tak, proszę pana.

- No to chodź! — Pan Mucha otulił się kocem i sprowadził za rękę Pycka Tadeusza.

Nazajutrz przyjechał lekarz powiatowy i badał Pycka Tadeusza. Podgląda-liśmy przez dziurkę od klucza i stwierdziliśmy, że bardzo dziwnie go badał. Najpierw posadził Pycka na krzesło i bił drewnianym młotkiem po kolanach, a potem postawił go w kącie tyłem do pokoju. Skradał się do niego na palcach i straszyl znieńacka. Wreszcie, na zakończenie, kazał mu chodzić od ściany do ściany z zawiązanymi oczami i wyciągniętymi rękoma.

Po tych wszystkich badaniach orzekł, że Pycek Tadeusz jest nerwowym. Zapisał mu lekarstwa i kazał mu spać w osobnym pokoju. Odtąd nazywaliśmy 1 'y cka Tadeusza — Nerwowym, a pan Mucha kazał mu spać w komórce za kuch-nią. Odtąd też Nerwowym krzyczał codziennie, bo w komórce biegały karaluchy. Ale nie było na to rady. Pozostałe pomieszczenia zajmowały całe grupy i Nerwowemu pozostawała tylko ta komórka.

Zresztą wkrótce na kolonię spadły inne, gorsze kłopoty i nikt sobie już nie zawracał głowy Pyckiem Tadeuszem. Oto bowiem zaniemógł pan kierownik

-37-

A

Mucha. Dawno już zauważyliśmy, że jest słabego zdrowia, a teraz musiał sobie na dodatek zaszkodzić Pyckiem Tadeuszem. Dość, że zaniemógł na serce. Był u niego lekarz powiatowy i kazał mu leżeć. Więc pan Mucha leżał po całych dniach w cieniu na leżaku, okręcony kocem, i wszyscy go żalowali. A już najbardziej chyba Kowboje. No, bo mieli nie byle jakie powody.

Choroba pana Muchy poważnie zaciążyła nad życiem całej kolonii. Wszystko teraz spoczęło na grzbiecie Łopatki, czyli pana Bąkowskiego. Pan Bąkow-ski od razu nam się nie podobał i budził rozmaite zastrzeżenia. Był młody i silny i nic nie uszło jego uwagi. Kowbojom, ledwo go zobaczyli na dworcu w Warszawie, od razu zrzęda mina. A kiedy się w dodatku dowiedzieli, że student - spuścili nosy na kwintę.

- Student z bródką i do tego we wzorzystej koszuli - mruknełi ponuro - widzieliśmy takich w zeszłym roku. Biorą za mordę. I lubią się pokazać.

Potem co prawda humory im się poprawiły, kiedy się okazało, że pan Bą-

kowski został wyznaczony wychowawcą dzieci młodszych, czyli — „Krasnali”,

jak je złośliwie nazywaliśmy, ale zawsze niechęć pozostała. Nic więc dziwnego, że z miejsca zaczęli do pana Bąkowskiego przymierzać przezwiska. Z początku nazywali go „Student”, potem przez jakiś czas „Bródka”, a potem wyklarowało się ostatecznie i przyłgnęło do pana Bąkowskiego przezwisko „Łopatka”. Nie wiadomo dokładnie dlaczego. Czy to dlatego, że miał bródkę w kształcie łopatki, czy też dlatego, że nosił stale przy sobie saperkę u pasa i bez przerwy, z podziwu godną cierpliwością, zakopywał papierzyska, potłuczone butelki, skorupki od jaj, niedopałki i ogryzki zostawione w lesie lub na plaży przez niechlujów i świntuchów.

Kowboje przypatrywali mu się szyderczo i kpili. Śmieszny człowiek. Widział kto taką manię!

Aż nagle śmiech zamarł im na ustach. Pan Mucha zaniemógł i wszystko

ujął w swe ręce Łopatka.

- No, teraz weźmie chłopaków do galopu - powiedzieli. Przez jakiś czas pozostawała nam jeszcze nadzieja, że kierownictwo obejmie nie Łopatka, ale pan Lewandowski... Ale rozwiła się szybko.

Pan Lewan-dowski miał coraz mniej czasu. Jeździł po prowiant i zdobywał mięso. Musiał zdobywać, bo kucharz Gąsior zagroził, że odejdzie. Twierdził, że kasza zamuliła mu już żołądek, a nadto, kiedy nie je mięsa, robią mu się pryszczki i dostaje swędzenia szczęki dolnej. Mówiąc to, drapał się w okolicach żuchw i coraz bardziej ponuro patrzył na pana Lewandowskiego. Więc pan Lewandowski musiał jeździć i sprowadzać mięso dla kucharza Gąsiora. A na kolonii zapanował niepodzielnie Łopatka.

Nie dane nam było zaobserwować stanu przejściowego, czyli okresu przejmowania władzy przez Łopatkę. Byliśmy bowiem przez dwa dni „na wyjeź-

dzie służbowym" razem z panem Lewandowskim i pomagaliśmy mu zdobywać mięso. Wracaliśmy z niepokojem. Kowboje mają rację. Łopatka wygląda na takiego, co może wziąć do galopu. Czego można się spodziewać po typie, który cały dzień chodzi z saperką i zakopuje śmieci? Żył. Będzie żyłował. Założy nam hamulce, że proszę siadać. A ostatecznie nie po to człowiek haruje cały rok w budzie, żeby na wakacjach nie pohasać trochę. Zawsze mówią: „nie brykaj w klasie, pobrykasz na wakacjach" albo „nie gwizdź w szkole, będziesz gwizdał w lesie", albo „nie szalej na korytarzu, wyszalejesz się w wodzie". Ładnie będzie wyglądać to szaleństwo przy Łopatce. Wyszalejemy się wzorowo. Ech, płakać się chce! Z ponurymi i niespokojnymi minami wróciliśmy do Lulek i od razu odszukaliśmy Kowbojów.

- No jak? - zapytałem ciekawie. Mieli strute miny.

- Nie da się żyć - splunął Mańka.

- Łopatka jest złośliwy - powiedział ponuro Krahelski - rano o szóstej wpada z trąbką i budzi.

-1 każe co dzień czyścić zęby.

-1 w ogóle nie zna się na kawałach.

- Zupełnie się nie zna.

Rzeczywiście, przekonaliśmy się, że Łopatka zupełnie nie znał się na kawałach. Kiedy Mańka i Krahelski spreparowali tuby z pastą do zębów, należące do malców, i domieszali tam oleju rycynowego z apteczki, Łopatka przyniósł szczotki i ścierki i kazał Kowbojom robić porządek w łazienkach. Kiedy podczas ciszy poobiedniej łechtali Józia Kanarka i Józio Kanarek krzyczał, Łopatka skierował ich natychmiast do oprawiania ryb, widocznie na tej zasadzie, że ryby nie krzyczą. A w ogóle zastaliśmy nowe porządki.

Na jeziorze Łopatka kazał umocować na pływakach chorągiewki i wyzna-i zył bajorko do kąpieli. Kowboje nie posiadali się z oburzenia.

- Tak płytko?! Na żadnych koloniach tego nie było. Zaraz przy samym brzegu chorągiewka! Sadržawka dla niemowląt!

Ale nie pomogły protesty. Łopatka wyznaczył i koniec. A na kajakach — M ogóle nie pozwalał. Z dnia na dzień miny Kowbojów wydłużały się coraz bardziej.

Chodzili melancholijnie i patrzyli spode łba na Łopatkę. Tracili apetyt, mizernieli w oczach. Nie dla nich takie życie. Wszystkie plany wypieszczone, noszone w junackich sercach, wzięły w łeb. Ostatecznie, jak się człowiek wała wywieźć na kolonie, to coś z tego chce mieć. Strasznie się czuli po-ki/ywdzeni przez Łopatkę. Przecież pojechali tylko dlatego, że kierować miał

pan Mucha. Wiadomo było, że przy panu Musze można oddychać swobodną kowbojską pierśią. Pan Mucha siedzi w cieniu, szyję okręci szalikiem, bo ma wrażliwe gardło, więc ruszać bardzo głową nie może, a nawet jeśli coś zauważy, to tylko palcem pogrozi.

A tu zamiast łagodnego, grożącego tylko palcem pedagoga - wszędobyłski i wszystkowiedzący, ostry jak nóż - Łopatka. I to Łopatka, któremu musieli podpaść. Bo nie ulega wątpliwości, że na domiar wszystkiego podpadli Łopatce. Miał ich na oku. Żeby zaś ich okiełzać i poskromić do reszty, zdobył się na wyrafinowaną złośliwość. Oto ni mniej, ni więcej, tylko polecił im zabawić, między czwartą a szóstą godziną po południu, Krasnali.

Owszem, o dziwo, zabawiali! Spodziewaliśmy się od razu jakiegoś buntu i protestu, ale oni zabawiali. Bomba wybuchła dopiero za dwa dni, w czwartek. Tego dnia po śniadaniu mieliśmy wyruszyć na wycieczkę. Grupy starszych chłopców zebrały się na boisku i czekają na mikrusów. A mikrusów jak nie ma, tak nie ma. Chłopaki denerwują się. Wreszcie Łopatka każe zobaczyć, co się z nimi dzieje. Skoczyłem na ochotnika.

Kiedy tylko wszedłem na schody lewego skrzydła, gdzie była świetlica, doszły mnie jakieś krzyki i łomotania. Czyżby jakaś rozróbka w świetlicy? Ale co by mikrusy robiły w świetlicy o tej porze? Natężam ucho. A oni rzeczywiście krzyczą. Dopadłem do drzwi. Zamknięte na klucz. A na kłamec nadziana kartka. Rozwinąłem ją i przeczytałem. Był to list od Kowbojów.

„Mamy dosyć. Dziękujemy za wszystko Łopatce i wracamy do domu. Szkołę to my mamy u nas, w Wołominie, a tu przyjechaliśmy po swobodę. Cześć pracy”. Podpisano: Mańka i Krahelski. Wypuściłem zamkniętych mikrusów i zastanawiałem się, co mam powiedzieć Łopatce. Na szczęście nie musiałem podejmować niewdzięcznej bądź co bądź decyzji. Łopatka był już przy mnie i bez słowa wyjął mi kartkę z rąk. Przeczytał. Przygryzł wargi. Resztę opowiedzieli mu Krasnale.

Oczywiście z wycieczki zrobiły się nici. Zamiast wycieczki Łopatka natychmiast zarządził pościg za Kowbojami do stacji, a kucharzowi Gąsiorowi polecił dzwonić na milicję, żeby nie pozwolono Kowbojom wyjechać.

Szukaliśmy dzielnie przez całe przedpołudnie, aż do obiadu. A po obiedzie Łopatka wisiał przy telefonie i dzwonił na wszystkie strony. Wiadomości jednak były mało pocieszające. Nigdzie, na żadnej stacji, ani na przystanku PKS nie widziano Mańki i Krahelskiego, ani w ogóle żadnych nieletnich chłopców. O godzinie piątej po południu zjawił się natomiast Cyryl z wyjątkowo ohydny skrzykiem w kącie ust i bez słowa położył przed oniemiałym Łopatką dziurawy trampak Mańki i nogawkę od farmerek Krahelskiego. Położył przed Łopatką w milczeniu i mrugnął okiem.

-40-

Wtedy zrozumieliśmy z przerażeniem, że to jego mrugnięcie okiem nie było umyślne i że Cyryl miał taki tik, który mu pewnie pozostał z czasów wojny. Czyżby więc wszystkie te rzeczy, którymi nas straszyl, istniały naprawdę?

- Skąd to wzięliście, Cyrylu? - wykrztusił przerażony Łopatka.

- Z sieci. Złowiło się w sieci. Musiała fala przynieść ze środka jeziora. Jedno jest tylko dziwne — mruknął i urwał, bo przeraziła go blada jak ściana twarz Łopatki.

- Co jest dziwne? - szepnął Łopatka. - Dokończcie.

- Że żaden kajak nie zginął. Nie bardzo więc rozumiem, czym popłynęli.

- Dlaczego myślicie, że popłynęli? Może po prostu wpadli do wody.

- Popłynęli. Napisali przecież, że uciekają do domu. Po tamtej stronie jeziora jest szosa na Kętrzyn i przystanek PKS. Na pewno więc chcieli się przeprawić przez jezioro.

Łopatka wyjął chusteczkę, otarł czoło z zimnego potu i opadł na krzesło załamany. Cyrylowi żal się go widocznie zrobiło, bo trącił go łokciem, a kiedy Łopatka się odwrócił, dał mu na wyciągniętej łapie tytoniu i bibuły. Patrzyliśmy, co z tego wyjdzie, bo Łopatka nie palił i w ogóle nikomu nie pozwalał kopać w jadalni. Łopatka, nie patrząc, wziął tytoń, skrzył skrzyta i obaj z Cyrylem zakurzyli obrzydliwie, aż nas zakrzyło w nosie.

Tak, tak. Rozumieliśmy wszyscy, że mu dopiekło. Taka historia na koloniach każdego wychowawcę wykończy. Będą pisali w gazetach: „Znów śmierć w jeziorze. Na skutek niedbalstwa wychowawcy” i tak dalej, i tak dalej. Będzie miał Łopatka zepsuta opinię na całe życie. Może mu nawet sprawę wytoczą za utopienie chłopców i do więzienia pójdzie? Ech, urządzili Kowboje Łopatkę.

A potem gruchnęła jeszcze wieść, że akurat pojutrze rano ma przyjechać inspekcja z kuratorium i delegacja rodziców z komitetu, i redaktor z prasy. Tego tylko brakowało. Ładna niespodzianka ich tu czeka. Będzie się miał z pyszna brodaty człowiek w kolorowej koszuli.

Tymczasem sprawy zaczęły wyglądać coraz bardziej ponuro.

Jeszcze przed kolacją przyjechała milicja i zabrała Łopatkę. Jedni mówili, że na badania, a drudzy, że do więzienia, a jeszcze inni, że na poszukiwanie zaginionych Kowbojów. Faktem jest, że od godziny motorówka i dwie łodzie żaglowe krążyły po jeziorze.

Odprowadziliśmy Łopatkę niespokojnym wzrokiem. Potem długo panowała cisza. Wreszcie odezwał się Józio Kanarek, ten, którego Kowboje łechta-li. Powiedział, że Łopatka był sprawiedliwy i że jak Łopatka pójdzie do więzienia, to już nie ma sprawiedliwości na świecie. On, Józio Kanarek, może zaświadczyć, że Łopatka zawsze brał go w obronę i nie pozwolił skrzywdzić i że w ogóle wszystko na kolonii opierało się na Łopatce i bez Łopatki na kolonii zapanowałoby Kowboje.

-41-

Ledwie Józio Kanarek skończył, odezwały się mikrusy. Byli bardzo niespokojni, pytali, czemu milicja zabrała Łopatkę i powiedzieli, że nie pozwolą, żeby go zabierali z kolonii, bo Łopatka był

dobry i wesoły i znał różne zabawy i że oni, mikrusy, nie bali się przy Łopatce, a teraz się strasznie boją większych chłopaków, że będą sobie na nich używać tak jak Kowboje i będą robić im syfona i różne inne nieprzyjemne rzeczy.

A więc już wtedy ujawniła się niezgodność zasadnicza co do Łopatki, czyli rozwarstwienie opinii, i przekonaliśmy się ze zdumieniem, że Łopatka ma zwolenników.

Tego wieczoru na kolonii każdy robił, co chciał. Wszystko było wolno. Wybór zależał tylko od tego, na co się miało ochotę. Niestety polegało tylko na tym, że zbyt wielu miało ochotę na tę samą rzecz. Nie wiem, dlaczego wszyscy uparli się, że będą się kąpać w jedynej wannie, jaka była na kolonii. Myślałem, że jak Łopatki nie ma, wszyscy pójdą raczej do jeziora, a oni nic, tylko do wanny. Jakby im dawniej kto zabraniał.

Więc wynikła z tego straszna rozróżba i ogólne lanie się wodą. Potem ganiłi się po schodach i rznąli balaskami od poręczy. Rozebrali w ten sposób pół schodów. Aż dziw, że żaden nie spadł. Poszły za to dwie szyby, a Pajęcki z trzeciej sali rozciął sobie rękę do kości. Malcy zrobili najmądrzej, bo zamknęli się na samym początku w swojej sali i nikogo nie wpuszczali. Ale rzecz jasna, nie jedli kolacji. Nikt do pomocy nie zmrużył oka. Bez przerwy trwała bieżanina i różne draki. Co się który z chłopaków położył do łóżka, to łu-bu-du - leży jak długi na podłodze i rozciera plecy, bo jacyś dranie wszystkie łóżka porozczepiali, więc załamywały się pod lada ciężarem.

Pan Mucha raz po raz wstawał i okryty kocem jak Arab wychodził na schody. Ręce trzęsły mu się z przerażenia.

- Chłopcy... moi chłopcy... - powtarzał bezradnie. Ale nikt na niego nie zwracał uwagi.

A on nic nie mógł zrobić, bo był sam. Pan Lewandowski znów jeździł gdzieś „za mięsem”, a kucharz poszedł na zabawę do schroniska PTTK.

To samo powtórzyło się na drugi dzień. A trzeciego wieczorem o dziesiątej wrócił wreszcie Łopatka. Jasio Fraczek, Tadeusz Pycek, Józio Kanarek i ja natychmiast udaliśmy się do niego. Łopatka siedział z opuszczonymi rękoma na tapczanie i myślał nad czymś głęboko. Głowę miał obwiązaną ręcznikiem.

— A, to wy — rzekł raczej ostro i niezachęcająco - czego chcecie? Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć.

— Czy pan sobie rozbił głowę? — zapytałem wreszcie.

—Nie — odparł, poprawiając ręcznik—rozboleła mnie ze zmartwienia. Pierwszy raz w życiu rozboleła mnie głowa.

-42-

- Bardzo nam przykro, proszę pana — powiedziałem. Łopatka spojrział na mnie podejrzliwie.

- Nabijacie się ze mnie.

- My naprawdę... — chrząknąłem — my... my... odczuwamy proszę pana...

- Nie zauważyłem, żebyście cokolwiek odczuwali. Nie spotkałem na kolonii podobnych okazji. A w ogóle, co to znaczy ta mowa? Byliśmy przecież na wojennej stopie. Zalałem wam nieco sadła za skórę. Odetchniecie, jak mnie stąd diabli zabiorą. Byłem dla was za ostry, co?

- Wedle stawu grobla, proszę pana — rzekł filozoficznie Tadeusz Pycek, przyglądając się Łopatce zza okularów — inaczej by roznieśli kolonię. Pan wie, co się wyrabiało, jak pana milicja zabrała.

- Bo my właśnie w tej sprawie — wtrącił głośno Józio Kanarek — żeby pan zaczął działać.

-1 zrobił porządek - dodałem.

- Bo już nie można wytrzymać - zakończył Kanarek.

Łopatka zerwał się tak gwałtownie, że odskoczyliśmy przestraszeni.

- Ja wam pokażę urągać mi w ten sposób - zaczął krzyczeć. - Znam się na waszych zagrywkach. Już was tu nie ma! Używacie sobie na moim nieszczęściu.

Zrobiło nam się nieprzyjemnie. Zupełnie jakby nas ktoś poczęstował przypaloną zupą.

- My naprawdę... - odważył się wreszcie Jasio Fraczek. - Jak mamę kocham, profesorze, mówimy jak jest. Nie można wytrzymać na kolonii, rozrób-ka idzie za rozróbką. No, to w końcu nudno i spać nie można. Ja lubię wolność. Ale czy to jest wolność, jak muszę słuchać wrzasków, i stale się

mnie czepiają.

-1 spać nie można - dodał Józio Kanarek.

- Więc dlatego przyszedliśmy z delegacją, żeby pan coś robił. Ostatecznie jest pan przecież wychowawcą... Pan to przecież potrafi zrobić.

- Okazuje się, że nie potrafiłem —jęknął nieszczercze Łopatka, ale spojrzał na nas zyczliwej.

- Pan myśli o Kowbojach? - zapytał Jasio Fraczek.

- Myślę o Kowbojach.

- Niech się pan nie truże. Kowbojów by nikt nie upilnował. Nie było na nich rady.

- Chłopcy, czy wy sobie zdajecie z tego sprawę? Śmierć dwóch chłopców na kolonii... - wykrzyknął Łopatka, zrywając się z tapczanu. - Choćby byli najgorsi, to przecież nie zasłużyli na taki los.

- Ma się rozumieć — przyznał Józio Kanarek — ale nikt przecież tu nic nie /awinił.

- Nie wiem... Może, gdybym nie kazał im się zająć młodszymi chłopcami... To ich, zdaje się, bardzo dotknęło.

-43-

- Musiał się przecież ktoś zajmować Krasnalami - powiedziałem, a oni wszystko robili, żeby panu podpaść. No, więc to uli wma, A- podpadli i że pan ich wyznaczył.

- Jesteście naprawdę dobrzy chłopcy - powiedział cicho Łopatka - staracie się mnie pocieszyć. Ale tak czy owak to straszna historia. A wy za zimno do tego podchodzicie- Choćbyście nawet nie lubili tych Kowbojów, jak ich nazywacie... to przecież...

- Pewnie, że to przykre, ale Kowboje Kowbojami, a nas tu jeszcze zostało stu osiemnastu - przerwał mu Jasio Fraczek.

- Macie racje_ — powiedział Łopatka — póki tu jeszcze jestem, powinienem pełnić obowiązki wychowawcy. Póki jeszcze jestem - powtórzył.

- Będzie pan do końca.

-Nie będę. Jutro rano przyjeżdża wizytator i rodzice. Może nawet rodzice Mańki i Krahelskiego.

- Do jutra mamy jeszcze siedem godzin - powiedziałem bezradnie, żeby coś powiedzieć-

- Co przez to rozumiesz? — zapytał mnie Łopatka.

- Nic. Niech pan o tym nie myśli.

I żeby nie przedłużać tej smutnej rozmowy, daliśmy nura w drzwi.

Nikomiu iakoś nie chciało się spać tego wieczoru. Wyszliśmy przed pałac. Skierowaliśmy się na wybrzeże. Resztki różowawego nieba na zachodzie przykryła czarna chmura. Powietrze było jeszcze duszne i rozgrzane, ale już od jeziora, raz po raz, szły do nas krótkie podmuchy. Piasek szeleścił nieprzyjemnie. Fale marszczyły się coraz grubszymi fałdami.

- Będzie znów burza - powiedział Jasio.

- Mamy siedem godzin - powtórzyłem.

Nikt się nie odezwał. Ale wiedziałem już, dlaczego ta myśl tłukła mi się po głowie.

Po prostu nie mogłem jakoś uwierzyć w śmierć Kowbojów. Zdaje się, nikt z nas w nią jeszcze nie wierzył. Dlatego, w rozmowie z Łopatką, tak zimno mówiliśmy o Kowbojach, że aż zwróciło to jego uwagę.

— To dziwne ~ powiedziałem wreszcie głośno — że znaleziono trampek i nogawkę Kowbojów, a ciała nie znaleziono. Wygląda to, jakby ich ktoś rozebrał pod wodą.-

— Węże -* zauważył Józio Kanarek.

— Założmy nawet, że węże, lecz węże nie mają przecież, do licha, nożyczek! - uśmiechnąłem się. - Nogawka od spodni Krahelskiego jest dość równo obcięta pod kolanem... Trudno mi sobie jakoś wyobrazić, żeby w wyniku wypadku mogły zostać tak równo obcięte...

Nagle poczułem, że Pycek Tadeusz chwytą mnie kurczowo za ramię.

-44-

- Widzisz?
- Wzdrygnąłem się i obejrzałem. -Co?
- Światło na jeziorze.
- Nie widzę.
- Już zgasło.
- Ty zawsze z tym światłem... - Popatrzyłem na niego nieufnie. - Zdawało ci się jak wtedy, pierwszej nocy.
- Nie! Ani wtedy, ani teraz mi się nie zdawało. Widziałem - mówił rozgorączkowany Pycek - stąd fale zasłaniają, ale wejdź wyżej... Chodźmy na tę wydnię - pociągnął mnie - to zobaczysz. Wszedłem, walcząc z wiatrem, na wydnię. W oczach pełno miałem piachu.
- Patrz teraz! - Pycek ścisnął mnie za rękę.
Przetarłem boleśnie powieki. Istotnie. Nie mogło mi się zdawać. Daleko, na środku jeziora, zajaśniało kilka razy na krótko światło i zgasło.
- Myślisz, że to oni? - zapytałem szyderczo.
- Mam pomysł — powiedział Pycek, patrząc w ziemię. — Dawno już to mi chodzi po głowie. Spojrzeliśmy na niego nieufnie. Czy Nerwowy może mieć jakiś pomysł godny uwagi?
- Czy wierzycie mi, że wtedy za pierwszym razem, kiedy mnie wszyscy wyśmieli, też widziałem światło? — zapytał.
- Wierzymy ci — odparliśmy niechętnie.
- A więc słuchajcie. To jest tak. Rotpelc i Michalski byli na wyspie i dawa-i /naki światłem. Mańka i Krahelski zrozumieli to i popłynęli do nich wczoraj teraz wszyscy dają znaki. Uśmiechnęliśmy się pobłaźliwie.
Aleś wymyślił — powiedziałem. — Po co mieliby dawać znaki? Widocznie dostali się w tarapaty. To nie mogą być oni - powiedziałem - wyspa była przeszukana. Dwa
A ja ci mówię, że oni tam są - upierał się Pycek.
Czym by tam dopłynęli? Nie zabrali przecież żadnego kajaka. Więc czym? <w? Nie wyglądali na silnych pływaków...
W ogóle nie pływają. Ja ich znam - wtrącił Jasio Fraczek - a stąd do I iy jest ze trzy, albo nawet cztery kilometry. Nerwowy bredzi.
Pewnie, że bredzi - powiedział Kanarek - przecież wyłowili trampek li i nogawkę Krahelskiego. To znaczy, że oni utonęli, więc nie mogą być
spie.
-45-
- No, to ja wam powiem coś jeszcze - ściszył głos Pycek. - Czy wiecie, że z mojej komórki zginęła przedwczoraj karbidówka?... Były tam rupiecie i między nimi stara lampa karbidowa. Kucharz ją trzymał na wypadek, jakby światło nawaliło. I ta lampa przedwczoraj zginęła.
-I myślisz, że to Kowboje wzięli?
- Nikt inny nie mógł, tylko oni, bo była im potrzebna do dawania znaków.
Zastanowiłem się.
- Nie bardzo to wszystko jasne - mruknąłem - ale przyszło mi na myśl, że my za bardzo jakoś wierzymy Kowbojom. A przecież oni chcieli robić draki. Chcieli rozrabiać. Tak czy nie?
- No, niby tak.
- Od samego początku gotowali się do draki. I nawet się z tym nie kryli - ciągnąłem podniecony. - Rozumiecie, o co mi chodzi?
- Nie bardzo.
- Trampek i nogawka należą do draki. Tak samo zresztą jak list, który zostawili na kłamce. Ucięli nogawkę. I tak miała dziurkę na kolanie. Razem z trampkiem rzucili Cyryłowi do sieci.
- Myślisz, że dla zmylenia śladów?... - zaciekawiał się Jasio.
- Tak jest. Chcieli odwrócić uwagę od tego, co naprawdę będą robić, a poza tym... poza tym chcieli przestraszyć Łopatkę. To ich zemsta. Dlatego myślę, że Nerwowy ma rację. Oni popłynęli na wyspę. Czym? Nie mam pojęcia. Ale Nerwowy ma chyba rację. Oni są na wyspie. Coś im nie

wyszło i dają znaki. Może nie mogą wrócić. Może im to, w czym przepłynęli, nawaliło i są w kropce.

- Co w takim razie robić? - zapytał Józio Kanarek. - Powiedzieć Łopatce?

Ale czy uwierzy?

- Panowie - powiedział podniecony Jasio - za sześć godzin będzie za późno. Wybuchnie draka, jakiej świat nie widział. Za sześć godzin przyjeżdża wizytator i rodzice. Wyobraźcie sobie, co to będzie?... Co ja mówię, za sześć godzin. Łopatka przecież znów działa. Już nas pewnie szuka. Jest prawie północ. Zaraz zapędzi nas do łóżek. Nie ma się co zastanawiać. Wsiadamy do motorówki i płyniemy.

- Umiesz puścić w ruch i kierować?

- Jasne. Ojciec przez cały czerwiec jeździł ze mną motorkiem po Wiśle.

- Panowie, nie róbmy jeszcze jednej draki więcej. Walmy lepiej do Łopatki i powiedzmy o wszystkim - powiedziałem.

Usłuchali i pobiegliśmy.

Łopatka wysłuchał nas cierpliwie, ale nie chciał słyszeć o żadnej wyprawie nocnej na wyspę.

- Chcecie mnie wykończyć, chłopcy? Popatrzcie przez okna. Idzie wielka burza. Może być nowe nieszczęście.

-46-

Jakby na potwierdzenie tych słów, błysnęło się.

- Poza tym — ciągnął - skąd wiecie, że to na wyspie? Może to za wyspą? Może jakiś samochód, może obozowisko, może jakieś znaki wojskowe?... Prze-i iez jest ciemno i nic nie widać oprócz tego światła. Zresztą nawet światła teraz nie widzę. Poczekamy do jutra. Nawet jeśli oni są tam na wyspie, do jutra nic im się straszego nie stanie. Jutro zawiadomimy milicję...

- Jutro może być za późno - powiedział Jasio Fraczek. - Pan przecież wie, że jutro... - przygryzł wargi.

- Co zrobić, nic się na to nie poradzi - opuścił głowę Łopatka. - Zresztą przyznam się wam...

Gdybym wierzył, że to, co mówicie, jest prawdopodobne, lak jak teraz stoję, popłynąłbym na tę waszą wyspę, ale to, co wy mówicie, zupełnie mnie nie przekonuje. Jedyne, co możecie teraz mądrego zrobić, to iść do łóżek.

Ze spuszczonej głowami poszliśmy do sypialni.

- Tchórz nas obleciał - powiedział Jasio. - Mówiłem, żeby od razu jechać. Było jasne, że Łopatka nie pozwoli.

- Nie mamy prawa, Jasiu. Gdybyśmy byli sami, ale pomyśl! Za wszystko odpowiada Łopatka. A nuż się co stanie? Wykończymy kolonię i jego.

- Nie wyjeżdżaj mi z prawem. Jest jedno prawo. Trzeba ratować ludzi w niebezpieczeństwie. Tego mi nie zabronisz ani ty, ani Łopatka.

- Pomyśl, jak ci się coś stanie...

- Nic mi się nie stanie.

- Nie puszcę cię - powiedziałem i odprowadziłem go aż na salę.

- No dobrze, dobrze — powiedział — nie bój się. Nie popłynę. Usnąłem uspokojony.

Obudziła mnie burza za oknem. Niedomknięte okno brzęczało nieprzyjemnie. Z jeziora dochodził ogłuszający szum fal. Nagle błyskawica rozjaśniła sypialnię. I w tym samym momencie zadrzałem. Zobaczyłem bowiem, że na sąsiednim łóżku, gdzie spał Jasio Fraczek, nie ma nikogo. Chwilę czekałem w milczeniu, myślałem, że może wyszedł do WC i zaraz wróci. Ale on nie wracał. Zapaliłem zapałkę i zobaczyłem, że przy łóżku nie ma jego ubrania, a na poduszce leży rzucona koszula nocna.

Zrozumiałem wszystko. Popłynął. Z początku chciałem alarmować wszystkich, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. „Co to pomoże” - pomyślałem i postanowiłem działać sam.

Ale kiedy się pospiesznie ubierałem, poczułem, że czyjaś ręka chwyta mnie w ciemności.

Wzdrygnąłem się.

- Nie bój się, to ja - usłyszałem szept Józia Kanarka. - Dokąd się wybierasz? Opowiedziałem mu o

ucieczce Fraczka.

- Idę z tobą - powiedział.

-47-

Zachowując jak największą ostrożność, wyszliśmy na dwór. Wiatr ledwie nas nie przewrócił na ziemię. Ciężkie krople deszczu falami bębniły nam po policzkach. Trzymając się za ręce, brnęliśmy piaszczystym brzegiem do przystani. Wiatr znosił z wydm tumany pisku. Jego ziarenka chrzęściły nam w zębach. Trudno było oddychać. Zużyliśmy prawie kwadrans na dojście do przystani, choć nie była od nas położona dalej niż pół kilometra. Przy pomocy związane kajaki grzechotały głucho na łańcuchach. Liczyliśmy je po omacku. Były wszystkie. Na samym końcu powinna znajdować się motorówka. Zapaliliśmy latarkę elektryczną... i przeszły nas ciarki po skórze. Łodzi nie było.

- Oszalał! Kompletnie oszalał! - wykrztusiłem. - Na taką falę sam.

- Co robić? Zawiadomić Łopatkę? - drżał Józio.

- Boję się. To go wykończy. Zresztą cóż tu Łopatka pomoże.

- Więc co?

- Nic. Pozostaje nam tylko czekać. Jeśli mu się uda, powinien lada chwila wrócić - spojrzałem na zegarek. - Przy takiej fali nie będzie płynął szybko. Ale to jest, było nie było, łódź motorowa. Za pół godziny powinien obrócić tam i z powrotem. Wypłynął co najmniej kwadrans temu. Tak jest, lada chwila powinien wrócić. Najdalej za kwadrans.

- A jeśli nie wróci?

- To znaczy - zawahałem się i przygryzłem wargi. - To znaczy, że już chyba nie wróci nigdy.

Z bijącymi sercami czekaliśmy na brzegu, wsłuchując się w szum fal i na próżno wypatrując oczy.

Kilka razy zdawało nam się, że słyszymy warkot, ale nie mówiliśmy nic.

Nie chcieliśmy się rozczarowywać.

Uplłynęło już dwadzieścia minut i powoli zaczął nas ogarniać śmiertelny niepokój graniczący z rozpaczą.

Nagle Kanarek chwycił mnie za rękę.

- Słyszysz?

Ja też słyszałem, ale nie chciałem jeszcze wierzyć. Przez długie sekundy nadśluchiwaaliśmy w milczeniu. Wreszcie nie było już wątpliwości. To był warkot motoru.

- Wracają! — zawołałem.

- Tak! Widzę ich pięciu... - Józio błysnął latarką. -Nie! Sześciu! -wykrzyknąłem.

- Jak to sześciu?

- Policz.

Ale, na dobrą sprawę, trudno było policzyć. Łódź ciągle walczyła z falą odpychającą ją od brzegu i kołysała się niesamowicie. Musiała także manew-

-48-

rować zręcznie, by nie dać się zaskoczyć bocznej fali, która mogłaby ją przewrócić.

Wreszcie udało się sternikowi wykorzystać małą przerwę w uderzeniu fal i jednym susem dobić do brzegu.

- Świetnie steruje ten Fraczek - powiedział Józio, chwytając linę, którą rzucono nam od burty.

Ja też byłem zaskoczony. Oslupiałem zaś zupełnie, kiedy z przycumowanej łodzi wyskoczyła wielka, niedźwiedziowata postać i utykając, zbliżyła się do nas.

- Cyryl! - wykrztusiłem. Za Cyrylem wysiadali po kolei Mańka i Krahel-ski, a na końcu Cyryl i Jasio znieśli dwu, ledwie żywych, chłopaków.

Trąciłem Kanarka.

- To na pewno Rotpelc i Michalski.

- Tak jest - usłyszałem głos Jasia. - To Rotpelc i Michalski. Rotpelc to ten chudy z odstającymi uszami.

Kilka minut później, mimo że była dopiero trzecia rano, nikt już nie spał na kolonii. Stu osiemnastu chłopaków zebrano się otulonych w koce, jak jakiś dziwny zakon w sali generalskiej pałacu. Doprowadzano tutaj do zdrowia i ludzkiego wyglądu amatorów przygody, ułożonych na polowych łózkach.

Łopatka rozcierał zziębniętych, kucharz Gąsior wlewał w nich mocną, gorącą herbatę, a pan Mucha kropił im wzmacniające zastrzyki w pośladki. Zabiegi zaczęły przynosić rezultaty. Kowboje zupełnie już wrócili do normy. Michalski też próbował siadać o własnych siłach i wylewał sobie wodę z uszu, tylko Rotpelc leciał jeszcze przez ręce.

- To z głodu - powiedział Mańka. - Dopiero jakieś tam do nich przedwczoraj dotarli, tośmy podkarmili ich trochę, bo już z nimi było zupełnie kiepsko. W ogóle nie ruszali się z osłabienia.

- Jak mogliście tak nas okłamać! Tyle się przez was namartwiliśmy — mówił z wyrzutem Łopatka.

- Nie mogliśmy mówić nikomu, bo nikt nie dałby nam pojechać. Przecież nikt nie wierzył w te światła na wyspie, o których mówił Nerwowy.

- Ale po co było oszukiwać? Po co ten list, po co ten trampek i nogawka podrzucone do sieci?

- Podrzucone do sieci? — dziwili się Kowboje. — Nic o tym nie wiemy. Była burza, myśmy się rozebrali i wiatr nam porwał niektóre części ubrania, a co do nogawek - to je obcięliśmy, bo nam się spodnie podarły na kolanach, więc

-49-

pomyśleliśmy, że lepiej przerobić je na krótkie. A list na kłamce... list tośmy napisali z rozgoryczenia.

Tak się tłumaczyli, ale jakoś im nikt nie wierzył, bo wszyscy byli przekonani, że oni naumyślnie wprowadzili wychowawców w błąd. Więc choć może co do Rotpelca i Michalskiego naprawdę mieli dobre chęci, nikt ich nie żałował. Przez te kłamstwa popsuli sobie opinię.

Tymczasem na korytarzu rozległy się pośpieszne kroki i na salę wbiegł zaspany milicjant Orzeszko.

- Czy to prawda? Topielcy się podobno znaleźli.

- Tak jest - odparł Łopatka.

- Ale którzy? Z pierwszego czy z drugiego rzutu?

- Z obu rzutów!

- Obywatele nieletni, złożycie zaznania do protokołu... - Orzeszko wyciągnął ołówek. — Zaraz, ale ja tu widzę nie cztery, a pięć ofiar w kocach, pijących herbatę.

- Ja nie jestem ofiarą- oburzył się Jasio -ja ratowałem.

- My nie jesteśmy ofiarami! - zachrypieli oburzeni Kowboje i kichnęli jak na komendę. - My, myśmy ratowali.

- Co oni tam mówią, władzo? — obruszył się Cyryl. — To ja ratowałem. Podniosła się wrzawa. Wszyscy wyjaśniali naraz.

- Nic już nie rozumiem - powiedział skołowany milicjant - więc kto kogo ratował?

- To było tak - tłumaczył Pycek. - Kowboje ratowali Rotpelca i Michalskiego. Kowbojów ratował Jasio, a Jasia ratował Cyryl.

- Mnie nikt nie ratował - krzyknął wściekły Jasio.

- A Cyryl?

- Cyryl był obsługą łodzi.

- Ja ci dam obsługę — krzyknął Cyryl — ja ciebie właśnie ratowałem.

- Pan mnie nie ratował, to ja ratowałem.

- A ja ciebie ratowałem od szaleńczego ratowania.

- Spokojnie, obywatele nieletni i dorośli -jęknął zupełnie już skołowany milicjant - po kolei. Zapijemy zeznania kolejno. Najpierw ci obywatele ze spuchniętymi nosami - obrócił się do Kowbojów. - Wy jesteście topielcy z pierwszego rzutu?

- Z drugiego.

- Wszystko jedno - machnął ręką - ja i tak nie dojdę do ładunku - zeznawajcie. Jakim środkiem

uciekliście z kolonii?

- Gumowym pontonem.

- Co takiego?

-50-

- Znaleźliśmy go w trzinach. Sto metrów za przystanią. Dlatego nikt tam nic szukał, bo za blisko. Załadowaliśmy się na ten ponton i popłynęliśmy do wyspy. Tam zastaliśmy Rotpelca i Michalskiego. Byli ledwo żywi. Powiedzieli, że to ich ponton, że fala podczas burzy zabrała im go na pełne jezioro i dlatego musieli zostać na wyspie.

- Przecież w czasie poszukiwań byliśmy na wyspie i nikogo nie zauważyliśmy. Gdzie się schowaliście i dlaczego? - pytał Orzeszko.

- Rotpelc i Michalski strasznie się bali, że milicja ich zabierze do aresztu, więc jak zobaczyliśmy, że zbliża się łódź z milicją, to błagali nas, żebyśmy się chowali razem z nimi do dolnego bunkra.

- Do dolnego bunkra? Co to jest?

- To taka piwnica, którą Rotpelc odkrył pod pierwszym bunkrem. Zasłania ją blok betonowy i nic nie widać. Tam się właśnie schowaliśmy.

- Razem z pontonem?

- Tak. Wypuściliśmy powietrze z pontonu i wciągnęliśmy go do dolnego bunkra. Mieliśmy zamiar, jak się wszystko uspokoi, przetransportować Rotpelca i Michalskiego na stały ład. Ale...

- Ale co?

- Przy wodowaniu fala rzuciła nas na wrak i ponton zaczął tonąć. Ostra blacha wraka przerznęła go niemal na pół. Ledwieśmy dopłynęli do wyspy. Na szczęście mieliśmy karbidówkę i dawaliśmy znaki... No i Fraczek...

- Fraczek pośpieszył wam z pomocą — przerwał Orzeszko — ale o tym on opowie sam. Więc jak to było, przyjacielu nieletni?

- Zwyczajnie. Nie chcieli mi pomóc, nie chcieli mnie puścić, więc postanowiłem popłynąć sam. Przecież każda chwila była droga. Burza już się zaczęła. Chciałem zepchnąć motorówkę z wody, ale była przyczepiona mocnym łańcuchem, a łańcuch był zamknięty na kłódkę. Nie miałem innego wyjścia. Poszedłem do Cyryla. Na szczęście jeszcze nie spał. Wrócił dopiero co z połowu. Nie chciał, oczywiście, słyszeć o powtórnej przejażdżce na wyspę. Dopiero jak mu pokazałem światło - zmiękł. Bardzo go to światło zaniepokoiło, bo jak powiadał, w tej stronie nigdy nie było światła.

- Popłynęliśmy. Jezioro było burzliwe, ale Cyryl to doskonały sternik. Za kwadrans byliśmy na miejscu i tu dopiero spotkało nas rozczarowanie. Na wyspie nikogo nie było. Cyryl zaczął się złościć, że dał się nabrać na ten rejs. Zacząłem krzyczeć i wołać Kowbojów. No i poskutkowało. Patrząc, a tu jedna betonowa płyta w ścianie bunkra odsuwa się pomału i wyskakują ze środka jakieś obdartusy w wielkich niemieckich hełmach. Dopiero po chwili rozpoznałem w nich Mańkę i Krahelskiego. Powiedzieli, że schowali się przed burzą do środka i że tam są również Rotpelc i Michalski. Okazało się, że pod bunkrem jest jeszcze jedna zamaskowana kondygnacja. Tam właśnie skryli się Rotpelc

-51

iMichalski, kiedy ich pierwszy raz poszukiwano. Nikt ich wtedy nie zauważył na wyspie, bo oni ze strachu wleźli do dolnego bunkra. 7arozowiłY mu

- Nie ze strachu - zaprotestował Rotpelc. Odstając us/y zaróżowiły mu się z oburzenia. Widać, powrócił już do normy.

-To było tak, ja wszystko dokładnie opowiem... . 7P7naiecie

- Tylko bez czarowania! -pogroził milicjant. - Pamiętajcie, że zeznajecie do

ć ws Q jedno _ p0Wiedzał TMP?V

Nam wystarczy, że żyjemy. Za^ si(. od tego, że jak Jebaliśmy na koloni, liś b dęty ponton
k Trzymaliśmy go w aJe«

w

uę y^ Ale ta zaD

Nam wystarczy, że żyjemy. Za^ si(. od tego, że jak Jeb

to wzięliśmy z sobą dęty ponton ^ worku. Trzymaliśmy go w aJe«. Mówiliśmy, że to ciuchy. Kiedy zepsuła się pogoda i na koloni zrobiło się trochę nudno, popłynęliśmy na y^. Dużo się mówiło o POnie«™™d_ krze na wyspie, więc postanowił^ g0 zbadać. Nasze ^™»^Z kryliśmy zamaskowane wejście do dolnej kondygnacji. W lewe. scia kra był ruchomy blok betonowy na łożyskach. Łożyska były zata^te, hśmy do nich oleju z konserw r^h, które mieliśmy P^^ i łożyska „dostały ślizgu”. Mogliśmy przesuwac blok. By ł bo w dolnym bunkrze znaleźli^/hełmy i mundury, a amunicji. Pod wieczór zauważyli^, że zbliża się do nas motorof liśmy wracać. Postanowiliśmy *Os/ać jeszcze parę dni ^™ wyspie zapasy żywności nie skończą. Zatarliśmy więc wszystkie siad* z sobą ponton i schowaliśmy się w domym bunkrze a blok zasun

Nikt nas nie zauważył. Po godzinie wyszliśmy bezpec nam się szybko sprzykrzyła. J^t na drugi dzień mieliśmy ^ bo zrobiło się zimno i mokro. Je,ioro było tak wzburzone, z^z Postanowiliśmy wrócić. Napo^powaliśmy ponton i spuścił Ale mieliśmy pecha. Fala wyr^La naffi ponton z rąk i ^ nejezioro. Skoczyłem za nim do wody, rzuciło mnie na wrak. przy każdej niepogodzie robią si, okropne wiry i straszna ^kotłowanina-ciąłem sobie kolana i musiało^ ^racać. Michalski tez próbował, ale fale byty zbyt silne. Nie dało się pływać. ,•| pał. Z początku nawet nie barcią sl, przejmowaliśmy. Mieliśmy tateria zapa ki. Zaczęliśmy dawać znaki SOS. Ale nikt jakoś nie ^™^ {2L*LSL* myśleliśmy, kiepska obsada. Nikt w okolicy nie zna się^na a^fabec^e Mor i chodzą spać z kurami. NiedOuczeni. Można P^^d mówiłem, że na tej kolonu życianie będzie. Dopiero jak roZP^»J . ognisko ze wszystkiego, co się dało spalić na wyspie jate ^^ ^ żył. A i to podobno mu nie chleli uwierzyć. Bez wyobraźni facecu Nie m robić kawałów. Za słaba widOwlia, proszę obywateli. Na przyszły rok jedzie my na obóz harcerski.

-52-

k

To powiedziawszy, Rotpelc i Michalski odwrócili się pogardliwie do ściany i naciągnęli sobie koce na głowy. Ale nikt im nic nie powiedział, bo to przecież topielcy. I tak wszyscy byli zadowoleni z takiego końca.

Od czasu tej hecy nie ma już nad Jezioro Pogodnym kolonii. Nie pozwalają. Może uwierzyli Cyrylowi? To wszystko było dawno. Od tego czasu urosłem. Co roku wybieram się do Lulek, ale jakoś nie mogę się wybrać. Boję się zresztą, czy trafię. Podobno zmienili nazwę jeziora. Nie nazywa się już Pogodne.

-53

Czy będziesz moim tatą?

Niezwykły powrót zaginionego ojca

Pamiętam ten wrześniowy dadL Zachorowała y, mieliśmy wolna, godzin, i ogtaf^^^

, począw- bardziej cmrurgach i superpro- t Sudziału w tych a ten złośliwy Kuba

. . właśnie z twoim to jest w

k3zywa^^^g^^^n . ać JUŻ od

Czambułem, znakomitym kompozytorem' P10^ K skowislawnegoojca,

dZieSłęciu lat gwiazdaroeka. Wielu z nas zaz J° C1^walanie, kto ma wspa-

apotem, jak zwykle przy takiej *W™^\$\$Z^

nlalszego tatę i okazywało się, Ze

nlejszych i najzdolniejszych (*«

sZy od (złoty rączek) genialnych mechanlk°V

Łlawych) - rzeźmków, a skończywszy na J

fesorach. Tylko jeden Wowo *owak ^

licytacjach. Ale oczywiście nie zostawiono go w

Wójcicki zaczął go dręczyć:

- No, a ty, Wowo? Nic nam me powiesz? Jak

^^Mówiłem, jest za granicą- odburknął Wowo. -1 co tam robi?

- Interesy... wielkie interesy. To bi™,f sn°; , Kuba z uśmiechem. _ A ty z mamusią tutaj tak skromnie? - dopytywał Kuba

Wowo zaczerwienił się. _ wymamrotał. - Chce, żeby

- Tata wszystko pakuje w nowe inwestycje... wy ^ pieniąż robił pieniąż, więc musimy zyc oszczędnie, ale poK długo, przybędzie nowym wozem.

-54-

- Stale to mówisz, ale nikt jeszcze twojego starego tu nie oglądał. Z nim chyba jest tak jak ze świętym Mikołajem. Przychodzi, tylko go nie widać!

- Zobaczycie go już niedługo - zasapał Wowo - za tydzień go zobaczycie i zbielejecie z zazdrości! Tydzień później nudziliśmy się, czekając na badania w gabinecie lekarza szkolnego, i Kuba znów zaczął się drażnić z Wową.

- No, Wowo, już tydzień minął. Co z twoim starym? Przyjechał? -A jak myślisz?

- Myślę, że ty w ogóle nie masz ojca, a te bajeczki o tacie za granicą wyssałeś z brudnego palca. Wowo zacisnął pięści. Zatrząsał się.

- Nie mam?! Mówisz, że nie mam? - wybuchnął. - No, to chodź! Podejdz do okna! Ten biały Ford Taunus na parkingu pod pocztą, widzisz go? To jest mojego taty. Kanadyjska rejestracja. Idźcie, zobaczcie, tam na przednim siedzeniu leży duża koperta z adresem, napisane jest wyraźnie R. Nowak. Możecie sprawdzić.

Kuba pobiegł zobaczyć i jeszcze paru chłopaków pobiegło. Wrócili po paru minutach podnieceni.

- Zgadza się — zadyszał zawstydzony Kuba. — Zwracam ci honor, Wowo. (b)łędny wóz!

- Tato ma drugi, terenowy. Dojazdy po Górach Skalistych i do polowań.

- Poluje?

- Och, gdybym wam opowiedział, jakie miał przygody... a najgorsza z pi-janym niedźwiedziem. Najstraszniejszym, szarym niedźwiedziem GRIZZLI...

- Mam pomysł! - wykrzyknął podniecony Kuba. - Musisz go poprosić, Wowo, żeby spotkał się z nami i opowiedział o tym niedźwiedziu i o przygo-ilach, i o Kanadzie w ogóle.

- Tak, koniecznie! — podchwycili wszyscy chłopcy. — Załatw nam to, Wowo!

- Co wam wpadło do głowy?! — Wowo patrzył na nich zaskoczony. - On się na to nie zgodzi. Myślicie, że nie ma nic lepszego do roboty, tylko gadać I wami?

- Jeśli ty go poprosisz, na pewno nie odmówi i wykroi dla nas pół godzin-

- Chociaż kwadrans. Jutro o dowolnej godzinie. Taki wywiad. Dziesięć pytań i nic więcej.

- Wykluczone! - Wowo kręcił nerwowo w palcach metalowy guzik swojej insowej kurtki, co świadczyło, że znajduje się w stanie wielkiego wzburze-

Nawet bałbym się mu wspomnieć o czymś takim. On nie chce rozma-nawet z dziennikarzami, nawet z telewizją. To prawdziwy biznesmen. Ma U wyliczony co do minuty. Wścieka się, jak mu ktoś wchodzi w paradę.

-55-

-Wścieka się? On?!

— Nawet brzydko klnie. Nie myślcie, że to jest łagodny człowiek. Wszyscy drżą przed nim. Idzie przez życie przebojem. Jutro cały dzień będzie prowadził wyczerpujące pertraktacje. Kupuje przedsiębiorstwo „Megabud” i zakłada nową spółkę.

— To może porozmawiałby z nami pojutrze.

— Pojutrze już wyjeżdża.

— To nic — powiedział uparty Kuba Wójcicki — przyłapiemy go, jak będzie wsiadał do samochodu.

Na twarzy Wowo odbiło się autentyczne przerażenie.

— Zabraniam wam! Ani się ważcie! - wykrzyknął niemal z płaczem. - To wszystko skrupi się na mnie. Nie znacie go, to nerwus i brutal! Nie cierpi natrętnych ludzi. Będzie miał do mnie pretensję, że wam o nim wspomniałem, obrazi się i znów nie będzie się pokazywał przez cały rok.

Atmosfera stawała się gorąca i, kto wie, czy nie doszłoby nawet do rękoczynów, ale zajęczał

dzwonek. Magnificencja pojawiła się z dziennikiem pod pachą i zapędziła bractwo do sali. Nie spuszczaaliśmy oczu z Wowa. Całą lekcję wiercił się niespokojnie, nie uważał, zarobił dużą bombę z matmy i coraz bardziej nerwowo kręcił guzik. Równy z dzwonkiem wybiegł z klasy. Ruszyłem za nim, lecz zgubiłem go na korytarzu.

—Patrz, co znalazłem! Podszedł do mnie Syfon, demonstrując mijakiś mały przedmiot w ręce.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Guzik Wowa?!

- Ukręcił go! - rzekł Syfon. - To mu się jeszcze nie przydarzyło! Musiał być piekielnie zdenerwowany.

—Tak... Jest zupełnie rozstrojony — mruknąłem. — Ten jego tata, to musi być faktycznie tyran nie z tej ziemi. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak się bał swojego ojca.

- W tym wszystkim jest coś dziwnego. Nie czujesz?

- Tak... coś... coś nienormalnego, nie przypuszczałem, że Wowo...

- Spójrz - przerwał mi Syfon - wybiegł ze szkoły! Dokąd tak pędzi? Do domu? Nie! Zobacz! Zupełnie w przeciwnym kierunku.

- Nie podoba mi się to - powiedziałem. - Biegnijmy za nim.

Wypadliśmy na ulicę i pognaliśmy za Wowem. Robił wrażenie półprzytomnego. Na skrzyżowaniu z Aleją Krakowską przebiegł jezdnię na czerwonym świetle. O mało co nie wpadł pod rozpędzoną ciężarówkę, inne wozy uratowały mu życie, hamując gwałtownie z dramatycznym piskiem opon. Nie dopędzilibyśmy go chyba, ale na końcu ulicy Korotyńskiego wstąpił do apteki.

-56-

Wyszedł po minucie, nie zauważył nas. W rękę ścisnął jakąś maleńką buteleczkę. Otworzył ją jeszcze na schodkach apteki, podniósł do ust. Przeszkodził mi w ostatniej chwili.

— Co ty wyprawiasz?! — Syfon odebrał mu lek i spojrzał na etykietę. — Krople na serce? I chciałeś wydudłać duszkiem? Zwariowałeś?! Mógłbyś się przejechać na tamten świat! To się pije po kilkanaście kropelek. Zresztą moim zdaniem nie serce ci nawala, a nerwy. Mów, co się dzieje, chłopie! Nie powiemy nikomu. Może ci ulży. Wiem, że masz problem ze swoim starym, ale żeby aż do tego stopnia... Coś mi tu nie gra.

Wowo milczał.

— Nie bój się - powiedziałem. - Znasz nas, wiesz, że umiemy trzymać język za zębami. Może moglibyśmy ci jakoś pomóc.

Wowo zęby zaciskał i pięści, widać było, że walczy z sobą, wreszcie wykrztusił:

— Tak, wiem, pomogliście Rafałowi Czupurowi i w Damianach też wam się udało... ale moja sprawa jest inna... Mnie nikt nie potrafi już pomóc... i... i nic mnie już nie uratuje... Ja... ja zrobiłem straszną rzecz.

— Nie bardzo chce nam się wierzyć. Cóż ty mogłeś takiego strasznego zrobić?

— Ja... oszukałem wszystkich. Popeliłem okropne oszustwo!

— O czym ty pleciesz? Jakie oszustwo?!

— Powiem wam... i tak się wszyscy jutro dowiedzą. Ja... Nabrałem wszystkich z tym ojcem...

— Chcesz powiedzieć, że pan Nowak, ten z fordem, z tym kanadyjskim wozem, nie jest twoim tatą?

— To właśnie chciałem powiedzieć.

— Ale przecież nosi to samo nazwisko... Sami widzieliśmy... on nazywa się Nowak, tak jak ty...

-1 co z tego? Nowaków jest pięć milionów na świecie. A ten pan nie jest moim ojcem. Zbujalem was. Kuba mi dokuczał, wszyscy śmiali się ze mnie, nie mogłem tego dłużej znieść, więc tak powiedziałem, żeby się odczepili, żeby mi dali spokój!

— Do licha, śmiało zagrałeś! A co z twoim prawdziwym ojcem?

— W ogóle go nie pamiętam. Mama powiedziała, że jak byłem jeszcze zupełnie mały, wyjechał do pracy za granicę i nie wrócił. Przepadł bez wieści. Zaginał. Mama sądzi, że on nie żyje, ale ja... ja

wierzę, że on wróci, któregoś dnia pojawi się u nas bogaty, z nowym samochodem. Stale o tym myślę i jak widzę zagraniczny samochód z obcymi numerami, od razu dostaję bicia serca... Może to właśnie mój tata wrócił? Parę dni temu zobaczyłem na parkingu wspaniałego nowego Forda z kanadyjską rejestracją, podszedłem z ciekawo-

-57-

ny i zobaczyłem na przednim Biedzeniu pozostawiam teczkę, z wizytówką, na której pisało: „R. Nowak”! Zatkło mnie z wrażenia Wszystko się zgadza! Mój tata miał na imię Ryszard. Ak- moja radość tTWła bardzo krótko. W parę sekund później szczupły, elegancki mężczyzna w towarzystwie młodej ładnej kobiety podszedł do wozu i usłyszałem, jak ta kobieta powiedziała: „Nie gódz się na tę ofertę, to zawyżona cena, Robercie”. Tak, powiedziała wyraźnie: „Robercie”, a nie „Ryszardzie”, czyli to w żaden sposób nie mógł być mój zaginiony tata. Jeszcze jedno rozczarowanie! Ale śledziłem go dalej i kiedy wczoraj w szkole zaczęło się to chwalenie ojcami i licytacja, kto ma wspanialszego, a Kuba zaczął mnie się znów czepiać, coś mnie skusiło i pokazałem chłopakom tego pana Nowaka, mówiąc, że t0 mój tata. Akurat wsiadał do tego swojego Forda. I jeszcze wymyśliłem na poczekaniu bajeczkę o jego przygodach w Kanadzie. No i wpakowałem się ^ kabałę. Ale skąd mogłem wiedzieć, że strzeli im do głowy pomysł, żeby poprosić tego pana o spotkanie! Na nic moje tłumaczenia! Oni na pewno go poproszą i wtedy prawda wyjdzie na jaw, a ja będę ośmieszony, skompromitowany na całe życie, wszyscy będą nabijać się ze mnie, cała szkoła i pół miasta trząść się będzie ze śmiechu. Nie zniosę tego, nie przeżyję, zabiję się!

- To nie będzie konieczne - orzekł Syfon.

- Nie będzie? - wybełkotał z wyraźną ulgą Wowo.

- Spróbujemy znaleźć jakieś lepsze wyjście.

- Jest lepsze wyjście?

- Jasne. Weźmiemy byka za rogi.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz, zostaw to narn wracaj do domu i czekaj na telefon.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Syfona, gdy Wowo, nabrawszy otuchy, ruszył w stronę domu.

- Mam pewien pomysł, ale najpierw chciałbym się bliżej przypatrzeć panu Robertowi Nowakowi - powiedział Syfon, spoglądając na zegarek. - Należy przypuszczać, że o tej godzinie znów będzie na poczcie, smarujmy więc na pocztę.

Istotnie, nie zawiedliśmy się już z daleka na parkingu przed pocztą spostrzegliśmy białą sylwetkę Forda. Ktoś wybiegł z poczty i doskoczył do mego, ale to nie był pan Nowak, to był chudy wyrostek w starych dzinsach. W ręku miał kluczyki z wyłącznikiem blokady.

- To złodziej samochodowy - trąciłem Syfona w żebro - dalej, kasujemy typa!

Chcieliśmy go zająć z dwu stron, w momencie gdy będzie otwierał drzwi, ale łobuz był czujny jak pies dingo, nim zrobiliśmy krok w jego stronę, już nas

-58-

zauważył kątem oka i zmył się błyskawicznie, zostawiając w zamku kluczyki. Wyjęliśmy je i popędziliśmy na pocztę.

- Przepraszam, czy pan Nowak? - zapytał wysokiego mężczyznę w tweedowej marynarce, który odchodził właśnie od okienka.

- Tak, a o co chodzi?

- Złodziej się dobierał do pana samochodu, ale spłoszyliśmy go. Miał kluczyki, oto one - wręczyłem je zaskoczonemu Nowakowi. - Musiał panu wyciągnąć z kieszeni, jak pan stał w kolejce...

- Rzeczywiście, otarł się o mnie jakiś przyczaty osobnik w dzinsach.

- To on.

- Dziękuję wam. Skąd wiedzieliście, jak się nazywam?

- Nasz kolega, Wowo Nowak, nam powiedział, że nosi pan takie samo nazwisko jak on. Wowo myślał nawet, że pan jest jego tatą.

- Co takiego?!

- To biedny chłopak, stracił ojca jak był jeszcze bardzo mały... wyjechał i przepadł bez wieści, ale

Wowo wciąż wierzy, że on wróci. Jak zobaczył pana nazwisko na teczce, łudził się, że to może pan...

- Przykra historia — rzekł Robert Nowak. - No, niestety, nie jestem jego ojcem, a szkoda, bo bardzo chciałbym mieć syna. Należy wam się nagroda za te kluczyki i przegnanie złodzieja - chciał sięgnąć po portfel, ale powstrzymałem go.

- Nie zrobiliśmy tego dla nagrody — powiedziałem.

- Ale gdyby mógł pan wyświadczyć nam drobną przysługę — Syfon uśmiechnął się tajemniczo.

- Z chęcią. Cóż takiego? — zapytał Nowak.

- Mieszka pan w hotelu Vera, przed ósmą wyjeżdża pan załatwiać interesy, czy mógłby pan po drodze podrzucić tego biedaka Wowo do szkoły, tak jak to robią dobrzy tatusiowie. Jazda z panem takim wozem sprawiłaby mu wielką uciechę.

- Tylko tyle? — zaśmiał się Robert Nowak. — Okay, nie ma sprawy. Załatwione! Przez pięć minut będę jego tatusiem.

Zawiadomiliśmy zaskoczonego Wowę, że rano czeka go przyjemna prze-dzka Fordem do szkoły i opowiedzieliśmy mu o niezwykłych okolicznościach spotkania z panem Robertem Nowakiem.

Pan Robert wie o twoim zmartwieniu i przez minutę odegra rolę twojego zakończyliśmy. - To powinno załatwić sprawę.

Nazajutrz tuż przed lekcjami Kuba i reszta szkolnego bractwa była świad-nader spektakularnej sceny. Przed szkołę zajechała wspaniała gabłota -I Faunus z Wową w środku i wszyscy usłyszeli głos pana Nowaka: No, to trzymaj się, synu!

59

Poklepał Wowę po chudych łopatkach i pomógł mu wygramolić się z wozu. Wowo czerwony z emocji pomachał mu ręką.

— Przepraszam — wybelkotał Kuba Wójcieki, podbiegając do samochodu — czy... czy mógłby pan parę słów... do gazety szkolnej?

— Niestety, już jestem spóźniony - odparł spieszenie Nowak - czekają na mnie współnicy.

— To może jutro?...

— Czy Wowo wam nie powiedział? Już dziś po południu wyjeżdżam, przykro mi — pan Nowak uśmiechnął się i ruszył w dalszą drogę.

Po jego odjeździe dziwna zapadła cisza. Jakoś nie było słyhać żadnych komentarzy. W ogóle, od tej pory w naszej budzie mało mówiło się o ojcach...

Dwa tygodnie później przyszedł do nas rozradowany Wowo i pokazał nam kolorową pocztówkę.

- Patrzcie, co dostałem z Kanady. To od pana Nowaka.

- Niemożliwe!

- Naprawdę! Przesyła pozdrowienia i podpisał się „OJCIEC”. Szkoda, że w cudzysłowie, ale to nic, ja wytrę ten cudzysłów i będzie po prostu OJCIEC!

Fałszywy trop

'rużynowy Szyrmer stał pośrodku polany i bawił się zegarkiem. Jego wypukłe oczy za grubymi okularami błędziły z tajemniczym uśmiechem po otaczającym chłopców lesie.

- Ósma czternaście! - mruknął wreszcie, chowając zegarek do kieszeni. — I Jwaga, za minutę zaczynamy.

Wszyscy wpatrywali się w niego z natężeniem.

- Już! - Szyrmer podniósł do góry rękę.

Harcerze rozbiegli się po polance. Było świeżo po deszczu. Ten niezdara Jęczyk oczywiście od razu się pośliznął i rąbnął jak długi. Chudy i złośliwy Karaśkiewicz zaraz to zauważył i zachichotał szyderczo. Jęczyk czerwony ze wstydu poderwał się i dopadł chłopców, którzy pospiesznie przepatrywali brzeg lasu. Każdy chciał pierwszy natrafić na ślad różowych. Lecz oto w jednym miejscu już ktoś krzyknął przeraźliwie grubym głosem:

- Jest! Jest!

To Kuba Babas zwany pospolicie Biskoptem. Można go było od razu poznać po tym

zachrypniętym głose. Chłopcy rzucili się do niego. Babas pokazywał triumfalnie skrawek czerwonej wstążeczki. Zauważył na jałowcu. „O... lak była zawieszona!” - tłumaczył podniecony. Ale w tej samej chwili rozległy się wrzaski po drugiej stronie polanki. To Karaśkiewicz wołał chłopaków, wymachując kawałkiem fioletowej bibułki nadzianym na kij, jak chorągiewka. Znalazł tę bibułkę pod sosną na mchu. To na pewno ten ślad, o którym mówił druh. Więc teraz znów wszyscy dla odmiany i zucili się do Karaśkiewicza. Wszyscy, oprócz Jęczyka. Jęczyk nie lubił Karasia, icwicza i wołał zostać przy Babasie.

-60-

-61

Z drugiej grupy nawoływano ich:

_ mZ» Chodźcie! "7^^

- My też mamy - odkrzyknęli, podnosząc oo g Karaśkiewicz podbiegł do nich zaniepokojony.

- Pokażcie!

zna,e,,,,,,,,^eczk.

- Druhu drużynowy, dwa ślady odkryto. I co teraz.

dział. - Jest to ślad fałszywy. -Tak, ale który?

Szyrmer uśmiechnął się ^gadkowo | ,

- A... tego me mogę wam powiedzieć, wumuc

blemZ przeraźliwymi okrzykami: „Hura na różowych!” rozbiegli się na dwie strony.

Szyrmer zagwizdał.

Tropienie musi się

lasu. Tym razem w zupełnej ciszy.

żynkę. To ich utwierdzało w przekonaniu, że

namysłu poszli w tym kierunku.

7auważyli ze urażony Karaśkiewicz

. Jeszcze zobaczycie, kto miał

35^

następnym śladem.

tworzyły miejscami nieprzebytą zaporę.

piały się ubrania.

ludźmi na tej ścieżce. Po

Mieli wrażenie, że są pierwszymi od wieiu trzech minutach takiego przedzierania się przez

„dżunglę J ęczyk mia y

-62-

kiego dosyć i od razu ogarnęły go zasadnicze wątpliwości, czy wybrali właściwą drogę.

- Słuchaj, Biskopt! - odezwał się do Babasa - myślisz, że różowi naprawdę mogli iść tędy?...

Przecież musieliby zostawić jakieś ślady na krzakach, nadłamane gałązki, strącone liście.

- Głupi... - mruknął Babas - nie znasz różowych. To spryciarze. Oni czołgali się naumyślnie dołem, żeby nas zmylić. O, popatrz... są ślady. Nie bój się, ja mam węch.

Rzeczywiście, na zarośniętej ścieżce widać było kilka rozgniecionych borówek. Jęczyk pomyślał, że to mógł zrobić niekoniecznie człowiek, ale postanowił zaufać „węczowi” Kuby Babasa.

Wkrótce jednak wyszli na małą polankę i ścieżka zatarła się zupełnie. Stanęli bezradnie.

- Gdzieś ty mnie wyprowadził, pało? Przecież tu nie ma żadnego śladu. Ale Kuba był wciąż dobrej myśli.

- Nie bądź jęczykiem - mruknął. - Zamiast kwękać, „przeczysz” lepiej te krzaczk. Tu musi być ślad.

Jęczyk jednak stracił jakoś zupełnie przekonanie do tego śladu. Postanowił wrócić i iść tropem Karaśkiewicza. Cofnął się już nawet dwa kroki, gdy wtem wzrok jego padł na rozłożysty, przyplaszczony do ziemi krzak jeżyn i serce zabiło mu mocno.

- Patrz, Kuba - krzyknął — znak!

- Pokaż — Babas doskoczył podniecony.

Z kolców jednej z gałązek zwisała długa na palec, zielona nitka.

- No widzisz - powiedział Babas. Rozpromieniony zdjął nitkę i schował do kieszeni bluzy. —

Mówiłem ci, że dobrze idziemy. O, patrz, nawet jeżyny podeptali — pokazywał podniecony. — No,

teraz bracie, to już nam pójdzie gładko. Tylko patrzeć, jak Karaśkiewicz dołączy do nas.

- Może zaczekamy na nich — Jęczyk zaproponował nieśmiało.

- Jeszcze czego. Mogli iść od razu z nami - oburzył się Kuba i pociągnął Jęczyka za sobą.

Las, w którym się znaleźli teraz, był zupełnie inny. Szli jakby wąwozem między dwoma garbami zadrzewionych wysokimi sosnami wydm. Zamiast krzaczastego podszycia rosła tu bujna, wysoka trawa.

Trop był wyraźny. Przed nimi na tle zielonej płaszczyzny leśnego runa ciągnęła się ciemniejsza smuga mokrej przydeptanej trawy. Znać, że przechodziło tędy parę osób.

Uszli tak może sto metrów, gdy nagle ślad skręcił gwałtownie pod górę. Wysoki bór skończył się niespodziewanie i ustąpił miejsca młodemu mieszanemu lasowi składającemu się głównie z dębów, leszczyny i brzoźek.

-63-

Tu znów zgubili ślad. Dopiero po kilkuminutowych poszukiwaniach Kuba zauważył w jednym miejscu na zwartej ścianie zieleni dziwnie obwisłe gałązki. Stwierdzili, że są nadłamane i to świeżo, bo jeszcze nie zwiędły. Znać, że się ktoś tędy niedawno przedzierał. Ruszyli bez namysłu tym tropem. Był to najcięższy odcinek drogi. Trop jakby umyślnie prowadził przez największe gąszcze. Droga była i męcząca, i przykra. Potykali się o jakieś stare pniaki, zapadali w jakieś dziury.

Najgorsze, że szli i szli, a końca tego piekielnego lasu nie było widać. Jęczyk chciał przynajmniej odpocząć, ale Kuba, choć sam narzekał, popychał go bezlitośnie naprzód, mając nadzieję, że to się niedługo skończy. W poprzednich zawodach tropienie nie trwało nigdy dłużej niż pół godziny. Wreszcie po półgodzinnym chyba marszu las zaczął się przerzedzać. - Bo to już chyba koniec - mruknął Kuba.

Zebrali siły i ruszyli biegiem naprzód. Byli przekonani, że za chwilę ujrzą różowy proporczyk i chłopców z pierwszego zastępu.

Istotnie, jakby na potwierdzenie ich przypuszczeń las skończył się zupełnie i ujrzeli przed sobą zachęcający zagajnik. Taki mały zagajnik oznaczał normalnie kres poszukiwań. Zwykle na widocznym miejscu powiewał proporczyk, a obok siedział przyboczny z sygnałównką, żeby obwieścić koniec zabawy. Tym razem jednak czekało ich nowe rozczarowanie. Zagajnik był pusty.

- Co to może znaczyć? — zdenerwował się na dobre Kuba. Jęczyk spojrzał na niego zaniepokojony.

- Ty, Biskopt, a jak my naprawdę źle poszliśmy?

- Jak to, przecież cały czas tropiliśmy po śladzie - mruknął Kuba. - No, trudno, musimy szukać dalej.

Pochylili się nad ziemią, ale śladów nie było.

Ziemię zagajnika pokrywały twarde mchy albo zeschnięte igliwie.

Nagle Kuba zatrzymał Jęczyka:

- Patrz! Tędy szli! - krzyknął uradowany.

- Skąd wiesz?

- No, nie widzisz? Pajęczyna zerwana.

- Ech, nie wiadomo kiedy.

- Jak to nie wiadomo?... Teraz, przed chwilą, o patrz, jeszcze pajak biega...

Jęczyk spojrzał ciekawie... Istotnie, zdenerwowany pajak z białym krzyżem na grzbiecie biegł po zerwanej sieci, a potem zaczął spuszczać się na „linie ratunkowej” ku ziemi.

Jednocześnie zdawało się chłopcom, że usłyszeli charakterystyczny szelest i trzask suchych gałązek, jaki powoduje człowiek przeciskający się przez gęsty zagajnik. Po chwili trzask się powtórzył. Jęczyk znieruchomiał.

- Słyszałeś? - uściśnął Babasa za rękę.

Babas stał z rozwartymi szeroko ustami.

- Słyszałem - wyszeptał.

Nie wiadomo dlaczego, zrobiło im się jakoś nieprzyjemnie. Po prostu zaczęli się bać.

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale szelest zamarł i nie powtórzył się. I w ogóle cały zagajnik wydał się martwy. Może się przesłyszeli.

- No, idziemy? — Jęczyk zapytał niepewnie.

- Idziemy - szepnął Kuba.

Ale ledwie zrobili krok, w krzakach znów coś zaszurało. Popatrzyli po sobie... i nagle wszystko zaczęło się im wydawać dziwne i niepokojące. Dlaczego tak długo szli? Nie mieli wprawdzie zegarka, ale od dłuższego czasu burczało im już solidnie w brzuchach, a ten zegarek nie zawodził ich nigdy. Być może dzisiaj trochę się pospieszył, ale w każdym razie musiało już być po szóstej. Bolały ich łydki i stopy. Zrobili chyba z pięć kilometrów. Niemożliwe, żeby różowi zapuścili się tak daleko. Zresztą, gdyby trop był prawdziwy, to Karaśkiewicz powinien dawno dołączyć się do nich, do Kuby i Jęczyka. Dlaczego nie dołączył? No i co znaczył ten szelest? Jeśli to mimo wszystko są różowi, dlaczego się kryją? Czyżby wciąż jeszcze szli przed nimi? Niemożliwe. Od dawna powinni czekać na nich przy proporczyku.

- Zawołamy do nich - wykrztusił Jęczyk.

- A... a jak to nie są oni?... - szepnął Kuba.

Właśnie. Jęczykowi też ta myśl nie dawała już dawno spokoju, ale odpędzał ją uporczywie. No, bo jeśli nie oni, to kto? Komu by się chciało taki kawał przedzierać przez najgorszą gęstwinę? Dookoła rozciągało się bezludzie. Kolonia harcerska mieściła się w leśniczówce w odległości czterech kilometrów od dawnego PGR Żernowo. A może to w ogóle nie był człowiek, tylko jakieś /wierzę... dzik na przykład? Nie, dzik nie mógł zostawić zielonej nitki na jeżynach i łamać gałęzi na wysokości półtora metra. Więc kto?

Jęczyka przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

- Wróćmy lepiej - szepnął. - To na pewno nie był ślad różowych. Babas zawahał się.

Swoją drogą dziwny z niego chłopak. Nawet teraz jego zdezorientowane i wystraszone oczka świeciły ciekawością. Zwlekał czegoś, rozglądał się.

- No, chodź, Biskopt - powtórzył Jęczyk, pociągając go niecierpliwie.

- Zaraz... zaraz... tylko... tylko... jeszcze zobaczę, co się tam ruszało. Kuba oblizwał spieczone wargi, podciągnął spodnie i rozchylił ostrożnie gałęzie.

Po chwili zniknął w gęstwinie.

Zostać samemu jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Jęczyk westchnął zrezy-"iowany i z walącym jak młot sercem ruszył za Kubą.

-64-

-65-

Chyba dobry kwadrans krążyli tak po całym zagajniku, ale nie natrafili na nic ciekawego czy podejrzanego. Powoli zaczęło im się robić jakoś różnie na duszy.

- Wiesz co, Jęczyk, zdawało nam się chyba - powiedział Babas. - Tu nikogo nie ma. Niepotrzebnie nastraszyliśmy się.

- Może tylko zajął się spłoszył - zauważył Jęczyk. - Albo lis...

- No, ale co z tropem?

- Trudno, mieliśmy pecha. Każdemu, bracie, się zdarza. Najgorsze, że Karaśkiewicz będzie się śmiał. Jakby człowiek był winny. Za śladem przecież szliśmy. Kto mógł wiedzieć...

- No... chodźmy już, chodźmy - rzekł zrezygnowany Jęczyk.

- Zaraz bracie, tylko musimy znaleźć jakąś lepszą drogę, bo nie myślę znów się szarpać po tych krzaczkach.

To mówiąc, Kuba wyciągnął kompas, który nosił na sznurku u szyi.

- Najlepiej od razu walić na południe - orzekł głośno. - Tam, bracie, jest ta droga... no wiesz... ta, co idzie pod lasem, a potem maszerujemy prosto na zachód i jesteśmy w domu.

- No, to jazda - powiedział Jęczyk. - Tylko szybko.

Rzucili się na przełaj...

I nagle... To było tym bardziej straszne, że niespodziewane. Gdzieś niedaleko rozległy się trzy

ogłuszające strzały. Jednocześnie nie dalej jak pół metra od Jęczyka pociski ścięły wierzchołek choinki.

Chłopcy padli odruchowo na ziemię i leżeli jak sparaliżowani, nasłuchując. Ale strzały się nie powtórzyły. Najmniejszy szmer nie zakłócał ciszy. Chłopcy patrzyli po sobie z przerażeniem. Co to było? Kto strzelał? Straż Graniczna... czy jakiś myśliwy... A może przestępca graniczny? Ośmielony ciszą, podejdzie teraz i zatłucze ich.

Wszystko, co słyszeli o przestępcach kryjących się w przygranicznych lasach, stanęło im w jednej chwili przed oczami. Myśl chłopców pracowała gorączkowo: — Co robić? Co robić? Uciekać... Tak, uciekać. Wyrwać się stąd za wszelką cenę.

Łatwo powiedzieć, kiedy ze strachu nie można zrobić najmniejszego ruchu, nawet podnieść głowy. Ale również i wtedy, gdyby mogli się ruszać, nie ruszyliby się za nic, wstrzymaliby nawet bicie serca, żeby ich nie zdradziło. Ale ono łomotało jak na złość głośno... przeraźliwie głośno... Sami nie wiedzieli, jak długo przeleżeli w ten sposób. Może dziesięć minut, a może pół godziny. Wreszcie Jęczyk nie wytrzymał dłużej i przewrócił się ostrożnie na drugi bok. Suche igliwie zaszeleściło, aż go ciarki przeszły. Nic się jednak nie stało.

Wtedy zaczęli ostrożnie czołgać się naprzód. Przeczolągali się może dwadzieścia metrów i znajdowali się właśnie za wykrotem starego dębu, gdy wtem ' lo uszu ich dobiegł wyraźny szelest i jakby szmer głosów. Wychylili się ostrożnie / wykrotu i serca im zamarły.

Tuż nad sobą poprzez szparę w gałęziach jałowca, za na pół zbutwiałym pnieniem ujrzeli dwu ludzi. Leżeli rozplaszczeni na mchu i dyszeli głośno jak miechy. W rękach mieli pistolety dużego kalibru. Raz po raz niespokojnie unosili głowy i rozglądali się dookoła, ale gdzieś ponad głowami chłopców. Nie przyszło im widać do głowy, że ktoś się może czaić dosłownie o dwa metry od nich. Chłopcy zastygli w bezruchu. Bali się, że najłżejszy szelest może ich zdradzić... Z szeroko otwartymi oczyma przyglądali się nieznanym.

„To oni... — pomyśleli od razu — to oni przedzierali się przez zarośla, to oni strzelali”.

Byli to młodzi mężczyźni, lat około trzydziestu. Jeden z nich chudy i łysawy blondyn w okularach, z wypchaną teczką w lewej ręce, ubrany w samodzielną marynarkę w zieloną kratę, przypominałby skromnego urzędnika na czasach, ' dyby nie to, że w drugiej łapie zaciskał potężny pistolet. Chłopcy pomyśleli od razu o tej wełnianej nitce, którą znaleźli... Tak, to na pewno z marynarki tego typu.

Drugi z mężczyzn, muskularny brunet, podobny był raczej do turysty. Miał brązową, welwetową wiatrówkę, wycieczkowe wibracje na nogach, a na ramionach plecak. Obok niego leżał podłużny pakunek ściągnięty rzemieniami.

Chłopcy zastanawiali się, kim są te typy. Dlaczego przedzierali się przez największe zarośla? Dlaczego strzelali? Dlaczego są tacy wystraszeni?

- Nie, musiało ci się zdawać... — usłyszeli wyraźny szept. — Nic nie słysząc.

- Tak, to pewnie zając - odparł ten łysy.

- No i po co strzelałeś, idioto? - syknął z wściekłością Czarny.

- Byłbym przysiągł, że widziałem zielone mundury.

- Człowieku, zastanów się, gdyby to byli oni, odpowiedzieliby ogniem.

- Chyba, że ich uziemiłem za pierwszym zamachem.

Chłopców przeszedł dreszcz. Tak, teraz nie mieli już żadnej wątpliwości, że to są przestępcy.

Bandyci jacyś, a może... a może prawdziwi szpiedzy.

- No to idź, sprawdź - rzekł do Łysiego Czarny.

- Żartujesz chyba - wzdrygnął się Łysy.

- No, mówię, idź. Zostaw tylko landryny na wszelki wypadek.

- Nie mam już landryn.

- Jak to, nie masz?

- No... jak się wyłoniło to... to niebezpieczeństwo, pozbyłem się... tego pudełka.

-66-

-67

Co takiego?...

Rzuciłem je... Żeby nie znaleźli przy nas.

Gdzie?

No,

, n,osąc z S,,bą kolorowe btyszczaa.ee blaszane pudełko , Był bardzo zdenerwowany.

3

przez zarośla.

_ Co to? - wyszeptał Łysy.

- Nie widzisz, chustka harcerska. _ Więc jednak szli za nami...

- Tak, to do nich strzelałeś.

m s[ę zZzakami jałowca. Ale choć serca łomotały im ze strachu, me spuszc

^ror^udełko, wysypał na ręce garść landryn, a potem wyjął z pudełka kilka małych kaset

magnetofonowych i magneto^w^h Na twarzy pojawił mu się uśmiech zadowolenia i głębokiej ulgi.

Chłopcy spojrzeli po sobie i uścisnęli się mocno za ręce. Szpieg- - szepnął do samego ucha

Babasow! Jęczyk.

Babas skinął głową i szepnął:

_ Słuchaj, ja mam w kieszeni straszak.

_ Co chcesz zrobić? - przestraszył się Jęczyk.

-Spróbuję mu...

-Daj spokój...

Ale Babas już wyciągnął straszak.

W tej samej chwili rozległ się za nimi ostry głos:

68-

- Stać i nie ruszać się!...

To Czarny doskoczył do nich z wyciągniętą bronią. Że też się tak mogli zagapić... Nie... nic by im nie pomogło. Nie mogli się przecież ruszyć. Najmniejszy ruch zdradziłby ich obecność. Czarny i tak w końcu by ich odnalazł.

Łysy na widok chłopców oniemiał w pierwszej chwili, a potem z wściekłością dopadł do Jęczyka i chwycił go za kołnierz.

- Jest tam jeszcze kto? - zadyszał, potrącając gwałtownie chłopców. - Mów zaraz, jest tam jeszcze kto?

- Nie... nie ma nikogo - wykrztusił przerażony Jęczyk.

- Czy to wy szliście za nami od godziny?

- Chy... chyba... - wyjąkał Babas.

- Wiecie, kto my jesteśmy?

- Nie... jak mydło kocham, nie! - zapewniał gorączkowo Babas.

- Nie kłam, bo ci nos rozkwaszę. Odpowiadaj! Mów prawdę, za kogo nas uważasz. No?

- Nie ośmieszaj się - mruknął ten drugi w wiatrówe. - Jasne, że cię nie uważają za anioła. To jest zresztą zupełnie obojętne, za kogo nas uważają...

Ale Łysy nie zwracał na niego uwagi... Spocony, z rozbieganymi nerwowo oczyma indagował dalej chłopca.

- Dlaczego szliście za nami krok w krok?

- My... my nie chcieliśmy — wykrztusił Jęczyk.

- My myśleliśmy... - szepnął Babas.

- Myśleliśmy...

- Myśleliśmy, że to różowi — dodał Babas.

- Co za różowi? - zmarszczył brwi Łysy. -No... różowi.

- Tylko bez głupich żartów.

Łysy zamierzył się pięścią, ale Czarny powstrzymał go.

- Czego się złościsz na chłopaków? Nie rozumiesz, że to harcerze? Bawili się w podchody albo w tropienie. Nie zgadłem, chłopaki?

- Tak jest, proszę pana...

- Co za pech! - wycedził przez zaciśnięte zęby Łysy.
- Pech jak pech, ale głupota. Oczywiście z twojej strony... Żeby tak się zbłąźnić... - zasapał Czarny.
- Zamknij się - przerwał mu Łysy. - Kto mógł wiedzieć, że takie łebki mogą się pętać w tej okolicy. Zresztą mają zielone mundury... to mnie zmyliło.
- Nie skrzecz, zabandażuj lepiej dzioby tym ptaszkom, żeby nie przyszła im ochota popisywać się głosem. Obszukaj, czy nie mają przy sobie jakichś ostrych przedmiotów, którymi nie wolno bawić się dzieciom.

69-

Łysy zaczął obmacywać chłopców. Wyciągnął scyzoryk z bluzy Jęczyka, a z kieszeni Babasa straszak. Oglądał go zdumiony.

- Popatrz, mają broń!

- Nie, to tylko zabawka na ślepe naboje do straszenia wróbli - rzekł Czarny.

Sprawdził magazynek, a widząc, że jest pusty, zwrócił Babasowi. Potem jednak coś nagle przyszło mu na myśl.

- Chodź no tu, chłopcze! — powiedział. - Chodź tu, chłopcze, z tym straszakiem. Słuchaj, Łysy, mam pomysł... Położę na drodze ten straszak i chustę. To załatwi sprawę tych twoich głupich demaskujących strzałów. Straż będzie myślała, że to harcerze strzelali.

- A potem? - zapytał Łysy.

Czarny pochylił się do ucha Łysego i szeptał mu coś przez chwilę... Chłopcy zdrętwieli... A więc na dodatek ich chusta i straszak mają posłużyć do oszukania Straży.

Co za perfidny pomysł... Co robić? Spojrzeli na siebie bezradni. To trwało ledwie sekundę. Babas otrząsnął się nagle...

- Daj tę zieloną nitkę! - szepnął gorączkowo do Jęczyka.

- Po co?

- Daj! - syknął Babas i wyszarpnął Jęczykowi z rąk nitkę. Zerwał z dęb-czaka zielony liść, zawinał w niego nitkę i kryjąc się za jego plecami, żeby szpiedzy nie widzieli, wsunął liść z nitką do magazynku straszaka.

Jęczyk przyglądał mu się oniemiały. Nic nie rozumiał.

- No, daj no, braciszku, tę zabawkę. - Czarny podszedł do Babasa i zabrał mu straszak.

- Do zobaczenia za pięć minut, bohaterowie! — pomachał mu szyderczo niebieską chustą Jęczyka i oddalił się szybko w stronę drogi.

Łysy tymczasem skrępował chłopcom ręce, a w pasie przewiązał ich linką. Drugi koniec sznura trzymał w dłoni, żeby mu nie uciekli.

W strażnicy Straży Granicznej patrol składał dowódcy, podporucznikowi Groźniakowi, meldunek o strzałach i znalezieniu straszaka oraz niebieskiej chusty harcerskiej na drodze leśnej.

- Znów chłopcy z kolonii, poruczniku - zakończyli skwaszeni.

— Tak, znów ci chłopcy z kolonii — westchnął porucznik.

Podporucznik miał w ogóle dość chłopców i pomyślał, że dręczy go szczególny pech. Żeby choć raz unieszkodliwić prawdziwego przestępcę! W tej przeklętej dziurze nie ma przestępców granicznych i podporucznik Groźniak nigdy nie wykaże swoich nadzwyczajnych talentów... i nie odznaczy się bohaterskim czynem, do którego tęskniło jego żołnierskie, ofiarne serce.

!70-

Podporucznik odprowadził żołnierza i pomyślał, że trzeba będzie pojechać z tym straszakiem na kolonię i stanowczo przemówić do słuchu wychowawcom i chłopcom, żeby wreszcie zrozumieli, że strzelanie i urządzenie podchodów w pasie granicznym to skandal.

A w ogóle podporucznik Groźniak postanowił sobie, że w najbliższym czasie zwróci się do odpowiednich władz, żeby na przyszłość nie organizowano żadnych kolonii ani obozów w pobliżu strażnicy i w ogóle w strefie granicznej. A jeśli będą jakieś opory i wątpliwości, złoży ten straszak jako corpus delicti, czyli dowód przestępstwa.

Podporucznik Groźniak westchnął ciężko... Pomyślał, że nie będzie go mógł załączyć jako corpus delicti odpowiednim władzom, lecz będzie musiał zwrócić chłopcu... gdyż mogłyby być skargi, że

zabiera dzieciom zabawki... i tego by jeszcze brakowało. Odda więc jeszcze dziś ten straszak, ale przed tym wyjmie z magazynka resztę naboju, pozbawi go zdolności huku i straszenia.

Wysunął więc magazynek, ale ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nie było ani jednego naboju. Znajdował się tam zwinięty liść dębu a w nim zielona nitka.

- Co za diabeł? - mruknął podporucznik Groźniak. Wziął nitkę w palce i oglądał ją ze zdumieniem. Potem machnął ręką, wrzucił straszak do szuflady biurka i próbował wziąć się do załatwienia sprawy mundurowej, ale zielona nitka nie dawała mu spokoju. Odłożył więc sprawy mundurowe, wyjął straszak z szuflady i znów obejrzał nitkę. Przyszło mu do głowy, że właściwie to dosyć dziwna historia z tą nitką i nie namyślając się dłużej, kazał zbudzić sierżanta Pieczabę. Pieczaba miał dwie ubiegłe noce pod rząd służbę i zjawił się w piżamowej kurtce, zaspany i ziewający przeraźliwie od ucha do ucha.

Jego oczka były jeszcze mniejsze niż zwykle i prawie niewidoczne pod napuchłymi powiekami. Chwiejąc się, stanął przed podporucznikiem i usiłował bezskutecznie przybrać postawę służbową, zasadniczą.

Podporucznik spojrział na niego z troską. Odkąd zachorował drugi sierżant Kozuń, Pieczaba ustawicznie był na nogach, miał za niego nocną służbę i nie spał po kilka nocy z rzędu.

Chłop miał żelazne zdrowie i jakoś się trzymał, tylko jego oczka robiły się coraz mniejsze.

Tym razem bezsenność jednak musiała zmóc go wreszcie, bo wyglądał tak żałośnie, że podporucznik zwątpił w jego przytomność i zdolność do rozważań natury sztabowej.

- Pieczaba, czy jesteście na chodzie? — zapytał.

- Nie... Niezupełnie, panie poruczniku. Wydaje mi się, że pływam — Pieczaba usiłował za pomocą rąk otworzyć sobie oko.

-71-

Podporucznikowi zrobiło się przykro, że obudził Pieczabę, ale poza Pieczabą nie było w strażnicy doświadczonego podoficera, więc powiedział:

- Musicie być na chodzie, Pieczaba. Oczekuję od was dzisiaj błyskotliwości umysłu.

- Tak jest. Rozkaz! - trzasnął obcasami Pieczaba, po czym chwiejnym krokiem wyszedł na podwórze i kazał służbowemu wylać sobie na głowę wiadro wody, a potem drugie, trzecie, aż do skutku.

Wreszcie po dokonaniu tych rozpaczliwych zabiegów stanął się z powrotem u podporucznika, ociekający wodą i żaloszny, ale za to jego oczka błyszcząły o wiele jaśniej i powiększyły się do rozmiaru dziesięciogroszówek, co było dość dużym osiągnięciem u sierżanta Pieczaby.

- Siadajcie, Pieczaba - powiedział podporucznik Groźniak i bez słowa pokazał sierżantowi straszak.

- Skąd to?

Podporucznik opowiedział o całej historii ze strzałami. Sierżant obejrzał straszak fachowo i sprawdził magazynek.

- Pusty — powiedział.

- Nie był pusty - rzekł podporucznik. - To w nim znalazłem - pokazał zieloną nitkę i liść dębowy.

- Żartujecie, poruczniku.

- Nie... mówię poważnie. W magazynku była ta nitka zawinięta w liść.

- Dziwne — powiedział sierżant, odkładając straszak i nitkę.

- Mnie też wydało się dziwne — rzekł podporucznik — dlatego was obudziłem. Ciekaw jestem, co o tym myślicie.

Sierżant objął rękami łupiącą go z niewyspania głowę i zatopił swoje bystre oczka w leżącej na stole zabawce.

- Pozwólcie się skupić, poruczniku.

- Dobrze, tylko na miłość boską skupiajcie się szybko, sierżancie. Sierżant przez chwilę walczył z sennością, wreszcie zdołał się przemóc i powiedział:

- Przede wszystkim jedna rzecz wydaje się dziwna: w jaki sposób oddano strzały, skoro był zapchany magazynek...
- To prawda... straszak nie mógłby strzelać, gdyby miał w magazynku takie śmieci — rzekł podporucznik — chyba... chyba, że... ale potem pomyślałem sobie, że chłopiec włożył tę nitkę już po strzelaniu.
- Po co by kładł?
- Właśnie to jest pytanie. Poza tym, zauważcie sierżancie, co to za nitka. O ile się nie mylę, nikt w okolicy nie nosi marynarki ani ubrania, ani czapki utkanych z takich nici. Ani w strażnicy, ani w obozie...

— 72 —

- Z pewnością nikt nie nosi — rzekł sierżant. — Znam dobrze wszystkich w okolicy. Na pewno nikt nie nosi... Ta nitka pochodzi od kogoś obcego.
- Więc w takim razie skąd się wzięła w posiadaniu chłopca? -Mógł ją znaleźć.
- Mógł ją znaleźć, ale po co by pchał do magazynka? Chyba, że to był nienormalny chłopiec. Ale na obóz nie biorą nienormalnych chłopców - odparł porucznik. - O ile się nie mylę, są oni przed wyjazdem szczegółowo badani przez lekarzy.
- Tak, oczywiście, że tak, a zatem nie mógł to być chłopiec nienormalny -rzekł sierżant, pocierając się w ostrzyżoną na jeża głowę. - Pozostaje więc tylko jedno wyjaśnienie. Chłopiec ów wepchnął tę nitkę naumyślnie...
- Ale po co?
- Pozwólcie mi się skupić - rzekł sierżant, kontynuując masaż czaszki. Podporucznik pohamował się więc i pozwolił się skupić sierżantowi. Sierżant Pieczaba przez chwilę jeszcze uprawiał masaż czaszki, po czym powiedział:
- Widzę jedno bardzo ponętne rozwiązanie. Chłopiec nie zgubił straszaka, ale umyślnie go upuścił razem z chustą, żeby zostawić ślad i zwrócić naszą uwagę.
- Ślad?
- A ta nitka i ten liść coś znaczą... Może chciał nam przekazać jakąś wiadomość.
- Co wy bredzicie, sierżancie... Sierżant przetarł oczy.
- Może bredzę - rzekł - ale może nie... Przypuśćmy, że chłopiec wpadł na jakiś trop...
- Trop? Czyj?
- No, przestępców. Ta nitka... ona daje dużo do myślenia.
- Przestępców? Co wy?! - zdenerwował się podporucznik. - Nie, dajcie pokój. Nieprzytomni chyba wciąż jeszcze jesteście... Załóżmy nawet, że tak to, to po jakie licho te wszystkie dziwaczne kombinacje? Przecież mógł przyjść na strażnicę i powiedzieć co i jak.
- Może nie mógł.
- Jak to?
- Może był w rękach przestępców... a te strzały to były strzały nie jego, ile... do niego. Podporucznik zbladł i zerwał się z krzesła.
- Tak, to możliwe - wykrztusił.
- Zdaje się także — rzekł sierżant — że wiem, gdzie znaleźć trop przestęp-

-73-

- Wiecie?
- Ten liść dębowy...
- Prawda. Dęby u nas rosną tylko w kwadracie KS! - wykrzyknął podporucznik. — A zatem alarm. Nie mamy ani chwili do stracenia. Zarządzamy alarm, sierżancie. Macie jeszcze jakieś pytania?
- Tak jest!
- Słucham?
- Czy mogą ziewnąć, poruczniku?
- Co takiego?... Ależ tak, drogi sierżancie.

Ale Pieczaba nie ziewnął. Nim się porucznik zorientował, pocziwy sierżant już spał.

Czarny, zziąjany, wpadł na polanę, gdzie czekał go Łysy z jeńcami.

- No, to wszystko załatwione - powiedział zadyszany. - Ruszamy.

Szli przez najdzikszą część lasu. I nie był to przypadek. Szpiedzy umyślnie wybrali tę drogę. Czuli się tu bezpieczni. Chłopcy z ponurymi minami obserwowali ich, jak śmiało i zręcznie poruszają się w gęstych zaroślach.

Co robić? - myśleli zaniepokojeni. - Jeśli pójdzie dalej w tym tempie, akcja Straży Granicznej może być spóźniona. Za parę minut przestępcy ukryją się w starych wrakach na brzegu. Zaraz potem będzie wieczór, noc i kto ich tam znajdzie? A gdy tylko się ściemni, do brzegu ze statku zakotwiczonego na płyciźnie dobije cicha łódź, zabierze drani i... „żegnaj, kochana ojczyzno...” Chłopcy przygryźli spieczone wargi. Wymienili gorączkowe spojrzenia. Coś trzeba zrobić. Za nic na świecie nie można do tego dopuścić. Trzeba natychmiast przystąpić do akcji.

- Proszę pana, niech pan stanie. - Jęczyk usiłował zatrzymać Czarnego. -

Niech pan stanie...

- Czego chcesz?

- Słyszałem trąbkę. O, niech pan posłucha... znowu się odezwała, to pewnie trąbka leśniczego.

Czarny nie stanął wprawdzie, ale zwolnił kroku i widać było, że nasłuchuje-

- Nic nie słyszę. Nie, musiałeś się przesłyszeć. Łysy, słyszałeś coś?

- Chyba nic.

Znów przyspieszyli kroku.

Jęczyk spojrzał rozpaczliwie na Babasa. Teraz z kolei Babas spróbował swojego zagrania.

- Pan wie, że nad morzem od wczoraj są manewry? — powiedział ni stąd, ni zowąd do Łysego.

Łysy nie odezwał się.

-74-

- Specjalna akcja... jak kocham myć nogi, proszę pana. Ćwiczenia wojsk powietrzno-desantowych. Wczoraj widziałem jednego faceta w berecie bordo zaczajonego w krzakach. Komandosi, znaczy się...

Łysy otarł nieznacznie czoło.

- Łiesz - powiedział. - To niemożliwe. Ale zaczął się pilnie rozglądać...

- Pewnie, że łże - wtrącił Jęczyk. - Niech pan go nie słucha, to nie żadne ćwiczenia, tylko specjalna akcja kombinowanej brygady komandosów.

- Co takiego? — Łysy znów otarł czoło. Widocznie pocił się nerwowo.

- Kombinowana brygada komandosów... Ja myślę, że to w związku z tym, co tydzień temu mówili nam na obozie. Tydzień temu było zebranie na kolonii i podporucznik Groźniak ze Straży Granicznej mówił, że teraz mają ostre pogotowie i że na brzegu chodzą bez przerwy patrole, co pół minuty... i żebyśmy mi pomagali. Aleśmy ładnie pomogli, co? Jak pan myśli, czy jeśli nas złapie Straż razem z panami, to będą nas sądzić?

Łysy udał, że nie słyszy, ale otarł czoło z potu.

- Najgorsze to by było, gdyby zaczęli strzelać zza krzaków, znienacka... Jakby tak wypadli znienacka, to pan się podda, prawda, i nie będzie trząskali, bo oni by nas chyba wszystkich wytrząskali.

Czarny jęknął.

- Nie mogę tego słuchać... Zamknij tego maniaka — powiedział do Łysego. Łysy otarł szyję z potu i zagroził Babasowi:

- Jak jeszcze raz się odezwiesz, to zaknebluję ci paszczę!...

- Czy jakbym zobaczył komandosa, to też mam milczeć?

- O rany! -jęknął Czarny.

- No więc jak, czy mam wtedy milczeć, czy nie? - dopytywał się Babas. Łysy zasapał, ale opanował się i powiedział:

- Nie, wtedy masz oczywiście mówić, ale tylko wtedy. Uszli w ciszy może minutę.

Nagle Babas syknął:

-Straż!...

Czarny i Łysy drgnęli. Zatrzymali się.

- Gdzie?

Tam, w złotych dębczakach... gdzie są te wielkie paprocie.

- Bujasz.

- Jak kocham myć nogi, proszę pana, naprawdę widziałem... O znów się i" 'i uszył...

Jęczyk zdumiony wytrzeszczył oczy. Serce biło mu mocno. Nie, wzrok go mylił, za paprociami naprawdę coś się poruszyło. Czarny i Łysy też musieli

-75-

coś zauważyć, bo jak na komendę przypadli do ziemi, rozglądając się po okolicznych zaroślach, odbezpieczyli broń.

Jęczyk też przypadł do ziemi, ale zrobił to w ten sposób, żeby się znaleźć

^rz^arli jeden do drugiego, udając, że tul, się do s.ebie ze strachu. W krzakach z drugiej strony znów się coś poruszyło.

- Widziałeś? - szepnął Czarny do Łysego.

- Tak... otaczają nas... - Łysy otarł czoło chusteczką. Babas mrugnął okiem i trącił ramieniem Jęczyka.

Al tvm razem dali się naciąć.

! myślisz, że to może tylko dziki?... - Jęczyk miał pewne wątp-

Ś- No, przecież to maciora z małymi tam szura. A teraz do roboty, Jęczyk. W kieszeni mam stłuczone lusterko, rozumiesz...

Przysunął się jeszcze bliżej do Jęczyka. Jęczyk wy dostał mu z kieszeni w bluzie stłuczone lusterko.

Kto by pomyślał, że stłuczone lusterko tek im się ^rzTda ota ŁTwędź szkła łatwo przecięta więzy.

Po minucie obaj midi uwolnione ręce. Poszłoby im jeszcze szybciej, ale bali się poprzecinać sobie ręce i tak szkło zadrasnęło ich w kilku miejscach.

- Trzymaj ręce z tyłu, żeby me zauważyli - powiedział do ęczyka Baba Jęczyk chciał także za jednym zamachem poprzecinać pętle na biodracn i uwolnić się całkowicie, ale Babas go powstrzymał.

- Jeszcze nie teraz. Czekajmy na dogodny moment ikl za Czarny bezszelestnie podczołgał się do kępy dębczakow. Wkrótce znikł

SP^

sce gdzie zniknął Czarny, nie zwracał na nich żadnej uwagi. Chłopcy, poma gajac sobie nawzajem, rozwiązali resztę krępujących ich sznurów^ Babas zaczął rozglądać się za jakąś bronią... ale w P0^" go, co można by było użyć jako broń. Uwagę jego zwróciły y wokół ściętego pniaka, o pół metra od miejsca, w którym lezeh. tek lusterka raz jeszcze wykazał swą przydatność. Za jego pomocą, nie jąc na kLcie kolców, Babas uciał ostrożnie dwa największe osty. Jeden wręczył Jęczykowi, drugi zatrzymał przy sobie.

Ja go trzepnę po łapie, a ty chwyć od razu za pistolet - urwał, bo nagle ,,.,.,.,.,^,1 yp i vsv nrzypatruie się im uważnie.

CoTw wy JJdzl chłopców musrało się wydać typowi podejrzane, a może nawet zauważył, że nie sajuż skępowani, bo syknął.

- A to co znaczy?

_ To! _ wrzasnął przeraźliwie Babas i z całej siły smagnał go po ręce.

-76-

Cios był niespodziewany. Łysy wydał okrzyk bólu, pistolet wypadł mu z ręki, jednocześnie huknął strzał. Łysy musiał mimo woli nacisnąć spust pistoletu, zanim wypuścił go z dłoni. Wprawdzie nikt nie został trafiony, ale huk przeraził na chwilę wszystkich. Na szczęście Jęczyk oprzytomniał pierwszy. Na ułamek sekundy przed Łysym porwał broń i skierował w jego stronę.

- Ręce do góry! - krzyknął, cofając się szybko.

Ale typ ani myślał słuchać. Odzyskał już zimną krew i zapanował nad strachem. Zerwał się na nogi i skoczył w kierunku Jęczyka. Jęczyk chciał strzelać, ale iglica broni stuknęła głucho. W pistolecie

nie było już kul. Byłoby krucho z Jęczykiem, na szczęście nie stracił refleksu, błyskawicznie zorientował się, że ma przecież w drugiej ręce oset i ciął nim prosto w twarz napastnika raz i drugi, i trzeci.

Łysy jęknął przeraźliwie... zakrył oczy rękami... oślepiiony, potknął się o wystający korzeń sosny i runął jak długi na igliwie.

Jęczyk dał susa w zarośla... W chwilę później usłyszał tupot wielu nóg

1 dołączył do niego zziębnięty Babas. Patrzył przestraszony w stronę zarośli.

- Co się stało? Czarny cię gonił?

Ale Babas nie zdążył nawet odpowiedzieć. W tej samej chwili bowiem rozległo się przerażająco grube, wściekłe chrząkanie... i oczom chłopców przedstawił się niezwykle widok.

Z młodnika dębowego wybiegł na polanę wielkimi susami Czarny, za nim wyskoczyła olbrzymia czarna maciora.

Czy to strzał niespodziewany ją spłoszył i rozjuszył, czy też nie spodobał jej się Czarny penetrujący zarośla, dość, że teraz rozsierzdzona sadziła za nim potężnymi susami z ryjem przy ziemi, obnażając złowrogo białe zakrzywione kły, a za nią skakało z niesamowitym kwikiem dziesięć pasiastych warchlaków.

Chłopcy uściśnęli sobie ręce. Wiedzieli, że rozdrażniona maciora w obronie swoich warchlaków staje się jeszcze groźniejsza od rannego odyńca. Czarny uciekał, jakby miał motor w nogach i byłby może zdążył dopaść do najbliższego drzewa i schronić się na nim, ale na jego drodze stanął Łysy. Właśnie niespodziewanie podniósł się na czworakach z ziemi, mrugając poparzonymi powiekami, i Czarny wpadł z całym impetem na niego. Przewrócił się obaj. Czarny zerwał się wprawdzie natychmiast, ale Łysy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, uchwycił go mocno rękami i jęcząc, nie chciał puścić.

- Pokłuli mnie... łobuzy... pokłuli mnie... Rety!...

- Puszczaj, idioto! - krzyknął Czarny. — Nie widzisz, że dziki nas obsko-ly...

-77-

Ale było już za późno. Maciora dopadła do niego. Przez moment zdawało się, że cios jest śmiertelny, ale Czarnego uratował pakunek w zielonym pokrowcu. Kły maciory zatrzymały się na tym pakunku.

Czarny, widząc, że nie ma innego wyjścia, wypalił w łeb dzika. Na odgłos strzału chłopcy nie zwlekali dłużej i co sił w nogach pognali w kierunku drogi.

Nie przebiegli nawet stu metrów, kiedy usłyszeli ujadanie psów.

- To psy służbowe — powiedział Babas.

- Patrol Straży - zadyszał Jęczyk.

- Gotowe nas wywęszyć.

- Nie mam ochoty dać się szarpać.

- Może... może na wszelki wypadek weszlibyśmy na drzewo - zaproponował Jęczyk i nie zwlekając, zaczął wdrapywać się na najbliższy dąb... Babas poszedł za jego przykładem.

- Masz rację, lepiej wyjaśnić sprawę z drzewa...

Ledwie znaleźli się na gałęzi, na polanę wpadli dwaj żołnierze z psami na smyczach. Psy dopadły do drzewa i ujadając, poczęły bezskutecznie podskakiwać do góry.

- Mamy ich! Tu są! — zawołał pierwszy z żołnierzy, a drugi dał sygnał gwizdkiem.

Wkrótce rozległ się tętent kopyt i na polanę wjechało dwu jeźdźców. Jednym z nich był podporucznik Groźniak, a drugim, sianiający się na koniu, ale przecież jadący dzielnie, znakomity sierżant Pieczaba, od trzech dni bohatersko walcząca z sennością.

- Do stu par łysych diabłów! — zaklął podporucznik. — Do stu fur łysych diabłów, nikogo tu nie widzę!... Gdzie są ci szpiedzy?

- Tam, na drzewie - odparli strażnicy.

Podporucznik zdziwił się nieco, ale popędził do drzewa. Spojrzał w górę i poczuł, że robi mu się słabo. Na drzewie zobaczył dwu wypłoszów.

- Oszaleję chyba! — jęknął. — Ciagle ci chłopcy w krótkich majtkach! A zwracając się do

delikwentów, zasapał, tłumiąc gniew:

- A więc to wy?

- Tak, to my - odpowiedzieli pogodnie, nie zdając sobie sprawy z furii podporucznika.

Chcieli od razu wyjaśnić wszystko, ale nagle ogarnęło ich straszne onieśmienie. To dziwne, bo przecież byli odważni wobec wroga, a teraz... teraz cała śmiałość ich opuściła. Może dlatego, że zobaczyli wisielczą minę podporucznika Groźniaka, a może w ogóle się przestraszyli, że za bardzo narozrabiali. Bądź co bądź okłamali za pierwszym razem strażników - co tu dużo gadać. Ze strachu ich okłamali i wykpił się tym pomysłem z nitką.

— Do stu fur diabłów! — zaklął podporucznik — słyszycie, sierżancie?

-78-

Sierżant otrząsnął się z nowego napadu senności.

- O co chodzi, poruczniku?

- Pytam się was, gdzie są przestępcy, których obiecywaliście, sierżancie?

- No, chyba tu.

- Nie, tu są chłopcy w krótkich majtkach.

Nieszczęśliwy sierżant Pieczaba z trudem otworzył powieki i jeszcze raz potrząsnął głową, żeby odpędzić senność. Zdawało mu się bowiem, że śni, ale nie śnił. Istotnie, na drzewie siedziało dwu chłopców w krótkich majtkach, a miny ich nie wskazywały bynajmniej na to, by byli w rękach przestępców, a raczej, że niedawno urządzili komuś dobry kawał.

- Czy oni wyglądają na ofiary przestępców granicznych? — zagrzmiał podporucznik. — Nie, oni wyglądają na urwisów. I nie widać wcale, żeby byli w mocy wroga.

- Istotnie, nie widać - jęknął zmieszany sierżant, po czym zdjął czapkę i zrobił sobie mały masaż głowy.

- I co z waszą teorią? — szydził okrutnie podporucznik. — Z teorią nitki i straszaka? To wstyd, to kompromitacja, sierżancie. Jak my teraz wyglądamy? Majaczyliście chyba w śpiączce. Tak jest, majaczyliście w śpiączce i nie byliście wcale na chodzie. Wymyślić taką hipotezę!

Wtem wzrok podporucznika padł na pistolet, który Babas tulił do piersi.

- Patrzcie, jeszcze jeden straszak. To te nowe strzały... Skonfiskować. Pieczaba podjechał.

- Dajcie no, chłopcy, tę zabawkę.

Babas rzucił mu pistolet... Sierżant wziął go do ręki. Nagle twarz mu się /mieniła. Pomacał go w rękę, obejrzał i zamrugał oczami.

- Weźcie to poruczniku... ja przepraszam... ale melduję, że chyba śpię — wybełkotał.

Podporucznik wziął pistolet. Broń zaciążyła mu w rękę. Wytrzeszczył oczy i dopiero teraz poznał, że trzyma w ręce najprawdziwszego niemieckiego mau-/era, kaliber 9.

-Co to jest?

- Pistolet, panie poruczniku - wykrztusił Babas.

- Skąd wzięliście ten pistolet?

- A to od szpiega.

- Co takiego?

- Od szpiega - powtórzył.

Podporucznik poczuł, że krew uderza mu do głowy.

- Szpieg wam dał ten pistolet?

- No, nie... odebraliśmy mu... szkoda tylko, że bez kuli, ale przy szamotaniu ostatnia kula w magazynku wystrzeliła... ten pierwszy strzał pan porucznik

-79

ffl e2'5^

! i Eg e> S

1

o

-a o

r

N O

3

-o

u

•N

i-i O-i B,'

I

00

— No, dobra. Tych parę zadrapań na twarzy, to głupstwo, tylko ta mina, bracie, do niczego. Po co masz robić uciechę Karaśkiewiczowi? Pomyśl, że on nic nie wie, nic nie widział... Szary człowiek, a my? Zrób taką minę, o, tajemniczą.

Jęczyk starał się go naśladować, ale nic z tego nie wyszło. Gdy wchodzili do sali, wszystkie głowy obróciły się do nich i rozmowa ucichła. Karaśkiewicz trącił w bok Pawła i obaj wybuchli krótkim chichotem. Jęczyk i Babas patrzyli w stronę Szyrmera, czy nie będzie ich besztął, ale on powiedział tylko jakimś nieswoim głosem:

-No, nareszcie jesteście. Siadajcie do stołu. Pogadamy później. Był bardzo blady i otarł chusteczką czoło, chociaż wcale nie było gorąco, a potem przez resztę kolacji nerwowo czyścił okulary.

Nigdy chyba jeszcze jedzenie nie smakowało tak obu wywiadowcom jak tego wieczoru.

Pałaszowali je z wilczym apetytem, nie bardzo wiedząc nawet, co wsuwali. Przed podaniem deseru Karaśkiewicz posłał im szkolną pocztą kartkę, na której napisał:

No i czyj był prawdziwy trop???

Kuba wstał, pomału i ostentacyjnie niedbałym ruchem wrzucił ją bez słowa do kosza od śmieci.

Jęczyk spojrział na niego z podziwem. Babas umiał trzymać fason.

Pod koniec kolacji chłopcy mieli jeszcze jedną chwilę emocji. Oto gdy skończyli deser, rozległy się nagle dalekie strzały...

Wszyscy zastygli nad stołem i patrzyli po sobie zaniepokojeni. Tylko Jęczyk z Kubą wymienili znaczące spojrzenia.

Życie na obozie toczyło się pozornie zwykłym torem, a przecież coś się zmieniło. Od tego dnia chłopcy nie bawili się już w zwiadowców i podchody. Szyrmer nie puszczał ich do lasu.

Karaśkiewicz twierdził, że to z winy Jęczyka i Babasa, którzy wtedy okazali się ostatnimi ofiarami i Szyrmer najadł się przez nich strachu. Co do obu nieszczęsnych wywiadowców, byli wdzięczni Szyrmerowi, że nie wspominał nigdy o ich przygodzie i nie pozwalał, żeby im dokuczali.

Co prawda, poza jego plecami, używano sobie na obu delikwentach, ile

wlaziło. Patrzono na nich z wyższością, przezywano czerwonymi kapturkami oraz Jasiem i

Małgosią, a Karaśkiewicz pytał ich, czy wytropili w lesie wilka, czy Babę Jagę i chichotał

obrzydliwie. Jęczyk już nieraz miał dosyć tego i chciał powiedzieć Karaśkiewiczowi, kogo

naprawdę wytropili, ale zawsze wtedy napotykał surowe spojrzenie Kuby i znosił wszystko w milczeniu.

-82-

Nadszedł wreszcie ostatni dzień pobytu chłopców na obozie. Wieczorem odbyło się pożegnalne ognisko, na które harcerze zaprosili między innymi przedstawicieli Straży Granicznej z podporucznikiem Groźniakiem na czele.

Szyrmer podziękował dowódcy strażnicy za pomoc w zorganizowaniu obozu.

Podporucznik Groźniak uśmiechnął się.

- No, chłopcy... jeśli już koniecznie mamy sobie dziękować, to ja chciałbym podziękować dwu waszym harcerzom.

Zapanowała cisza. Chłopcy patrzyli po sobie zaskoczeni.

- Otóż musicie się dowiedzieć - zaczął Groźniak - że dwa tygodnie temu wasi harcerze wytropili i pomogli ująć dwóch uzbrojonych przemytników, powiedziałbym agentów specjalnej klasy, którzy wiedząc o zaostrej kontroli na przejściach granicznych, próbowali opuścić teren Polski

tradycyjną zieloną ścieżką przemysłową. Unieśli z sobą kopię ściśle tajnej dokumentacji technicznej pewnych elementów wyposażenia naszego najnowszego helikoptera wojskowego HUZAR 99. Wasi harcerze przyczynili się waleśnie do tego, że ten ważny produkt polskiej myśli technicznej nie został nam wykradzony!

Rozległy się szepty zdziwienia.

- Nasi harcerze? — zapytał Szyrmer zdumiony i przerażony zarazem. Dowódca patrzył z uśmiechem po zaciekawionych chłopcach.

- To znaczy, że nic nikomu nie mówili. No... to dobrze o nich świadczy. Odwrócił się do Jęczyka i Babasa:

- Jak tam koledzy, tajemnica wojskowa zachowana?

- Tak jest - odparli, czerwoni z emocji.

- To dobrze... - powtórzył z uśmiechem. - Teraz możecie już wszystko opowiedzieć kolegom. Albo nie, lepiej ja opowiem, bo to nie byle jaka przygoda.

Zapanowała ogromna cisza. Słychać było tylko trzaskanie igieł w ognisku... Czerwony odbłask padał na napięte twarze, błyszczące oczy wpatrywały się z przejęciem w Babasa i Jęczyka.

A podporucznik opowiedział wszystko, jak było. Prawie wszystko, bo ani Iowem nie wspomniał, jakiego mieli stracha. Najgorzej bał się Jęczyk, żeby nie powiedział, jak jemu - wywiadowcy Jęczykowi, łydki dygotały. No, bo to by go od razu położyło w oczach tych małych szyderców. Ale podporucznik, dobre chłopisko, nie wspomniał o tych łydkach, tak że w jego opowiadaniu wyszli na całkiem równych bohaterów. Powiedział, że ujawnił się w nich prawdziwy talent asów służb specjalnych, bo potrafili w każdej sytuacji zachować lic mądrze i rozważnie, a jednocześnie bohatersko.

Pomysł z nitką nazwał fortelem godnym kontrwywiadu, a straszenie prze-1',-pców w czasie ostatniego marszu przez gąszcze - nokautem psychologicznym.

-83-

Na końcu złożył gratulacje zaskoczonemu Szyrmerowi, powiedział, że jego praca instruktorska wydała plon w osobach tu obecnych Jęczyka i Babasa.

Wszyscy byli wzruszeni i przejęci tą przemową. Jeszcze chyba nigdy nikogo na tutejszych ogniskach tak chciwie nie słuchano. Potem wypytywano Jęczyka i Babasa o różne szczegóły. I pytaliby bez końca, ale Szyrmer przerwał, bo były jeszcze inne punkty programu ogniska.

Za to całą powrotną drogę wszyscy mówili o Straży. Lotnictwo, marynarka, broń pancerna musiały ustąpić miejsca. Tego wieczoru wszyscy chcieli być w Straży Granicznej.

Jeden Karaśkiewicz trzymał się z daleka i nie brał udziału w rozmowie. Może zazdrość go żarła, a może wstyd. Dopiero w umywalni niechcący wpadł na Jęczyka i Babasa. Jęczyk walnął go wtedy pod żebro, tak lekko, zupełnie leciutko, bez złości i zapytał:

— No i co, patałachu? Czyj był prawdziwy trop?

Ta zdradziecka J u lita Wynos

ilert zastał mnie w momencie, gdy moje możliwości manewru skurczyły się fatalnie. Właśnie miałem nową przeprawę z Okulczycką w sprawie Złośliwego Mięcia. Wciągnęła mnie do swej pracowni na początku dużej przerwy i od razu:

- Czy już przekazałeś Mięcia do zastępu Siudy?

Chrząknąłem zakłopotany. Okulczycką wpatrywała się we mnie nieruchomo swymi oczami kobry, a ze wszystkich półek, oszklonych szaf i gablot, którymi do przesady zagrożona była pracownia, wpatrywały się we mnie smutne oczy spreparowanych zwierząt. Starąłem się wytrzymać te spojrzenia, ale trudno było.

- Siuda go nie chciał - bąknąłem pod nosem.

- Mówiłam z nim i zmienił zdanie - odparła zimno Okulczycką. - Potem dwa razy przychodził do ciebie i upominał się o Mięcia, ale ty mu bardzo brzydko odpowiedziałeś. Mam tu zanotowane wszystkie twoje brzydkie odpowiedzi — Okulczycką wyciągnęła z jednej z przepastnych kieszeni swej dzinsowej spódnicy czarny notes. - Czy mam ci przeczytać dokładnie?

To był właśnie ten moment, w którym moje możliwości manewru skurczyły się fatalnie. Rzeczywiście słowa, które nieopatrznie powiedziałem Siudzie, były raczej brzydkie. Czułem, że jestem przyparty do mury i przegrywam zdecydowanie. Nigdy nie wygram z notesem Okulczyckiej. Ogarnęło mnie zniechęcenie i pewnie palnąłbym jakieś dodatkowe głupstwo, gdyby nagle nie otworzyły się z trzaskiem drzwi. Na progu stanął zadyszany Wyrzek.

- Alert! Wszyscy do sali gimnastycznej! Alert!!! — wrzasnął przeraźliwie i już go nie było.

- Chyba powinienem pójść - zauważyłem. - Wątpię, czy pani napisze mi usprawiedliwienie, że z powodu Mięcia...

-84-

-85-

tem

- Zmykaj! - Okulczycka przygryzła wąskie wargi. - Porozmawiamy po-

— Tak jest, proszę pani — wykrztusiłem pośpiesznie i wybiegłem z sali biologicznej.

Alert! - pomyślałem z satysfakcją. A więc nie myliło mnie przeczucie... Każdego rana, czyszcząc zęby w łazience, wyglądam na ulicę. Mamy raczej pieskie mieszkanie, ale z jednym przynajmniej plusem. Łazienka nie jest ciemna, ma własne okno, przez które widać najciekawszy fragment osiedla, pawilony usługowe, sklepy i pocztę. Tego dnia, jak zwykle rzuciłem okiem przez szybę i od razu zwróciłem uwagę na dziwne zachowanie druhny szczepowej. Zamiast, jak co dzień o tej porze, biec z siatką do „Samu”, widziałem, jak popędziła do fryzjera w sąsiednim pawilonie, do znakomitego zakładu „Adonis”. Sam Adonis, czyli pan Młynarczyk, był już na posterunku, stał w progu, jakby czekając na druhnę. A druhna po drodze ściągała z siebie błyszczący płaszcz ze sztucznej skóry, żeby było szybciej, i nim zniknęła w lustrzanej czeluści „Adonisa”, spostrzegłem, że ma na sobie swój instruktorski mundur. Zajrzałem do kalendarza i stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że tego dnia nie przypada żadne święto ani rocznica, a zatem... zatem szykuje się nadzwyczajne zdarzenie, i pomyślałem, że warto na wszelki wypadek ogłosić dla zastępu alert. I zaraz zadzwoniłem do Złośliwego Mięcia i powiedziałem mu, żeby zawiadomił wszystkich o alercie. Wszyscy mają trzymać się razem i być w polu widzenia, niech nie rozłażą się po budzie, niech mają oczy i uszy otwarte i niech czekają na instrukcje.

Miecio wysłuchał spokojnie, a potem zachichotał zadowolony:

- To niezły sposób.

- Sposób?

- Chodzi ci o Bolenia...

- Dlaczego miałoby mi chodzić o Bolenia? - zapytałem zdziwiony.

- Nie zgrywaj się, Żaba. Boleń od trzech dni jest nieuchwytny. Znika na każdej przerwie. Nie wykonał zadania z tamtej zbiórki. On coś knuje... Zauważyłeś i chcesz go sprawdzić.

Zamilkłem na moment i zrobiło mi się głupio, bo prawdę mówiąc, nic nie zauważyłem.

- Rozszyfrowałem cię - zaskrzeczał ucieszony Miecio.

- Bzdura — warknąłem. — To nie ma nic wspólnego z Boleniem.

- W takim razie gliptal?

- Dimelon — odpowiedziałem.

- Stuprocentowy?

- Nie zadawaj nigdy takich pytań. Dimelon zawsze jest stuprocentowy.

Wykonać!

-86-

- Dobra... dobra... zrobi się — Miecio przestał chichotać.

Odłożyłem słuchawkę. Dopiero potem zrozumiałem, że za wcześnie. Trzeba było najpierw wyciągnąć od Złośliwego Mięcia więcej bliższych szczegółów na temat Bolenia. Ale skąd mogłem wtedy wiedzieć, że kroi się z tego wielka sprawa? W tej chwili pasjonował mnie alert.

Korytarze już były opustoszałe. Pod tablicą czekali na mnie chłopaki z zastępu. Zauważyłem w ich oczach błysk uznania. Zaimponowałem im, że wiedziałem o alercie już z samego rana. Byli wszyscy z wyjątkiem Darka Bolenia.

- A gdzie jest Darek? Nikt nie wiedział.
- Zawiadomiłeś go? - zapytał Mięcia.
- Tak. Jako pierwszego. Bałem się, że znów gdzieś pryśnie.
- No i co?
- Mówił, że będzie cały czas przy nas...
- I był, na pierwszej przerwie cały czas był - wtrącił podniecony Albaniec. - Dopiero potem zniknął.
- Co wy tu jeszcze robicie?! - usłyszeliśmy głos Szymona Szymańskiego, naszego drużynowego. — Wyglądacie, jak byście się dopiero obudzili. Nie wiecie, że jest alert?! Jacek, popędź ich — krzyknął do zaaferowanego przybocznego Pulpickiego, zwanego popularnie Pulpetem. Pulpet, zaczerwieniony z wysiłku, zaczął nas wypychać do sali gimnastycznej. Nie sposób było się oprzeć naciskom Pulpeta. Zrezygnowaliśmy więc z szukania Darka i wbiegliśmy do sali. Wkrótce pochłonęły mnie sprawy związane z alertem i znów przestałem myśleć o dziwnym zachowaniu Bolenia. To był alert dotyczący spraw naszego osiedla i naszych domów. Szczepowa ogłosiła, że po południu odbędą się zbiórki drużyn, a potem natychmiast przystąpi się do działania. Jednostką operacyjną będzie zastęp. Pierwszym zadaniem będzie zwiad. Mamy się dowiedzieć, kto i gdzie potrzebuje pomocy, gdzie jest brud i nieporządek, co trzeba zmienić, co ulepszyć, kim się zająć...
I zaraz Pulpet wziął mnie na bok i powiedział, że o czwartej mamy być wszyscy w harcówce, cały zastęp w komplecie, i że nie będzie żadnych usprawiedliwień. A ja od razu odparłem, że nie mogę ręczyć za Darka Bolenia, bo się wyraźnie obsunął w ostatnich dniach, ale Pulpet bardzo się zdenerwował, że dopiero teraz mu o tym mówię, że powinienem mu powiedzieć wcześniej, i wtedy on, Pulpet, na pewno powstrzymałby obsuwanie się Bolenia, całą swoją mocą powstrzymałby, ale ja znów wszystko chcę robić sam i indywidualnie, a nie mam doświadczenia, wszyscy już o tym mówią, to się rozniosło, że mam wstręt do kolektywu. - Nawet pani Okulczycka to stwierdziła - powiedział / jakimś głupim uśmiechem, a na końcu dodał, że pewnie przestanę niedługo
-87-

być zastępowym. Bardzo mnie zdenerwował tą przemową. Toteż zaraz po tej alertowej zbiórce zacząłem szukać energicznie Bolenia, osobiście go szukałem i chłopakom kazałem szukać, ale nie znaleźliśmy go nigdzie. Potem dopiero wrócił, jak już zaczęła się lekcja z Okulczyką, i oznajmił, że był u pani lekarki. Więc dopiero po tej lekcji go dopadłem i ostro wsiadłem na niego, że zlekceważył alert. Ale on jakoś nie wziął sobie tego do serca, ja mówię, a on nic, spływa po nim. Zauważyłem, że ma jakieś rozbiegane oczy i wypieki na twarzy, a w ogóle niezupełnie normalnie wygląda. Półprzytomny facet - tak można by to określić. Więc mnie aż gardło rozboleło, a on wciąż tylko jedno: „Chory jestem, mam pewnie żółtaczkę albo grypę, albo coś jeszcze gorszego. Byłem u pani lekarki, czekałem długo w gabinecie, bo pani lekarka poszła do pani dentystki. Dostałem jakieś gorzkie pastylki”. - Poruszył niemrawo szczęką i skrzywił się okropnie.

Tak mówił w kółko, jak wyuczoną lekcję. Podejrzewałem, że łże, ale nie miałem pewności. Faktem jest, że nie wyglądał normalnie.

- Możesz mi zbadać puls - powiedział.

Zbadałem mu. Faktycznie miał bardzo szybki. I do tego udrękę wypisaną na twarzy, oczy jak węgle, niespokojne.

- A jak się teraz czujesz?

- Czuję się nędznie.

- Fatalnie się składa... O czwartej idziemy na zwiad.

- Jaki zwiad?

- Chodzi o seniorów. I o podwórka.

- Z sercem do seniorów?

- Właśnie.

Boleń uśmiechnął się boleśnie.

- Nie bój się, przyjdę. Z sercem czy bez serca!

- No nie wiem... Pulpet się wściekał, ale skoro masz gorączkę... Spróbuję cię usprawiedliwić.

- Przyjdę. I na pewno z sercem — dodał, a ja po raz pierwszy pomyślałem, czy przypadkiem cały czas nie nabijał się ze mnie, skoro stać go na takie wesołe odzywki. Ale potem pomyślałem, że są różne rodzaje humoru. Podobno uprawiają go czasem nawet wisielcy, stąd powiedzenie: wisielczy humor. Jest także „uśmiech przez łzy”. Może właśnie Boleń uprawia coś takiego. Mimo bólu, gorączki i ogólnej niemocy uśmiecha się bohatersko, jak przystało na harcerza. Harcerski styl, harcerski fason? Spojrzałem uważnie na Bolenia i stwierdziłem z przykrością, że niestety wygląd jego mało szlachetnej twarzy był raczej wisielczy, ta bladość, ta siność i ogólne wrażenie udreki, tylko te oczy może zbyt żywe, błyszczące i rozbiegane. Zdenerwowany wisielcy - tak go można byłoby określić.

- Idź się lepiej połóż - mruknąłem. Potrząsnął głową.

- Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Jak mam nie zwracać?! Przecież widzę, że się skręcasz! Wykrztuś wreszcie, co cię gnębi!

- Naprawdę nic ważnego... — rozglądał się niespokojnie po korytarzu. — Potem ci powiem — dodał i nagle z niewiarygodnym jak na chorego zrywem puścił się biegiem wzdłuż korytarza, roztrzając po drodze tabuny uczniów.

- Szajba mu odbiła - zauważył Złośliwy Miecio. - Oto cała jego choroba! Szajba Darkowi odbiła! O godzinie czwartej spotkaliśmy się wszyscy w harcówce. Boleń przyszedł ostatni... i dobrze już spóźniony. Wpadł zadyszany, kiedy już wyruszyliśmy na zwiad. Zadyszany, ale w całkiem niezłej formie i lepszym humorze. Przydzieliłem mu do rozpoznania blok dziewiąty. Jego własny blok, w którym mieszkał. Roześmiał się tylko.

- Znam wszystkich seniorów na pamięć — powiedział. — Miesiąc temu robiłem z nimi wywiady do gazety szkolnej...

- Ze wszystkimi?

- Z tymi, którzy się zgodzili, oczywiście... Ale poznałem wszystkich. Mogę ci o każdym coś powiedzieć... A drugi raz odwiedzałem ich, jak była ta wystawa numizmatyczna i wystawialiśmy stare monety w klubie. Robiłem wtedy ankietę na temat: „Czy pan zna taką monetę”. I dowiedziałem się sporo ciekawych rzeczy.

- Tak, pamiętam — mruknąłem. — I cieszę się, że już ci przeszło...

- Co mi przeszło? - zapytał zdziwiony.

- Wygląda na to, że czujesz się już całkiem dobrze - powiedziałem.

- Nie... niezupełnie - roześmiał się znowu.

- Za dużo się śmiejesz — zauważyłem.

- Czy to źle?

Nie odpowiedziałem, bo nagle w sąsiedniej izbie rozległy się podniesione głosy. Jakieś sroki klóciły się okropnie. Zawsze mnie denerwowało to sąsiedztwo z dziewczynami za cienką ścianą. A to chichoty, a to śpiewy, adaptery na cały regulator, a dzisiaj dla odmiany taka zażarta kłótnia.

- Poczekaj tu, zobaczę, co tam się dzieje - powiedziałem do Bolenia.

- To może ja przez ten czas wynotuję tych seniorów - powiedział Boleń zupełnie nieporuszony tym, co się działo za ścianą.

-Wynotuj.

Boleń, gwizdząc beztrąsko, zabrał się do notowania, a ja udałem się do izby bratniego, a właściwie należałoby powiedzieć: siostrzanego zastępu.

!89-

K0 tak, oczywiście to była Beata ze swoim zastępem. Nawet jeszcze nie zaczęły zwiadu.

- Co tu u was tak głośno? - zapytałem. - Madę jakieś problemy. Może

mógłbym w czymś pomóc?

Tuż w pół do piątej,

- Popatrz, jaki dostałam zastęp! - krzyczała Beata. - Juz w p

a dopiero dwie przyszły.

siedziała sku-

Hozejrzałem się po izbie. Rzeczywiste na ławce pod scianM łona Ita czyli Julita Wynos, a obok niej

ta chuderlawa Alicja Wahgorska,

przypilnowały, a one nic... Sa, e tylko przyla-

dzie na pewno... Bo ciotka Uty wyszła ze szpitala i me mia dom., PWłęc mówię, że me mogła
inaczej *TM^ inaczej, przecież ta ciotka to też seniorka. Więc ona tam s o laskach i trzęsłaby się
tylko dlatego, że Beata chce mieć Powinna już dawno być, nawet gdyby odwoziła ciotkę.

coś przedłuż może Po-

^S:^awkolejcaZekłap Alicja ce po dzinsy, tak jak Mariola, Jaga i Urszula. Bo i zrobiła się
okropna kolejka... niekliła się Beata.

*! Dżinsy! Słyszysz! Ja tu mam alert, a « ^' ^ eicla Ali.

- Co można poradzić, że tak się nieszczęśliwie złożyło *

cja..Jakbytobiemamakazała stanąć, <^f^ stania? Za dwie godziny tych dżinsów nie będzie, a kogo
W ^U

^Udz, czy ja mogę prowadzić taki ^\$ jcc?ala Beata. - Przecież zawsze coś może przyjść do sklep, j
to do tamtego, a one uważają, że kupić jakiś łach ^ wazm^ze n, zbiorka_

- Tak, to bardzo przykre. Współczuję ci - ^^f^^Zl^ nas krzyczeć na Julitę i Alicję. Dlaczego na nich
Mrybdowu^ SW0^f^sc | Przecież one przyszły, a ty krzyczysz na nie, bo masz je pod ręką. upanuj
się... W końcu co Ita winna, że Uta umówiła się z cicią...

- Żeby to ja wierzyła w tę ciotkę - westchnęła Beata

- Masz rację, że nie wierzysz - odezwał się nagle dz^8 Obejrzelismy się nerwowo. Na progu stała
Mariola Jawor^Nie zauwa

żyliśmy nawet, jak weszła. „„„cienie?

- To ty?! - zmarszczyła brwi Beata. - Co znaczy to spóźnienie.

-90-

- Och, nie bądź nudna - skrzywiła się Mariola. - Na twoim miejscu bardziej bym się martwiła, że
mam dwie kłamczuchy w zastępie. Bardzo dobrana parka.

Na bladej twarzy Julity wystąpiły purpurowe rumieńce.

- Jak śmiesz... ty żmijo... Jeszcze nigdy nie skłamałam Beacie.

- Zaraz - przerwała Beata i spojrzała badawczo na Mariolę. - Czy nie rzucasz bezpodstawnych
oskarżeń? Skąd wiesz, że Julita skłamała?

-Nie wiem, czy akurat Julita, czy Uta - powiedziała swobodnie Mariola. -Julita może powtarzać
kłamstwo, które w mówiła jej Uta. W każdym razie Uta nie powiedziała prawdy.

- Skąd wiesz?

- Bo widziałam tę cicię. -Widziałas? Jak to?!

- Ma piętnaście lat i sypią jej się wąsy! -Co takiego?!

- A na imię to ta ciocia ma Dariusz — Mariola zaniósła się śmiechem i ponura Alicja też zaczęła
chichotać, tylko Beata była śmiertelnie poważna, a twarz Ity zbieleła jak płótno.

- Chcesz powiedzieć, że ona umówiła się z Darkiem Boleniem? - zmarszczyła brwi Beata.

- Oooczywiście, że z Darkiem - Mariola pękała ze śmiechu.

- To kłamstwo - zasapała Ita. - To podła plotka!

- Tu jest Żaba - Alicja zwróciła się do mnie. - Boleń jest z twojego zastępu, powinieneś wiedzieć...

- Nic nie wiem - zaczerwieniłem się. Nie chciałem wrabiać Bolenia w żadne historie tego typu.

- Chyba też jeszcze nie przyszedł... - uśmiechnęła się złośliwie Mariola.

- Owszem, przyszedł... - odparłem.

- W takim razie możemy go spytać...

- Niestety, jest zajęty - powiedziałem.

- Kryjesz go.

- Nie bądź śmieszna, co tu jest do krycia? Nawet gdyby gdzieś tam byli razem, no to co?

- Byli samochodem - oznajmiła Mariola. -I nie pierwszy raz. To wygląda tak. Darek podjeżdża
samochodem marki polski fiat 125p pod szósty blok na osiedlu „Tęcza”, gdzie mieszka Uta, i ja
zresztą też. W wozie siedzi Darek i jego stary. Samochód ma napis „NAUKA JAZDY”. Zabierają
Utę i jadą na tor wyścigowy na Miedzianej Górze. Inżynier Boleń, ojciec Darka, jest działaczem
naszego automobilkлубu i dogląda robót przy torze. A przy sposobności 1)arek i Uta uczą się

jeździć pod jego nadzorem... Może zaprzeczysz? — obróciła się do mnie wyzywająco.

-91-

Wzruszyłem ramionami:

_ Nie mogę nic zaprzeczyć ani potwierdzić. Darek mi się nie zwierza... _ Ale musiałeś zauważyć, że się zmienił w ostatnich dniach? _ To prawda, zmienił się - przyznałem niechętnie. _ I że ma plamę od oleju na kolanach, i brudne od smaru ręce, i me może doczyścić paznokci. _ Zgadza się. _ No, to ani ja, ani żaden prokurator już nie potrzebuje pytać więcej - zaśmiała się Mariola.

Wszyscy spojrzeli na Itę. Już nie protestowała. Siedziała ponura jak chmura eradowa, z oczami utkwionymi w podłogę.

_ Dostyc tych rozmów - powiedziałem. - Może byście zabrały się do robo-w _ urwałem nagle, bo za drzwiami rozległ się głośny tupot spiesznych kro-ków, do harcówki wpadła roześmiana, rozbawiona Uta, przyjemnie zarumie-

niOna prz^raszam za spóźnienie - zadyszała. - W aptece były takie kolejki...

Umilkła nagle, bo dopiero teraz zauważyła, że wszyscy patrzą na nią dziwnie.

_ Co się stało? - zapytała z niepokojem.

Odpowiedziało jej głuche milczenie. Dopiero po chwili z ławki rozległ się dziwnie zachrypły głos Julity:

_ Jak się czuje ciocia?

_ Ciocia czuje się dobrze - odparła bez wahania Uta.

I wtedy stała się straszna rzecz. Julita ocieźzała, powoli, jakby we śnie podniosła się ze swego kąta, a potem zamachnęła się mocno i z całej siły uderzyła

tQ Przez chwilę staliśmy jak skamieniali. Zaskoczenie było zbyt duże. Uta też trwała przez moment w osłupieniu, jakby nie rozumiejąc wciąż, co się stało a potem wybuchnęła płaczem i wybiegła.

Julita porwała ze stolika wielki żelazny nuchar - nagrodę za zwycięstwo w turnieju teatralnym - i chciała cisnąć w Utę ale Uta była już za drzwiami, więc puchar rąbnął tylko o podłogę i narobił okropnego hałasu. Rozjuszona Julita sięgnęła po następne trofeum w postaci srebrnej muszli za występy wokalne i usiłowała z tą muszlą wybiec za Utą, ale Beata i Mariola ją przytrzymały i odebrały jej muszlę. Przez chwilę jeszcze trwało zajadłe szamotanie, wreszcie Julita wyrwała się.

Pół żywa, ale wciąż rozjuszona stała w kącie, dysząc ciężko. Zielone oczy lśniły jej jak kotu, a na bladą twarz wystąpiły jakies straszne ciemnopurpurowe cętki. Biała pantera pomyślałem I to głupie porównanie, które wtedy przebiegło mi przez głowę, jakoś uparcie utkwilo mi w pamięci. Biała pantera - taką właśnie zapamiętałem Była straszna i interesująca zarazem. Patrzyłem na nią jak na inną, zupeł-

92-

nie mi dotąd nieznaną osobę. W tym momencie objawiła mi się w nowej, fantastycznej postaci. I chyba nie tylko mnie.

- Co się stało?! — z zagapienia wyrwał mnie czyjś niski, zachrypnięty głos. Drgnąłem i obróciłem się w stronę drzwi.

W izbie był Darek Boleń. Zupełnie nie spostrzegłem, jak i kiedy wszedł. Stał przy drzwiach i wlepił oczy w Itę oraz leżący puchar.

- To przez ciebie - wykrztusiła Beata, patrząc na niego ze złością.

- Przeze mnie?! - na jego twarzy odmalowało się szczere zaskoczenie. Nie chciałem mieć żadnych babskich awantur w ogóle, a w dniu alertu

naczelnika w szczególności. Toteż postanowiłem nie dopuścić do żadnej dyskusji.

- Wracaj do izby — powiedziałem do Darka. — Za chwilę porozmawiamy.

- Ale dlaczego?! - wybełkotał, wciąż głupio wlepiając oczy w Julitę.

- Słyszałeś?! Wracaj! - dosłownie wypchnąłem go za drzwi. - Chcesz, żeby cię rozszarpały?

- Za co?!

- Za Utę - syknąłem mu w ucho, gdy był już za drzwiami. - Czy nie widzisz, głupi ośle, że ta kocica Ita jest zazdrosna?!

Zamknąłem starannie drzwi i powiedziałem do Beaty:

- Stosunki w twoim zastępie są skandaliczne. Weźcie się w garść, na miłość Boga, dziewczyny. Odłóżcie te idiotyczne hece. Załatwicie wszystko po alercie.

- Nie! - ucięła ostro Beata. - Teraz trzeba załatwić. Nie mogę tych idiotek tak zostawić. Gotowe narobić większych głupstw... Mariola, biegnij za Utą i uspokój ją jakoś. A Icie trzeba podać kropli. Od czasu tej historii z Nowicką stale mamy w harcówce krople — powiedziała do mnie i sięgnęła do apteczki wiszącej na ścianie. - To nervosol, w cięższych przypadkach biegniemy do pani Bularskiej i dostajemy oxazepan lub relanium. Pani Bularska trzyma je zamknięte w szafie, bo boi się, że wpadniemy w nałóg. To fakt, że dziewczynki robią się nerwowe, zwłaszcza jak są takie idiotki, żeby zadawać się z chłopakami: No, masz dziś najlepszy przykład. Stale uprzedzam je i wbijam do głowy, ale czy one słuchają? — dokończyła z goryczą. — No, czego tak stoisz? - krzyknęła do oszołomionej Marioli. — Biegnij i zaopiekuj się Utą! A ty zostań — zwróciła się do mnie. — Coś trzeba zrobić z tą sprawą.

Niestety niewiele dało się zrobić. Po dziesięciu minutach sytuacja wyglądała tak: W harcówce, w kącie, pochlipywała wciąż Ita, a Beata już po raz trzeci dawała jej krople. Nad nimi, o piętro wyżej, w pracowni pani Hetmańskiej siedziała Uta i oglądała sobie w lusterku napuchłą twarz. Koło niej czuwała Mariola Jaworska i próbowała ją wyciągnąć na zwierzenia. O zgodzie i przeproszeniu nie było mowy! Całym naszym sukcesem było, że Jagę, Urszu-

-93-

I

ę

plikacji weWnętrzných oba zast

Kiedy napompowana kroplami i ° nieco i dałasf^nakłonić do o^f wieści, czyU do układania niczego in,eg0 nie była

- No t0 teraz cjatyy to ty n

Rosołu Julita uspokoiła się l przez zwiadowców w swoim stanie do na kilka

. Ale mnie

L Zasobny w ini- na szczęście do głowy pe- małe ni

I

.enie _ pokręciła głową Bea-

c c

. -Obiek-

tego mieszać? Naprawdę me wiem, czy wy...

j - Beata

- Zupełnie nie zdajesz sobie sprawy... nie widzisz... albo nie chcesz widzieć, czego jesteś świadkiem. Jesteś świadkiem śmierci!

- Zwariowałaś?!

- Śmierci ideału! Koniec wielkiej przyjaźni. Wszystko zdradzone!

- Przypuśćmy - westchnąłem ciężko. - Ale co na to poradzimy?

- Nie możemy dopuścić...

- Myślisz, że to się da jeszcze skleić?

- Sam mówiłeś, można się kłócić, a potem znów się godzić.

- Ale skoro mówisz, że to takie poważne, że śmierć i w ogóle...

- Musimy ratować, co się da... W każdym razie próbować, to nasz obowiązek... Mam pomysł...

- Zastanów się, czy my przypadkiem nie pchamy nosa w nie swoje rzeczy. Powtarzam. To są w końcu ich prywatne sprawy.

- Absolutnie z tym się nie zgadzam - zaprotestowała Beata. - Jak mi się żrą w zastępie, to nie jest prywatna sprawa. Czy zastęp może pracować w takim stanie rzeczy...

- Jeśli ci przeszkadzają, rozparceluj je — zaproponowałem chłodno, lecz wywołałem nowy napad furii Beaty.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co mówisz. Jak to wpłynie na dziewczynki. Stawiałam im zawsze Itę i Utę jako wzór przyjaźni! Modelowa przyjaźń - zaśmiała się gorzko. - Tak to określił kiedyś druh instruktor z hufca... Rozdzielić je... rozparcelować... pozbyć się... Nie, to wykluczone! Nie mogę pozbyć się żadnej z nich. Musiałabym zmienić fotografie w kronice i cały układ programu, jaki przygotowałam, i szkolenie. Bez nich zastęp rozpadnie się od razu. Bez nich zastęp jest po prostu zerem! Obie były takie zgrane - lamentowała. - Występowały razem w popisowym dialogu, przecież wiesz, śpiewały w duecie na akademii, razem deklamowały, grały na cztery ręce na pianinie...

- Do licha z pianinem! — zdenerwowałam się.

- One występują stale w imprezach HAK-u. Odpowiadam za ich występy...

- Szydło wychodzi z worka - zaszydziłam. - Chodzi ci o te występy czy o dobro Ity i Uty?

- O wszystko naraz! Nie, nie ma innego wyjścia! Muszę stanowczo je po-"odzić, a ty...

-Co ja?

- Ty musisz mi w tym pomóc!

- Jak mam ci pomóc?!

- Musisz wpłynąć na tego okropnego Bolenia. Niech się odczepi... -Co?!

- Niech się odczepi i przestanie nam podrywać Utę!

- Ajeż Beata...

-94-

-95-

- Podrywać? - oburzyłam się. - Znam Bolenia... i bardzo cię przepraszam, z prawa tak mówić o Boleniu. To, co on robi, to nie jest żadne podrywanie mas

- To co to jest?

- Jeśli Boleń zdobył się na to, jeśli tyle czasu spędza z Utą, to znaczy... to aczy, że to jest prawdziwa przyjaźń... a może, a może nawet...

-Co?

- Miłość!

Beata umilkła nagle zaskoczona. Jakby tej możliwości nie brała zupełnie >d uwagę.

- Miłość... — powtórzyła cicho, jakby smakując nieznanne słowo. — Ależ takim razie...

- W takim razie niewiele możemy zrobić, za to dużo popsuć!

—Nie... nie... mylisz się. W takim razie Julita powinna zrozumieć i nie mieć alu do Uty. Sama kiedyś powiedziała, podczas dyskusji na temat tej sztuki izekspira... co był potem film...

- „Romeo i Julia”.

- Tak, „Romeo i Julia”. Sama powiedziała, że miłość jest najważniejsza. spróbuję z nią pogadać.

- Byle nie teraz - powiedziałam. - Czas leczy rany. Jeden dzień zwłoki, i już inna sytuacja...

- Masz rację, porozmawiam z nią jutro.

- Lepiej za tydzień.

- To byłoby za późno. W niedzielę są imieniny Uty...

- Chyba urodziny.

- Wszystko jedno. W każdym razie zaprosiła na nie cały zastęp, paru chłopców i oczywiście...

- Darka Bolenia.

- Właśnie. Gdyby tylko Julita zgodziła się przyjść, wszystko można by naprawić...

- Gdyby tylko Uta zechciała zaprosić Julitę.

- Mówiłam, że zaprosiła cały zastęp.

- Ale to było jeszcze przed awanturą- powiedziałam. - Jeśli chcesz, żeby Julita przyszła, Uta musi ją specjalnie i osobiście zaprosić, a ja wątpię, czy po tym, co się stało...

- Nie wąż na zapas. Porozmawiam z nią, przekonam ją. Wytłumaczę jej, powiem: „Złość Julity wynika stąd, że ją okłamałaś, że nie powiedziałaś jej nic o swoich spotkaniach z Boleniem, że ukrywałaś się przed nią, że nie miałaś do niej zaufania i w rezultacie ośmieszylaś ją i upokorzyłaś. A przecież przyjaźń do czegoś zobowiązuje... no... przynajmniej do szczerości. Tym bardziej,

-96-

że przyrzekłyście sobie nie mieć przed sobą tajemnic, wiem o tym doskonale". Tak jej powiem i na pewno pomoże.

- Jesteś niepoprawną optymistką - zauważyłem nieco cierpko.

— Mamy tak wypisane na proporczyku zastępu: „Patrz jasno w przyszłość” - odparła z uśmiechem Beata.

— Brawo.

- Ale ty mi pomożesz. -Ja?

— Będziesz przy wszystkich rozmowach z Utą i z Itą także.

- Po co?

— Żeby było poważniej, żeby było dla nich jasne, że nie mówię tylko we własnym imieniu, że mnie popierasz i że sam załatwisz z Boleniem.

— W co ty mnie wrabiasz! — zaniepokoiłem się. — Co mam niby załatwiać?

— To przecież jasne. Żeby też przyszedł, żeby nie miał much w nosie i żeby był miły dla Julity. Czy to takie duże wymagania?

- Dobra, dobra - powiedziałem. - Załatw najpierw z Utą, a z Boleniem nie będzie kłopotu.

— Spotykamy się więc jutro na pierwszej przerwie — powiedziała Beata. — najlepiej w czytelniku.

O tej porze tam jest zupełnie pusto, poza tym jest tam jakaś specjalna atmosfera... Jakby wszystkie dobre myśli parowały z książek dookoła. Czeka tam, a ja przyprowadzę Utę i odbędziemy małą konferencję. Zgoda?

- Zgoda — odpowiedziałem i z ulgą powróciłem do spraw alertu. Taki zwiad to przynajmniej jasna sprawa. Zaglądasz, obserwujesz, wypytyujesz, potem notujesz, nie musisz nic rozstrzygać, nie decydować. A od takich spraw, jak z tą okropną Julitą, może rozboleć głowa...

Istotnie głowa już mnie zaczynała boleć, kiedy nazajutrz w bibliotece po długich korowodach namówiliśmy Utę, aby pogodziła się z Julitą i zaprosiła ją na urodziny.

- To i tak nie ma sensu - powiedziała ponuro. - Czuję, że to już koniec. Julita mi nigdy nie daruje... I wcale nie dlatego, że ją okłamałam. Wcale nie. Ona jest zazdrosna. Po prostu jest zazdrosna o Bolenia. A przecież nie ma /adnego prawa... nie ma żadnego prawa...

- Naprawdę myślisz, że to zazdrość? - zdumiała się Beata. - Przecież ona nigdy nie zwracała uwagi na Bolenia... Może raczej jest zazdrosna o ciebie... I tak, na pewno jest zazdrosna o ciebie. Tak żyła się z tobą, tyle czasu spędza-Kście razem, że teraz czuje się zagrożona... Ona cię naprawdę bardzo lubi. To wszystko z tej sympatii.

— Na mój gust, zbyt zachłannej - wtrąciłem.

- Nie wiem... Zupełnie nie wiem... To wszystko takie dziwne i skomplikowane - mówiła zaaferowana Uta. — Może macie rację... No, dobrze, zrobię to

-97-

dla was, zrobię to dla zastępu, wiem, że powinnyśmy być w zgodzie, choćby ze względu na wspólne występy. Ale musisz z nią porozmawiać, Beata, musisz z nią najpierw porozmawiać, nie zbliżę się do niej, póki nie będę wiedziała, że przyjmie moje zaprosiny i... i... musi mnie przeprosić za to uderzenie...

- A ty ją przeprosisz za kłamstwo — powiedziała Beata zadowolona, że misja daje wreszcie jakieś wyniki. - Zobaczysz, Uta - dodała z głęboką wiarą - pogodzicie się, zapomnicie i wszystko będzie jak dawniej...

- Widzę, że nie jesteś zbyt zachwycona - zauważyłem, patrząc na zasepioną Utę.

- Bo już nie będzie tak, jak było - rzekła smutno. - Ja to czuję. Nie będzie tak, jak było, ani ze mną, ani z nią, ani z Boleniem. Ona wszystko zepsuła...

Wszystko! Wszystko!

- Nie opowiadaj głupstw! Lepiej powiedz od razu, co cię naprawdę gryzie, bo czuję, że ty jeszcze

ukrywasz coś przede mną - rzekła zniecierpliwiona Beata. - Można by myśleć, że tak naprawdę, to wcale nie zależy ci na pogodzeniu się z Julitą, że wcale nie chcesz... I pomyśleć, że jeszcze wczoraj rano byłycie takimi przyjaciółkami. Co ja mam sądzić teraz o trwałości twoich uczuć... Wiesz, Uta, że zaczynam się ciebie bać. Skoro tak łatwo zapominasz o swoich przyjaźniach, tak łatwo wyrzekasz się kogoś, kogo przez pięć lat nazywałaś swoją najlepszą, najukochańszą, najserdeczniejszą Itą... I jesteś w gruncie rzeczy wściekła, jak próbuję was pogodzić... Po prostu czuję się teraz głupio, jak gdybym siłą wymuszała...

- Och, przestań - zachnęła się Uta. - Powiedziałałam już, że mogę to zrobić, jeśli...

- Już znam to na pamięć, jeśli Ita cię przeprosi...

- To nie wszystko. Nie dałaś mi dokończyć. Mogę to zrobić, jeśli Dariusz się zgodzi.

- Co takiego?!

- Jeśli on będzie chciał...

- Może nie chceć? — zdumiała się Beata.

- On... on boi się Julity... - wyznała zakłopotana Uta.

- Boi się? On? A to dlaczego?

- Julita śmiała się z niego - odparła smutno Uta. - Ona miała dawniej taki zwyczaj. Lubiła wyśmiewać się z chłopaków. Specjalnie zawzięła się na Dariusza. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego. To prawda, był niezgrabny, nie umiał tańczyć na zabawie i stale potykał się o coś... Ale przecież wielu chłopców w tym wieku też nie umie tańczyć i z nieśmiałości robią różne rzeczy... Tymczasem ona wybrała sobie do swoich głupich zgrywów Dariusza. Najgorzej robiła go w konia z językami.

- Z językami? Jakimi znowu językami?

-98-

- Angielskim i francuskim. Umyślnie wyciągała go na rozmowy na jakieś mądre tematy... Wiesz... literatura... historia... polityka. Dariusz był, owszem, dość odczytany i dużo wiedział, choćby z gazet, lecz rzecz w tym, że nie umiał wymówić dobrze ani jednego słowa po francusku, ani też po angielsku, więc nabijała się z niego i ośmieszała go przy dziewczynach. Pamiętam, gdy raz nie wiedział, jak się czyta Goncourt i wymawiał przez „żo”, a Giscard d'Estaing czytał przez „gi”, a znów angielskie imię James wymawiał po polsku James, a nie Dzems, podobnie jak Jack, zamiast Dżek. Ale to jeszcze nic. Najbardziej mu dopiekła na obozie. Darek przygotowywał się do quizu geograficznego. To było prawie dwa lata temu i nie był wtedy jeszcze dość mocny z geografii, zresztą z historii i z przyrody też nie. Julita zaraz to wykorzystwała do ubawu. Wmówiła Darkowi, że Orinoko to nazwa małpiatki żyjącej w dorzeczu Amazonki, a wyznawcy Mahometa pielgrzymują do Mokki, i on strasznie wygłupił się na tym quizie, wszyscy boki zrywali. No i od tego czasu, rozumiecie sami, Darek nie może patrzeć na Julitę. Unika jej, jak może... Po prostu wciąż jeszcze się jej boi.

- Bezsensowny strach - wzruszyłem ramionami. - Przecież od tego czasu wszystko się zmieniło. Wiem, że on w tej chwili jest bardzo dobry w językach, chociaż nie lubi się popisywać, ale jak przyjechali ci chłopcy z Polonii francuskiej, to zasuwał z nimi jak sam Belmondo albo Aznavour. I sam obożny czasem prosił go o tłumaczenie... To samo z geografią.

- To właśnie dlatego - powiedziała Uta. - On jest bardzo ambitny, i jak Julita go zagięła, strasznie się zawzięł, żeby pozbyć się tej plamy na honorze...

- Czyli powinien być wdzięczny Julicie — rzekłem szyderczo. — W końcu dzięki niej coś zyskał... Uta zmierzyła mnie wrogim spojrzeniem. Beata też spojrzała na mnie z wyrzutem i powiedziała:

- Bez żartów, to nie pora na zgrywy! Rusz lepiej głową, jak przekonać Bolenia. Skoro on ma takie opory...

- To są opory psychologiczne - powiedziałem - i dlatego trzeba zadziałać na niego psychologicznie.

- Mianowicie?

Nie odpowiedziałem od razu, bo coś mi się zaczęło pomału układać pod pokrywą czaszki...

- Mam pewien plan - rzekłem po chwili. - Zupełnie szatański plan - zatarłem podochocony ręce.

Sprawa zaczęła mnie wciągać coraz bardziej, jak gra. -Ale wszystko zależy od tego, czy uda się załatwić z Julitą pewną rzecz...

- No, to chodźmy najpierw do Julity - zdecydowała Beata.

Julitę znaleźliśmy w izbie PCK. Miała właśnie dyżur i porządkowała leki w apteczce. Oczywiście nie chciała słyszeć o przeprosinach.

-99-

- Po tym, co mi zrobiła, mam przyjść na jej urodziny, jak gdyby nigdy nic?! Też wymyśliłaś, Beata! Byłabym już chyba zupełnie bez honoru! Nie, to niemożliwe... Nie namawiaj mnie! Wstaw się na moje miejsce i pomyśl, jakbyś się czuła!

Beata spojrzała na mnie bezradnie. Mrugnąłem do niej okiem i powiedziałem głośno:

- Zostaw nas samych, Beata. Mam coś do powiedzenia Julicie na ucho. Julita spojrzała na mnie zaintrygowana, a kiedy Beata wyszła, zapytała:

- Cóż to za tajemnice?

- Po prostu boję się, że to, co powiem, nie bardzo by się spodobało Beacie.

To jest bardzo mądre, ale dosyć wymyślne...

- Wymyślne?!

- Tak. A Beata w postępowaniu uznaje tylko jedną drogę: prostą, na przelaj do celu! To znany „naprzelajowiec”.

-A ty?

- Ja uprawiam również inne konkurencje, bardziej skomplikowane technicznie. Posłuchaj, Julita. Ja cię doskonale rozumiem. Nawet nie wiesz, jak doskonale. I wiem, o co ci chodzi. Nie o formalne przeprosiny. Formalne przeprosiny nie załatwią niczego, póki nie będzie rozwiązana sprawa Bolenia. Czy nie mam racji?

Julita spojrzała na mnie nieufnie, acz nie bez ciekawości.

- Mów dalej - powiedziała.

- Tu nie chodzi o mniej lub bardziej szczerze przeprosiny, tu chodzi o to, żeby Boleń przestał was dzielić i żeby dla Uty przyjaźń z tobą znów była najważniejsza. Piątka z psychologii dla Żaby?

- Zarozumiały jesteś, Żaba. Powiedzmy, czwórka - uśmiechnęła się Julita.

- Dobrze i to. Walić dalej?

-Wal!

- Tamto była diagnoza. A teraz terapia, czyli sposób leczenia. Bardzo prosty. Sam się narzuca. Uta jest zaślepiona. Biedaczka ma łuskę na oczach. Otóż trzeba jej zdjąć z oczu tę łuskę, żeby zobaczyła, kim jest naprawdę Boleń, jak niski jest poziom Bolenia...

- Niski poziom?!

- Chyba sama wiesz dobrze, bo zaginałaś go nieraz. Ale Uta o tym zapomniała. Uważa go za Bóg wie co! I dlatego powtarzam, trzeba jej pokazać, jak nędzne są zasoby jego wiedzy, że to jest właściwie dno!

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - zapytała Julita.

- Chcę dać Boleniowi nauczkę - odparłem bez zająknięcia. - Mam powody, żeby utrzeć mu nosa. Julita w milczeniu porządkowała dalej apteczkę.

- 100 -

- A może jesteś po prostu zazdrosny o Utę? — zapytała po dłuższej chwili. Zaśmiałem się.

- Sądziś według siebie?

- Żartujesz chyba! — Julita spojrzała na mnie z oburzeniem.

- Oczywiście — rzekłem spieszenie i szybko zmieniłem temat. — Macie tu dużo ciekawych leków - zauważyłem, wskazując na lakier do paznokci tkwiący między rycynusem a cholagogą. - Na jakie to schorzenia? - wyjąłem różową buteleczkę i oglądałem pod światło.

Julita wyrwała mi specyfik i mruknęła gniewnie:

- To do pękniętych paznokci.

- Znakomicie! A to? - wyciągnąłem zza wody utlenionej luksusowy słoiczek kremu kosmetycznego

i wysylabizowałem: - „Max Factor. Night Cream. Creme de nuit”.

- To jak ktoś ma suchą cerę, szorstkie ręce... Krem odżywczy dla skóry - wyjaśniła Julita. - Nawilża, leczy...

- A czy można stosować na pryszcze?

- Oczywiście. - To spróbuję...

- Zostaw! — Julita przestraszona odebrała mi preparat.

- Naprawdę macie tu znakomity zestaw leków. Żałuję, że wcześniej nie korzystałem. Od jutra będę sobie leczyć cerę... Ale wracajmy do utarcia nosa Boleniowi. Ten zabieg jest najpilniejszy. Okazja nadarzyłaby się nielicha, gdybyś jednak zjawiała się na tych urodzinach Uty. Boleń tam będzie się starał błyszczeć oczywiście. Naprawdę okazja nielicha. Zagiąć go, pokazać, że to dno... Co ty na to?

- No, nie wiem - zawahała się Julita. - On się podciągnął trochę... nawet w językach.

- Bez przesady, moja droga — usadowiłem się wygodnie w fotelu i obserwowałem bacznie Julitę.

— Jeśli się Dariuszowi zdaje, że cokolwiek umie, tym gorzej dla niego, bo tym łatwiej go zagniesz... Ten specyfik, który mi odebrałaś, podsunął mi pewną myśl. Tam, przy słoiczku, jest ulotka w różnych językach informująca o sposobie użycia kremu. Daj Darkowi do odczytania tę ulotkę. Niech spróbuje nam przetłumaczyć z angielskiego albo... jeszcze lepiej z francuskiego. Zobaczysz, to go zgubi. Tam są wyrażenia specjalne! Nie da rady! To go zgubi... To obnaży jego nicość... Zrób to, daj mu jeszcze raz po nosie, zagnij, pokaż, że to dno...

Julita wciąż wahała się jeszcze, ale czułem, że już połknęła haczyk.

- Straszny z ciebie intrygant — zauważyła z uśmiechem.

- Tak, wiem — odparłem smutno i westchnąłem. — Niestety, nie potrafię wymyślić nic lepszego.

Skoro jednak uważasz, że propozycja jest do bani, to

-101-

nie przychodzi i zapomnij o tym, cośmy tu mówili. To ja już chyba pójde... - uśmiechnąłem się gorzko i wstałem.

— Zaraz... zaczekaj chwilę — powstrzymała mnie gwałtownie. — Twój pomysł wcale nie jest głupi. Przyjde. I nawet przeproszę Utę, jeśli tylko to będą wzajemne przeprosiny. Na pewno przyjde — rzekła z gorliwością i nawet mnie trochę tym zaskoczyła. Bo była to gorliwość zbyt wielka, jak na mój gust.

Zdaje się, że wszystko jest na dobrej drodze - pomyślałem z satysfakcją. Godzenie ludzi to dosyć trudna rzecz, ale też duża frajda, jak się uda. Teraz miałem już dziewięćdziesiąt procent pewności, że się uda. I próbowałem wyobrazić sobie, jak Dariusz Boleń kroczy główną ulicą naszego miasta, trzymając za rękę z jednej strony Utę, a z drugiej Itę, i jak idą sobie zgodnie wszyscy troje uśmiechnięci. A ja z Beatą obserwujemy ich z boku, dumni z naszego dzieła. W istocie piękny widok. Oby tylko był prawdziwy...

Muszę zrobić wszystko, żeby był prawdziwy! A więc do dzieła! Z Julitą już załatwione, teraz jeszcze podobna rozmowa z Boleniem, w tym samym stylu, według tej samej recepty. Bez zbytniego pośpiechu, bez umawiania się specjalnego, żeby wyszło naturalnie. Dziś jest drugi dzień alertu. Spotkamy się jeszcze raz po lekcjach. I wtedy będzie okazja.

Wszystko przebiegało według planu i bez zakłóceń. Tego dnia Boleń zjawił się punktualnie w harcówce. Zabraliśmy się solidnie do roboty. Zadanie polegało na tym, aby roznieść zamówione książki tym seniorom, którzy z takich czy innych powodów nie mogą opuszczać mieszkania i udać się osobiście do biblioteki. Jednocześnie załatwialiśmy dla nich inne najpilniejsze sprawunki. Były dwa wypadki, że musieliśmy wezwać pogotowie lekarskie, raz szukać pilnie hydraulika i raz wezwać pogotowie z gazowni. Dopiero o siódmej wieczór rozpuściłem zastęp do domu, cały zastęp z wyjątkiem Bolenia.

- Zostań chwilę- powiedziałem. - Jeszcze wczoraj chciałem z tobą porozmawiać. Wiesz, że narobiłeś sporo bigosu w zastępie Beaty...

- Ja?! — Boleń obruszył się i chciał dyskutować ze mną, ale go od razu uciszyłem.

- Nie denerwuj się, stary. Wszystko wiem i rozumiem. Nie mam zamiaru cię oskarżać. Nic ci specjalnie nie zarzucam... chociaż na przyszłość radzę ci mówić wprost i bez fałszywego wstydu:

„umówiłem się z taką a taką, no i może się spóźnię”, albo: „chodzę teraz z taką, z taką czy ową i dlatego jestem półprzytomny i mam gorycz w gębie...”. W porządku, stary, nie będę miał do ciebie pretensji, choćbyś się nawet umówił z Paplą Skarżypycką czy z Polleną Mizdrzycką, a nawet Podlizolą Prztycką. To nam znacznie ułatwi życie i stosunki międzyludzkie w zastępie. Ale to tylko tak, mimochodem, bo w tej chwili nie o to chodzi. W tej chwili o to chodzi, że z twej przyczyny dziewczyny

biorą się za łby i trzeba je jakoś pogodzić. Urodziny Uty to dobra okazja. Udało się zaprosić na nie także obrażoną Julitę...

- Co takiego?! Obiecała przyjść?! - Boleń wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Właśnie. Duży sukces, stary — ciągnąłem dalej. — Ale to dopiero pierwszy krok. Chodzi o to, żeby się pogodziły naprawdę, w głębi serca. Taka zapadła uchwała. Ratować ich przyjaźń...

Przyjaźń Uty i Julity, jak sam zapewne wiesz, to była duża sprawa, modelowa rzecz... Byłoby bardzo źle i smutno, gdyby to się tak rozleciało. Więc postanowiliśmy ratować. I ty nam w tym pomożesz! Przyjdiesz na te urodziny i będziesz grzeczny dla Ity.

-Co?!

- Wiem, że miałeś dawniej z nią na pieńku...

- Na dużym pniu dębowym - zasapał.

- Zgoda. Na dużym pniu dębowym. I wiem, że nie masz ochoty jej widzieć na żadnych imieninach, urodzinach, bankietach i prywatkach, które zaszczycasz swoją obecnością, a także na obozach... Nie chcę wchodzić w drażliwe szczegóły...

Boleń zaczerwienił się po uszy.

- Ja ci wytłumaczę...

- Nie potrzebujesz, stary. Wszystko wiem. Julita to przemądrzała, rozwydrzona, złośliwa sroka i masz po stokroć rację, że chcesz być od niej z daleka... A jednak powinieneś pójść na te imieniny. To leży w twoim interesie. Koniecznie powinieneś...

-Ja?!

- Tak, żeby odgiąć się, stary, żebyś nie musiał kryć się ze swoją przyjaźnią, czy jak tam nazwać to, co czujesz do Uty, i żebyś się pozbył wreszcie tego garba, co go nosisz...

Boleń pokraśniał jeszcze bardziej.

- Garba? Jakiego garba?! - wymamrotał.

-Nie zgrywaj się. Nosisz garba już dwa lata. Nie możesz zapomnieć tego, co zrobiła ci Julita wtedy na obozie...

- Przestań! — zachrypiał Boleń.

- Nie. Musimy załatwić to raz na zawsze i do końca. Staniesz oko w oko z Julitą i... tym razem ty będziesz górą! Ja ci załatwię sukces! Odegniesz się, wyprostujesz... Julita już potem nigdy nie odważy się... ani Julita, ani nikt... tylko musisz pójść na te urodziny i błysnąć...

- Jak?!

- Podobno mówisz po francusku. Boleń skrzywił się.

- Za dużo powiedziane, dopiero drugi rok się uczę.

- Ale umiesz czytać i poprawnie wymawiać.

-102-

-103

-Chybatak. tak średnio. przet)owiadamci duży sukcesowarzy-

- Wystarczy. Resztę ja ci załatwię. PrzeP<™' • Wystarczy, jak na-ski. Taki, jakiego potrzebujesz. ^^^^--^^ uczysz się płynnie czytać i ^^g^ 2 fotografiąładnej dziew-łem z kieszeni ulotkę reklamującą krem Maxaraciu s czyny.

- Co to jest? - zdębiał Bolea mi ju^yj dokład-

- Wyjąłem mamie z jej pudełka ^^^^ skór suchych, bar-nie. Tu jest napisane: „Krem nocny lekki, nawnz j<ł y, zaDeWniaią skórze dzo suchych i normalnych. f^^^J^S^^ wŁorem odpowiednią wilgotność i elastyczność. SposoD u. , po oczyszczeniu skóry, wcierając delikatnie w tw^ szyję

- Ja mam to czytać? To przecież śmieszne! - Jąknął Bolen.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Ale tak ni stąd ni zowąd?! B- Pow°du?_ ^ ^ % ^

- Tego me powiedziałem. Fowodbctae. W ^ .^^ z ^ wyciągnie krem i poprosi cię, bys przeczytał i pi^ •>

ki Będzie to taka sama ulotka od takiego samego Kremu...

- Nie rozumiem... Wvstarczy jak mi zaufasz i zrobisz to, co

- Nie wszystko musisz rozumieć Wystarczy j , zostaniesz ci mówię. Weź tę ulotkę i tłumaczenie i wystąp & urodzinach, gay

poproszony. Res*a jest już przygotowana sprawiło pewną satys-

Darek popatrzył na mnie z dużym podziwem, =>p

fakcję.

- Dziękuję ci - bąknął. - Jeśli to się uda...

- To się na pewno uda.

-Nigdy ci tego nie zapomnę... będziesz na i ei urodzinach -

- Dobra. A teraz biegnij do Uty i P^^S^^Są Pardubicką, poklepałem Bolenia jak konia, który startuje do wyścigu o wie ą

i wypchnąłem gO delikatnie za drzewu czekałem w nie.

Z dużą ciekawością i, co tu ukrywać, z pewnej v ouiecała że zadzwoni dzielę na wyniki naszej wielkiej ^^J^^*,. Takoz i za-do mnie natychmiast po powrocie z prywatki J >

dzwoniła koło jedenastej wieczorem. W słuchawce słychać Dyło zg

głosów i muzykę taneczną. . Reatv

Dopiero na tle tego hałasu i szumu usłysz*L ^WB<<^

- Niestety, nie udało mi się jeszcze wyrwać Dzwonię od Uty.

- Właśnie słyszę. , . Au.+ń nr7V telefonie, pewnie

- Pomyślałam, że nie ma sensu trzymać cK dłużej przy teieion , P

chcesz kimać.

- Fakt.

-104-

- No więc posłuchaj... Szczegółów nie mog<? podać, bo stojąpry mnie, ale mamy sukces. Duży sukces. Wszystko poszło na medal.

- Pogodziły się? -Tak.

- A Boleń?

- Wypadł znakomicie.

- Numer z francuskim wyszedł?

- Zupełnie naturalnie.

- Zrobił wrażenie na Julicie?

- Bardzo mocne.

- Więc lody przełamane.

- Tańczyli nawet razem.

- Więc wziął największą przeszkodę.

- W wielkim stylu.

- Jednym słowem wszystko się udało - zamruczałem zadowolony.

- Za bardzo się udało. Boję się...

- Co powiedziałas?

- Powiedziałam: boję się, że się za bardzo udało. Umilkłem zaskoczony.

- Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? - Beata ściszyła głos.

- Chyba tak. Ale może ci się tylko zdaje.

- Może. Porozmawiaj jutro z Boleniem i Sam oceń. Pożegnaliśmy się i wolno odłożyłem słuchawkę-

Nazajutrz nie potrzebowałem szukać Bolenia- Sam do mnie doskoczył jeszcze przed lekcjami, ledwie zjawiłem się w szkole. Prezentował się doskonale. Nawet twarz mu się sympatycznie

zaokrągliła, znikła gdzieś dawna kanciana-stość jego rysów. Może dlatego, że się uśmiechał szeroko.

- Jesteś fantastyczny chłop, Żaba. Cholernie jestem ci wdzięczny, że mi to załatwiłeś — zaczął z miejsca.

- No, no, nie tylko ja. Beata i Uta też - przerwałem mu.

- Wszystkim wam jestem wdzięczny. Ale ten twój pomysł z tłumaczeniem / franca był najlepszy. Niby mała rzecz, a od razu mnie jakoś ustawił...

- Wyprostowałeś się?

- Tak, to był ten garb, miałaś rację. Nav^{et} nie zawsze zdawałem sobie sprawę, co mi dokucza... A to był ten garb!

- Co z Julitą Wynos? - zapytałem. Boleń ożywił się.

- Julita się całkiem zmieniła.

- Nie próbowała żadnego z tych swoich numerów?

- No, tylko z tym Maxem Factoretn... Al[^] jak ty to przewidziałeś? - za-riekawił się nagle.

-105-

1

lingwistyczną?

- Kto niby?

- No przecież wciąż mówimy o Juhcie.

Boleń ożywił się powtórnie. zrezygnowała

- Oszło mi ją zupełnie. Do tego stopnia, że od razu zrezygnowała z dalszych numerów.

w suf,, z „cechem Uogosc, „a ustach.

^a

Przygadałem mu się uważnie, ale nie zwracał wcale na to uwag.

^S tonem zamrugał oczami.

- Nic się me stało - odburknąłem.- Po TMTMi&lhy§ żebyim coś

I Naprawdę, Żaba, nigdy ci tego [^][^]zukLc przyczyny mojego nie-zrobił?-patrzył na mnie z niepokojem, jakby szukając przyczyny

zadowolenia. - Czy mógłbym coś zrobić dla ciebie/

rzy

ć tę doroc

ISbS

rodzicielski przy pomocy wydelegowanych h[^]

Zresztą! cały program artystyczny opera się [^]f j stanowią one w naszej szkole najbardziej ruchliwy i zdolny do łania element.

, jako że a-

-106-

Drużynowy proponował nam zrazu udział w produkcjach wokalnych, mimo że starałem się mu wybić to szybko z głowy. Uparł się jednak i dopiero po paru niefortunnych próbach uznał, że słusznie zrezygnowałem z ambicji w tym zakresie. Co nie znaczy oczywiście wcale, że moi ludzie nie lubią śpiewać. Owszem, nawet w duszy im śpiewa, ale to, co wychodzi z gardeł — poraża najbardziej dębowe uszy w naszej szkole, nie mówiąc o znacznie czulszych uszach pani Okulczyckiej. To właśnie tej wrażliwej osobie zawdzięczamy, że przydzielono nas do „czarnej pracy" na zabawie, czyli do służby gastronomicznej. Protesty na nic się zdały, dostaliśmy się we władzę pani Szemiot-Ryfowskiej, zwanej w skrócie Szeryfką. Dotknięta wiecznymi żałami, że na szkolnych zabawach pić się chce, tym razem zdobyła się na imponujący wysiłek organizacyjny i zmobilizowała dla szkolnego bufetu całą baterię czajników o zdumiewającej pojemności i wyglądzie zdecydowanie retro, prawdopodobnie z epoki cara Wszechrosji, Mikołaja. My właśnie przydzieleni zostaliśmy do obsługi tej historycznej baterii oraz do preparowania kanapek z przygotowanych przez mamy półproduktów.

Tegoroczny bal od razu miał przebieg nietypowy i przesądni przepowiadali nieszczęście. Ledwie

zaczęły się pierwsze tańce, wysiadło światło, a w ciemności rozjaśnionej tylko złowróżbną luną czerwonych chmur wieczornych donośny i nieco chrapliwy głos wygłosił „przemówienie do ludu szkolnego”. Zaczynało się ono mniej więcej tak: „Ludu szkolny, jesteś złośliwy, brudny, ciemny i prześladujesz panią Okulczycką... Nieprawością zasłynęło imię twoje i wąż kryje się w piersi twojej...”

Początkowo wszyscy myśleli, że jest to jakaś nowa atrakcja zabawy, dopiero po chwili zorientowali się, że niczego podobnego nie ma w programie i że ktoś zrobił organizatorom kawał.

Najbardziej oburzona była pani Okulczycką, bo o niej było najczęściej w przemówieniu, i usłyszeliśmy w ciemności jej gniewny krzyk: „Natychmiast przerwać! Wyłączyć taśmę! Kto to nagrał? Czyj to głos?!”.

Inni znowu krzyczeli, żeby włączyć światło. Narobiło się sporo zamieszania, a my przez te ciemności wywróciliśmy trzy miski z półproduktami i wszystko się pomieszało, twarożki, kiszka, szprotki i rzodkiewka... Na szczęście Złośliwy Miecio wpadł na pomysł, żeby wszystko ugnieść jeszcze bardziej i zrobić z tego, jak powiedział: „nieczytelną zintegrowaną masę”, a potem smarować jak leci...

Tak też zrobiliśmy, nie pytając o zdanie Szeryfki. Szedłem właśnie z pierwszą tacą zunifikowanych kanapek, żeby poczęstować pana dyrektora i co zna-komitszych gości, gdy nagle podeszła do mnie zdenerwowana Uta:

- Nie widziałeś gdzieś Julity?

- Nie, a co się stało? - zapytałem.

-107-

— Szukam jej już od dziesięciu minut. Zniknęła, jak to światło zgasło. Do-vnie przepadła jak kamień w wodę...

— Może Beata ją wezwała do pomocy. Ma jakieś kłopoty z dekoracjami, lobno klej był do kitu... Najlepiej poszukaj Beaty.

Poczęstowałem kanapkami pana dyrektora i znakomitszych gości, przez wile przyglądałem się, czy będą bez wstrętu jedli. No i odetchnąłem z ulgą. iczas konsumpcji zapanowało co prawda dość ponure milczenie i niektórzy ości mieli wyraz męki w oczach, ale nikt nie powiedział ani słowa i wszyscy :ełknęli gładko. Bardzo dobrze wychowani ludzie.

Wróciłem do naszego stołu operacyjnego po nową porcję i z przykrością sierzdzilem brak Bolenia. Zamiast niego pętał się w moim zastępie jakiś mikrus białym fartuchu przepasanym na biodrach i w wielkiej kucharskiej czapce.

- Boleń mnie tu wstawił, żebym zdobył sprawność kucharza - odparł malec, poświęceniem i mozolnie smarując „zintegrowaną masę” kolejną kanapkę.

- Gdzie on jest? - warknąłem.

- Poszedł. Powiedział, że musi zdobyć inną sprawność. Ja też chciałem lobywać tę sprawność, ale on powiedział, że to jest sprawność tylko dla starych chłopców.

- Łobuz — mruknąłem.

-Co?

- Nic. Smaruj dalej - powiedziałem i zacząłem rozglądać się wśród par mecznych, ale Bolenia tam nie było. Postanowiłem poszukać go na korytarzu, le tu zamiast niego natknąłem się na zdenerwowaną Beatę.

- Już wiesz? - dopadła mnie zadyszana.

- Nie bardzo.

- Coś dziwnego dzieje się z Utą! Chodź - pociągnęła mnie za sobą.

Uta siedziała w poczekalni. Tak nazywaliśmy zaułek korytarza obok kancelarii i gabinetu dyrektora. Beata zatrzymała mnie i chwyciła nerwowo za rękę:

- Spójrz na nią!

Popatrzyłem. Uta trzymała w ręku jakiś wisior z koralików, chyba glinianych, bo o dosyć dziwacznych kształtach. Coś podśpiewywała pod nosem, huśtając się na krześle.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytałem Beatę zdezorientowany.

- Zobacz, co trzyma w ręce!
- Jakież korale.
- To amulet... to ich amulet, Uty i Ity. Miały dwa takie jednakowe. Jedna zrobiła dla drugiej...
Mówiły: „W tym jest zaklęta nasza przyjaźń”. Nie rozstawały się z nim nigdy... Spójrz, co ona robi!

-108-
Wytrzeszczyłem oczy. Uta zrywała po kolei gliniane paciorki z amuletu i wrzucała je po jednym do wielkiej ozdobnej popielniczki w kształcie pelikana z rozwartym szerokim dziobem.

Beata dopadła do niej.

-Uta, co robisz?!

- Karmię pelikana - odparła spokojnie Uta.

- Nie wygłupiaj się! Chodź się bawić!

- Bawię się doskonale — wycodziła, nie podnosząc głowy.

Może źle zrobiłem, ale nie mogłem się powstrzymać i wyrwało mi się głupio:

- A Boleń?

- Nie widziałam go.

Wymieniliśmy spojrzenia z Beatą. Chyba pomyśleliśmy o tym samym.

- Jest zajęty przy kanapkach — powiedziałem.

- Tak myślisz? — zapytała Uta ironicznie.

- Zwalili nam cały kombinat gastronomiczny na głowę — brnąłem dalej, nie wiadomo po co. —

Najgorsze, że surowce nam się pomieszały — próbowałem żartować. - Boleń na szczęście wymyślił specjalną masę do obkładania kanapek i nazwał ją „zintegrowaną masą gastronomiczną”. Naprawdę był bardzo zajęty.

- Uważaj, żeby się nie przepracował — powiedziała z gorzkim sarkazmem Uta.

- Nie siedź tu sama - zamruczałem zakłopotany. - Wszystko na pewno się wyjaśni...

- Dla mnie już się wyjaśniło.

- Nie sądz zbyt pochopnie. To może tylko przykry zbieg okoliczności — rzekła Beata i wzięła Utę za rękę. - Chodź z nami.

- Zostaw mnie - Uta otarła oczy.

- Proszę cię, Uta! - Beata chciała ją pocałować, ale Uta wyrwała się gwałtownie i popędziła schodami na górę.

Ruszyliśmy za nią. Uta ulokowała się w sali balkonowej, gdzie był zainstalowany głośnik i kręciło się kilka par. -Uta!

- Powiedziała, zostawcie mnie. Tu jest całkiem przyjemnie.

Istotnie, w sali balkonowej nie było tak duszno jak na dole. Drzwi na balkon i duże weneckie okna były otwarte i skrzypiały lekko na zawiasach. Wiatr wydymał firanki jak żagle. Uta zapatrzyła się w gasnącą lunę zachodu za oknem.

- Będzie zmiana pogody - powiedziała Beata. - Może nawet burza...

- Gdzie wy jesteście? - usłyszeliśmy znajome głosy za sobą. - Wszędzie was szukamy.

-109-

Do sali balkonowej weszły Mariola i Alicja. Ledwie je poznałem w nowych fryzurach i balowych sukniach.

- Co się stało? - zapytałem.

Podniecona Mariola położyła palec na ustach:

- Ciiiicho. Znalazłyśmy Julitę - wyszeptwała.

- I Bolenia - wysapała Alicja.

- Są razem.

- W ogrodzie.

- Spacerują!

- Przedtem byli w sali balowej...

- Tańczyli.

- Nie widziałam ich - zdziwiła się Beata.

- Tańczyli za dekoracjami, tam gdzie mają być występy...
- Po drugiej stronie sali... ..
- Całowali się - oblizwała wargi podekscytowana Alicja. - A jak przyszli tamci z zespołu dramatycznego, to wynieśli się do ogrodu.
- Są tam jeszcze!
Beata przygryzła wargi. W jej szarych oczach zapaliły się dziwne błyski.
- Idziemy do nich!
- Daj spokój - powiedziałem.
- Już ja z nimi pogadam.
- Lepiej nie mieszaj się...
- Już wiem, co powiesz - wybuchła Beata. - To są prywatne sprawy... O toz nie, to nasza wspólna zabawa... a to, co robi Julita... nie, to jest nie tylko meko-leżeńskie to jest po prostu świństwo! Zabierać tak bezczelnie Bolenia... i to komu! Tej biednej Ucie... najlepszej przyjaciółce... Nie wiem, jak to nazwać... Wiedziała, że Julita nie jest aniołem, ale żeby była tak... tak...
- Zdradziecka - odpowiedziała Mariola.
- Właśnie. Zdradziecka! - zasapała Beata. - Chodźmy, dziewczynki! -
i wybiegła z sali.
- Beata, zastanów się! - pobiegłem za nią.
Zastaliśmy ich przed ogrodem. Właśnie wracali do sali. W półmroku ich sylwetki jaśniały rudo od ostatnich poblasków wieczornych łun, zawieszonych na chmurach o fantastycznie poszarpanych kształtach, jak nieznane archipe a-gi na nowo odkrytej planecie. A bliżej, znad ogrodowych drzew po lewej stronie, już nadciągały ciężkie, ołowiane burzowe cumulusy^Poczułem pierwszą kroplę na rozpalonym policzku. Wiatr wzmagął się coraz bardziej. W budynku Solnym rałpo raz rozległ się głuchy trzask, to służba porządkowa pospiesznie zamykała okna.
-110-
- Julita - rzekła Beata, starając się panować nad sobą. - Szukamy cię.
- Szukacie? A co się stało?
- Nie afiszuj się tak z Dariuszem! — wybuchła Beata.
- Afiszuj? Co to za słowo? - zaszydziła niezmiészana Julita. - Nie rozumiemy, prawda, Darek? - odwróciła się do Bolenia.
Boleń, czerwony na twarzy, skinął głową.
- Jeśli chodzi o nas, to słowo jest co najmniej... niestosowne - dodała z zimnym uśmiechem Julita. Widać było, że nasze najście bynajmniej jej nie zaskoczyło i przygotowała się z góry do tej rozmowy.
- Julita, idź zaraz do Uty - rzekła ostro Beata. - Ona jest sama. Dariusz nie zatańczył z nią ani razu...
- Tylko raz, na początku - sprostowała Mariola.
- Tylko raz, na początku - powtórzyła Beata. - A z tobą już kilka razy. To jest wspólna zabawa. Nie możesz zagarniać Dariusza tylko dla siebie.
- Chodzi ci o średnią statystyczną? - zakpiła Julita. - Każdej po półtora tańca z Boleniem... po równo.
- Ja wszystko wytłumaczę - wtrącił zaczerwieniony Boleń.
- Poczekaj — uciszyła go Julita. — Ja z nimi porozmawiam. Cóż to za honor nas spotyka... Patrz, Darek. Przyszli tu całą procesją i nawet Żaba jest z nimi. W jakim charakterze przychodzicie? Jako sędziowie? Prokuratorzy?
- Przestań, Ita - rzekła drżącym głosem Beata. - Rozumiesz dobrze, o co chodzi. Jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi, druhami, i nie chcę, żeby ktoś z nas źle się bawił.
- Chodzi ci o Utę?
- Julito, ona płacze. Idź do niej i wytłumacz...
- Ja pójdę - zaofiarował się bohatersko Boleń.
- Nigdzie nie pójdziesz - zgasła go Julita. - To tylko pogorszy sprawę. Chodzi ci o litość, czy o miłość?
Boleń zmieszał się.

- Może jednak powinienem...
- Nie. Ona nie potrzebuje twojej litości. A co ty jej możesz więcej dać?
- Wy tłumaczę jej, że byłem zajęty. Żaba kazał mi robić te okropne kanapki.
- Chcesz kłamać? Wiadomo, że nie zrobiłeś ani jednej. Stale się urywałeś - powiedziała Ita. — Nie, Darek. To trzeba przerwać od razu. Krótko i szczerze. Tak będzie lepiej.
- Julita — Beata patrzyła na nią przerażona. — Co ty wygadujesz, czy dobrze zrozumiałam? Ty i Boleń...
- Zrozumiałaś doskonale - odparła spokojnie Julita. - Przykro mi... przepraszam cię, ale... może sama tego jeszcze nigdy nie czułaś i nie potrafisz ocenić... ale to jest miłość.

111-

Wymieniłem z Beatą spojrzenia. Więc jednak stało się to, czego tak się baliśmy... I co gorsza, sami przyłożyliśmy do tego rękę.

- A jednak można to było chyba załatwić inaczej - rzekła Beata. - Posłuchaj... jeszcze nawet teraz można coś zrobić... i trzeba.

- Nie można i nie trzeba — odburknęła Julita. — Zostaw nas. Błagam cię. Tak będzie najlepiej!

- Masz jednak obowiązki względem Uty.

- Nic na to nie poradzę - Julita podniosła wyzywająco głowę do góry i spojrzała Beacie śmiało w oczy. - Tak się stało i już...

- Przyjaźń nakłada jednak pewne powinności...

- Powiedziałam, że nic na to nie poradzę! - wykrzyknęła Julita z nutą szczerzej rozpaczki w głosie. - Czy myślisz, że ja tego nie czuję, że jestem zupełnie szczęśliwa, że to mnie nie gryzie? Ale przecież dla przyjaźni nie podzielę się z Utą Dariuszem! Miłość ma swoje prawa...

- Zostaw ją - powiedziałem do Beaty. - Czy nie widzisz, że upaja się swoją nową rolą... jak recytuje... jak przed nami gra? Nie sądzę, aby to była twoja najlepsza rola - obróciłem się do Julity.

- To ty grasz, Żaba. Nie wiesz, jak wyładować na mnie swoją złość i dlatego tak mówisz, ale nie jesteś szczerzy — powiedziała Julita. — Chodźcie tu wszyscy! — zawołała nagle. — Żabie zachciało się być krytykiem teatralnym! Obejrzyjcie Żabę w nowej roli!

- Uspokój się! - krzyknęła Beata. Ale Julita odgrywała się dalej:

- Zostaw lepiej te recenzje... Żaba. Nigdy dotąd tego nie robiłeś i chyba zupełnie słusznie. Nie masz talentu w tej dziedzinie, Żaba... — urwała nagle, bo gdzieś wysoko rozległ się przeraźliwy okrzyk: „Złaż, Uta!” i trzaskanie okien.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że nad nami, w oknie na pierwszym piętrze, siedzi Uta. Nie płakała już. Opanował ją niebezpieczny, nienormalny nastrój pozornej beztroski. Siedziała na krawędzi parapetu, już niemal na okapie, wymachując nogami w powietrzu... tuż nad naszymi głowami... i upuszczała resztę glinianych koralików z „amuletu”. Musiała słyszeć całą naszą rozmowę, patrzyła na nas z góry, i zdawało mi się, że dziwnie się uśmiecha. Nie zwracała uwagi na to, że wiatr rozszalał się na dobre i szarpie połówkami okna...

Ten okropny moment wszyscy widzieliśmy dokładnie. Ktoś chciał zdjąć Utę z okna, ale spóźnił się o sekundę. Widzieliśmy, jak Uta traci równowagę i spada... W tym samym momencie poleciała z brzękiem szyba. Prawdopodobnie wiatr trzasnął oknem, okno uderzyło Utę i zepchnęło ją z parapetu.

To było tydzień temu. Rok szkolny już się skończył. Uty nie było z nami na pożegnalnym apelu.

Odwiedzamy ją codziennie w szpitalu na ulicy Aleksandra.

Dwa razy byłem tam z Beatą. Mówią, że Uta miała szczęście. Spadając, zaplątała się w dzikie wino rosnące na ścianie szkoły i dlatego nie rozbiła czaszki

o betonowy chodnik na dole. Myśleliśmy, że skończy się na podrapaniach

i potłuczeniach, ale okazało się potem, że ma jakiś uraz głowy. Lekarze zatrzymali ją na obserwację.

Wczoraj spotkaliśmy pod szpitalem Julitę i Dariusza Bolenia. Wciąż chodzą ze sobą, jakby wypadek Uty nic nie znaczył dla nich. A jednak przyszli. Ale nie odważyli się wejść, tylko dali nam kwiaty i powiedzieli, żebyśmy przekazali je Ucie, nie mówiąc, od kogo są.

Cała nasza klasa, ba, cała chyba szkoła podzieliła się na dwie części. Jedni są przeciwko Julicie i

Boleniowi, i nazywają to, co oni zrobili, zdradą. I nie mają dla nich żadnego usprawiedliwienia. Uważają ich za właściwych sprawców tego okropnego wypadku. Drudzy, jest ich o wiele mniej, bronią Julitę i Bolenia. Uważają, że mieli prawo postąpić tak, jak postąpili, skoro zakochali się w sobie. No bo co by pomogło, gdyby ukrywali swoje uczucia przed Utą. Zrobiłaby się tylko fałszywa, zakłamana atmosfera. Musieliby kłamać. A co sama Uta miałaby z ich poświęcenia? Przecież i tak nie odzyskałaby Bolenia. W rezultacie zamiast jednej nieszczęśliwej Uty byłoby aż troje nieszczęśliwych ludzi.

Naprawdę sam nie wiem, kto ma rację, zastanawiam się nad tym razem z Beatą. Koniecznie musimy rozstrzygnąć ten problem. Inaczej strach po prostu żyć. Musimy jasno widzieć, co jest dobre, a co złe. Czy nam się uda? My zresztą, ja i Beata, mamy dodatkowy szkopuł do rozwiązania. Zwłaszcza Beatę bardzo trapi pytanie, czy mogliśmy coś zrobić w tej całej sprawie, zapobiec dramatycznemu rozwojowi wypadków, czy też to było nieuniknione? Czy był to po prostu wypadek, taki jak poślizg, jak wypadek samochodowy. Biedna Beata ma wyrzuty sumienia, że to wszystko przez nią, a raczej przez nas, bo i mnie czyni odpowiedzialnym. Według niej mieliśmy po prostu głupie pomysły i niezręcznie zabraliśmy się do tego godzenia... Przedobrzyliśmy -jak to można krótko określić.

Uspokajam ją, że niepotrzebnie się truje. Nasza rola w tej aferze to najwyżej rola katalizatorów. Wszystko świadczyło, nawet ta rywalizacja, to dokuczanie sobie, że Julita i Boleń nigdy nie byli sobie obojętni i wcześniej czy później musiałyby się stać to, co się stało.

Beata nie zgadza się ze mną i uważa takie rozumowanie za zgubny fatalizm. Ona sama wierzy w skuteczność dobrego działania. Ja zresztą też. Tylko skąd wiedzieć, co jest akurat dobre w danej sytuacji? Przecież upłynął już tydzień, a ja nawet nie rozstrzygnąłem jeszcze, kto z tych sędziów oceniających wypadek Uty ma rację. Czy może wszyscy mają? To byłoby najgorsze. Bo jeśli wszyscy, to praktycznie - nikt.

-112

-113-

gpisak słabych

↳.iedy Świątko, zwanego Stawonogiem albo Uszatkiem, z powodu nadzwyczajnej chudości kończyn i odstających uszu, pasowano na porucznika Piratów, Michał, który wtedy piastował godność admirała i był mistrzem ceremonii, uderzywszy małego piątoklasistę mieczem po ramieniu i uściskawszy mu rękę dłużej niż pozostałym kandydatom, powiedział:

- No, teraz nareszcie porachuj się z tobą!

Po czym obaj ze Świątkiem roześmieli się szeroko.

To zachowanie się admirała wywołało zdziwienie wśród niewtajemniczonych członków Związku. Nowo przyjęty Pirat Beksini, zwany Beksą, trącił łokciem swojego serdecznego przyjaciela, Majtę i zapytał:

- Ty, słuchaj, o jakich porachunkach oni mówią i z czego się śmieją?

- Nie wiesz? - odparł rozbawiony Majta. - Chodzi o kawał, który Świątek zrobił Michałowi, kiedy jeszcze był w czwartej klasie.

- On? Kawał Michałowi?

- Tak. Właśnie od tego czasu nazywają Michała „Pięścią słabych”. Wiesz dlaczego go tak nazywają?

-No... dlatego, że stoi za słabszymi, że ich broni i w ogóle morowy chłop.

- Myślisz, że zawsze tak było? To dopiero Świątek wrobił go w te szlachetne funkcje. Od tego czasu cała młodsza ferajna zaczęła trzymać z Michałem, a Michał z nią.

- Bujasz! Jakim sposobem?

- Zaraz ci wszystko opowiem. To było tak. Kiedy Świątek zaczął chodzić do naszej szkoły, była zima. I to jaka zima! Chyba ze trzydzieści stopni mrozu. Nie można było wychodzić na boisko, całe bractwo ze wszystkich klas tłoczyło się na korytarzach. Opanował wtedy szkołę szal ping-ponga.

Pamiętasz chy-

-114-

ba. Wszystkie stoły w świetlicy były obleżone. Mimo że każda starsza klasa miała swój własny stół do gry, to nam, czwartoklasistom, pozostawało tylko łakome przyglądanie się, jak starsi grają. Bo chłopaki z klas siódmych i szóstych nie dopuszczali nas w ogóle do gry i bezceremonialnie zabierali nasze stoły.

Wreszcie Świątek wpadł na myśl. „Przyjdziemy wcześniej rano przed lekcjami - powiedział - i nagramy się za wszystkie czasy”.

Tak też zrobiliśmy. Gra była bardzo ciekawa i pochłonęła nas całkowicie, bo Świątek był doskonałym graczem i ja też nieostatnim. Nie zauważyliśmy nawet, kiedy cała świetlica napelniła się chłopakami i reszta wolnych stołów została zajęta. A my nic, gramy dalej. Dopiero Susuł trącił mnie w ramię i szepnął:

- Uważaj, Reksza i Długi przyszli.

Spojrzałem i od razu zdrętwiałem. Do sali wkroczyli, rozpychając się, niedbałym, nieco przyciężkim krokiem, tak jak kowboje z filmu wchodzą do spelunki na Dzikim Zachodzie, Jurek Reksza i Długi Tomek.

- Co ci się stało? - zapytał mnie Świątek. Pokazałem mu Rekszę i Długiego.

- Kończmy grę - powiedziałem - oni idą do nas. I tak zaraz zabiorą nam stół.

- Przecież to nasz stół - nastroszył się Świątek.

- To dla nich nic nie znaczy - uśmiechnąłem się z goryczą - odbiorą i koniec.

- Jakim prawem?

- Są silniejsi.

- Nie bądź tchórzem, Majta - powiedział Świątek - udaj, że ich nie widzisz. Grajmy dalej. Twój serw!

Zaserwowałem, ale byłem tak zdenerwowany, że serw nie udał mi się zupełnie. Piłeczka odbiła się o kant stołu i co gorsza, uderzyła w ucho Rekszę.

Reksza złapał się za ucho, wyrwał mi z wściekłością raketkę, w pierwszej chwili chciał mnie nią trzasnąć, ale potem opanował się i tylko przejechał mnie nią po głowie. Było to bardzo bolesne, bo szorstka guma raketki pociągnęła mnie za włosy. Wszystkie świece stanęły mi w oczach.

- Dostyc tej gry, mały! - krzyknął Tomek. - Idź lepiej, zobacz, czy cię nie ma w klasie.

- Nigdzie nie chodź! - powstrzymał mnie Świątek. - Oni nie mają żadnego prawa nas przepędzać.

Teraz ja serwuję - to mówiąc, wyciągnął z kieszeni nową piłkę i uderzył.

Odbiłem, ale Reksza złapał piłkę w powietrzu i chwycił mnie za kołnierz:

- Majta, co ja powiedziałem? Czy mam ci przetkać ucho? Co masz zrobić?

-115-

•

- Mam zobaczyć, czy mnie nie ma w klasie - wykrztusiłem przerażony.

- Więc na co czekasz? Haniebnie dałem nogę.

- Czekaj! — Reksza zatrzymał mnie na progu. Stanąłem posłusznie.

- Co to za stawonóg? - zapytał, pokazując na Świątkę.

- To nasz nowy kolega.

- Jak się wabi?

- Świątek.

- Co to za dziwne imię?

- To, zdaje się, od Światopełka.

Imię wydało im się bardzo śmieszne i zachichotali obrzydliwie, a potem Reksza powiedział:

- Wytłumacz no, Majta, temu Światopełkowi, że się za bardzo stawia i że to jest niezdrowe.

Świątek, który słuchał tego wszystkiego, dysząc z oburzenia, wybuchnął:

- Ja nie potrzebuję żadnego tłumaczenia! To jest nasz stół i wcale nie myślę wam ustępować!

- To się okaże — powiedział szyderczo Reksza i nic sobie nie robiąc z rozpaczliwego oporu Świątkę, chwycił go w pól i odstawił na bok. Potem otarł sobie ręce o spodnie i zajął miejsce za naszym stołem.

- Do roboty, Tomek - powiedział - zdążymy uciąć seta przed dzwonkiem. I zabrali się do gry jak gdyby nigdy nic. Sprawę uważali za załatwioną. Ja też sprawę uważałem za załatwioną, ale Świątek był innego zdania. Nim się spostrzegłem, dał nura pod stół.

Właśnie Tomek odbił piłkę, a Reksza gotował się do wspaniałej ścinki, gdy nagle, zamiast ściąć, wybuchnął straszliwym śmiechem. Tak nam się przynajmniej zdawało, bo to nie był właściwie śmiech, ale płaczliwy okrzyk bólu. Wypuścił z rąk raketkę, złapał się oburącz za nogę i podskakiwał, krzycząc:

- Łapcie go! Stawonóg wstrętny! Ugryzł mnie w łydkę! Trzymaj go, Tomek!

Tomek oniemiały zajął pod stół, ale Świątek prysnął już za drzwi. Ja za nim. Za nami biegli rozłoszczeni pingpongiści. To była szalona gonitwa. Mało co z tego pamiętam, ale opowiadano mi potem, że działy się straszne rzeczy. Biegliśmy, roztrzając wszystkich po drodze. Na schodach spadliśmy na pana Kwaskowskiego. Pan Kwaskowski chciał nas zatrzymać, wyciągnął rękę, ale zdołał pochwycić tylko raketkę Długiego Tomka i ta raketka została mu w ręce. Oszołomiony nauczyciel odruchowo wykonał kilka ruchów, jak przy grze. Właśnie nadszedł pan kierownik. Spojrzał zdumiony na pana Kwaskowskiego, poruszającego raketką.

-116-

- Pan gra w ping-ponga? - powiedział wreszcie. - To świetnie. Muszę z panem kiedyś zagrać, panie kolego.

Na drugim piętrze potrąciliśmy naszego geografa, pana Bartona, który szedł z wielkim globusem w ręce. Globus spadł z osi. W ręku osłupiałego Bartona została tylko podstawka. Tymczasem kula ziemską zaczęła staczać się w dzikim pędzie po schodach. Podskakując, z głuchym jękiem, jak wielka piłka, wpadła na bawiące się dziewczynki. Dziewczynki rozbiegły się przerażone. Globus staczał się coraz szybciej, aż wreszcie na dole wpadł jak bomba przez otwarte drzwi do gabinetu dentystycznego i zajął miejsce w fotelu, jak niespodziewany pacjent, przed zaskoczoną panią doktor.

Tymczasem my, zlani potem, przycupnęliśmy, jak myszy pod miotłą, na drugim piętrze, w gabinecie biologicznym, za akwarium z rybami, w gęstwinie filodendronów.

- Co ci wpadło do głowy, idioto, żeby to zrobić! — zasapałem oburzony do Świątka.

- Wyszedłem z nerw.

- Nie z nerw, a z nerwów. Takimi sposobami nic nie poradzisz. Oni są silniejsi, i kwita.

- Masz rację - jęknął Świątek - tylko co robić w takim razie? Ja nie mogę znieść, jak oni się tak panoszą.

- Na to nie ma rady - powiedziałem smętnie - już tak jest, bracie - obejrzałem się na szkielety ptaków, wypchane zwierzęta i fotografie drapieżników na ścianach. — Uczysz się przecież biologii — dodałem filozoficznie — i wiesz, że silniejszy pożera słabszego. Glistę zjada kogut, koguta zjada wilk, a wilka zjada tygrys.

- Głupi - powiedział Świątek - tygrysów nie ma w Polsce. Są tylko w zoo i w cyrku.

- No, więc zjada tygrys, który uciekł z cyrku — odparłem niezmiernie.

- Nie jest chyba tak źle - zauważył roztropnie Świątek — przecież koń jest silniejszy od woźnicy, a mimo to woźnica rządzi koniem.

- Jasne, ale woźnica jest mądrzejszy od konia.

- No, więc i my, zamiast wysilać się na siłę, powinniśmy wykombinować coś mądrego.

- Żeby to można było sobie zrobić sztuczną pięść - westchnąłem.

- To jest myśl - powiedział Świątek. - Powinniśmy sobie sprawić pięść.

- Masz na myśli kupno?

- Coś w tym rodzaju.

- Wariat! Jak można kupić pięść?

- Przecież sam powiedziałeś!

- Ja tylko tak żartowałem.

-117-

łuchaj, kto jest najsilniejszym chłopcem w szkole? - zapytał podnieco-

latek.

stanowiłem się.

Chyba Zenon - powiedziałem po chwili - ale co ci wpadło do głowy?
z kupić Zenona? To ma być ta pięść?

Potrzeba nam siłacza, który by nas bronił. Może go potrafimy urobić,
iteczności kupić, jeśli nie będzie chciał po przyjaźni...

dojrzałem na niego oszołomiony. Też miał pomysły!

Nic z tego - powiedziałem po chwili - Zenon złamał nogę na nartach
unieruchomiony.

A kto jeszcze tu jest silny?

Chyba Michał. Ale na niego nie licz.

Czemu?

To nawet był kiedyś morowy chłopak. Raz mnie obronił przed łobuzami, y chcieli mi zabrać rower,
ale teraz coś się z nim stało. Zrobił się gorszy
mi.

- Czemu?

- Nie wiem... Chyba dlatego, że za bardzo popisывał się siłą, czy potrzeba, czy nie, i teraz wszyscy
omijają go z daleka. Nikt z nim nie chce ani się ić, ani grać. Nauczyciele też mają go już dosyć. Za
bardzo rozrabiał. Teraz už taką opinię, że jak tylko coś się stanie w szkole, to od razu na niego.

1 kichał - to pewnie Michał, ktoś wzdychał - też Michał. Tak u nas żartują. Jednym słowem,
podpadł, jak to się mówi, bracie. To go jeszcze bardziej Iraźnia. Nie można koło niego przejść, żeby
czegoś nie zrobił. A to roluje,
robi masaż.

- Co to znaczy: roluje?

- Bierze cię w dwie pięści, jedną podstawia w plecy, drugą w żołądek iska, a ty się zwijas z bólu.
Nazywa to rolowaniem.

- Ale jest silny?

- O, silny to on jest. Raz nawet rozłożył samego Zenona.

- Dobra - powiedział zamyślony Świątek - zaraz na pierwszej przerwie
iemy do Michała.

- Co chcesz zrobić? - przestraszyłem się. Począł mi szeptać na ucho swoje plany.

- To jest myśl, co? - zakończył z uśmiechem.

- Daj spokój, zroluje cię — powiedziałem — zresztą on się nie zgodzi. Ty go
2 znasz.

- Zobaczmy. Wzruszyłem ramionami.

Mimo że nie wierzyłem w powodzenie planu i byłem jak najgorszych myśl-na następnej przerwie
zaprowadziłem Świątka do Michała. Znaleźliśmy go

- 118 -

w tej samej sali biologicznej, w której ukryliśmy się przed rozzłoszczonymi pingpongistami.

Wiedziałem, że tu go znajdę. Pan kierownik za karę kazał mu na każdej przerwie dyżurować w tej
sali, czyścić akwaria, karmić owady i gryzonie w klatkach.

Weszliśmy tak cicho, że nas nie spostrzegł w pierwszej chwili. Zauważyliśmy, że stał nieruchomo
przed szkieletem ludzkim i patrzył na niego z ponurą miną. Dreszcz nas przeszedł. To był bardzo
dziwny i bardzo smutny widok. Po chwili westchnął ciężko, odwrócił się i wtedy nas zobaczył.

Czym prędzej nakrył szkielet pokrowcem i zbliżył się do nas ze ściągniętymi groźnie brwiami.

- Co tu robicie? Już was nie ma!

Odruchowo cofnąłem się gwałtownie, ale Świątek wytrzymał mężnie na miejscu.

- Czy... czy ty jesteś Michałem, który zwyciężył Zenona? — wyjąkał niepewnie.

- Co takiego? - nastroszył się siłacz

- Pytam, czy ty jesteś Wielkim i Silnym Michałem Szlachetnym? - zapytał już pewniej oficjalnym
głosem Świątek.

- Jestem Michałem — mruknął zdziwiony taką mową siódmoklasista — z pewnością trochę

większym i silniejszym od was, ale czy szlachetnym, to nie wiem.

- Ale zwyciężyłeś Zenona?

- Tak, kiedyś go zwyciężyłem — odparł niechętnie.

- A Rekszę i Długiego Tomka? Dałbyś im też radę?

- Mowa! - wzruszył pogardliwie ramionami dryblas.

- To dobrze — powiedział Świątek.

- Dlaczego dobrze? — zdziwił się Michał.

Ale Świątek zamiast odpowiedzieć, pomacał mu muskuły.

- Co to za głupie żarty? - odepchnął go Michał.

- Twarde - stwierdził z zadowoleniem Świątek.

- Uciekaj, bo cię strzelę - warknął Michał.

- Lepiej zakręć kran. Nie zakręciłeś kranu i woda przelewa się z akwarium. Szybko!

Michał zerwał się błyskawicznie, dopadł do rybek i przekręcił kurek. Wymieniliśmy ze Świątkiem pełne uznania spojrzenia.

- Ma refleks - powiedział Świątek.

-1 zryw - dodałem - to najważniejsze.

- Co tam mrużycie i czemu się tak na mnie patrzycie? - zapytał zbity z tropu Michał.

- Nic, dobrze biegasz - powiedział Świątek i wyciągnął z kieszeni torbę cukierków.

-119-

- Co to jest? - zapytał zdziwiony coraz bardziej dryblas.

- Toffi.

Michał odepchnął wzgardliwie torebkę.

- Nie jadam.

- Szkoda - powiedział Świątek - cukier krzepi. Siłacze powinni jeść dużo słodczy, ale jak nie lubisz, to trudno, może więc poczęstujesz się tym? - wyciągnął z kieszeni garść orzechów.

Michał wziął dwa i zgniótł jeden o drugi w swojej potężnej łapie. Znowu wymieniliśmy pełne uznania spojrzenia i skinęliśmy zgodnie głowami.

- Nadaje się - stwierdził Świątek.

- Tak, może być - przytaknąłem.

- Może być - powiedział Świątek.

- Co może być? - zdenerwował się Michał. - Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

- Chcieliśmy cię prosić, żebyś... - zaczął Świątek.

- Żebyś nam posędziował - dokończyłem.

- Co takiego?! - uniósł do góry brwi siłacz.

- Posędziował, jak będziemy grać w ping-ponpa.

- Czyli w tenisa stołowego — dodał oficjalnie Świątek.

- Oraz uważał, żeby nam nie przeszkadzali.

- Ja? Co wam strzeliło do głowy?

- Mamy do ciebie zaufanie. -1 po to tu przyszliście?

- Po to.

Roześmiał się szyderczo.

- Ja sędziować szczeniakom! Też wymyślili! Mam ważniejsze sprawy na głowie! Zmiatać mi stąd zaraz! Świątek nie poruszył się.

- Co za to chcesz? Michał poczerwieniał.

- Jak śmiecie! Chcecie mnie kupić! Za kogo mnie macie! Zaslługujesz na solidny masaż!

- Więc nie chcesz iść z nami?

- Ani mi się śni, bezczelni smarkacze!

- Dlaczego nie chcesz?

- Bo... Bo... Bo nie chcę i już! I pamiętajcie, żebyście nie zajmowali stołu. Ja sam mam ochotę

zagrać, zaraz przychodzę tam z Susulem, i stół musi być wolny.

- Żartujesz chyba — powiedział Świątek — wcale nie wierzę w to, żebyś nam chciał zabrać stół.
- Spływaj!

- Będziemy czekać! Liczymy na ciebie!

- Dość, bo będę rolował! - krzyknął rozsierdzony Michał. - Co za wyszczekany smarkacz!

Pierwszy raz widzę.

- Nie udawaj, wiem, że przyjdiesz nam pomóc...

Świątek nie dokończył, bo Michał złapał go, sapiąc, za ramiona:

- Dostyc już, koleżko. Wyprowadziłeś mnie z nerwów. Dawaj ucho! Twoje uszy specjalnie nadają się do masażu - wycedził doprowadzony do pasji.

Przeżony Świątek wyrwał się rozpaczliwie i obaj rzucili się do sromotnej ucieczki.

- No i masz swój sposób — powiedziałem rozżalony do Świątka, gdy ochłonęliśmy w najdalszym krańcu korytarza. - Mówiłem ci, że szkoda sobie zawracać głowy Michałem. O mało co, a byłby nas zrolował. Od Michała trzeba z daleka. Wszyscy tak mówią.

- Szkoda - westchnął rozżalony Świątek. - Chłop z taką siłą w łapach i z takimi mięśniami, i z takim zrywem, i z takim refleksem. Gdyby on był z nami, nie balibyśmy się najgorszego łobuza w szkole.

- On sam jest najgorszym łobuzem — powiedziałem z przekonaniem. Świątek pokręcił głową:

- Nie, on jest inny. Ja wciąż myślę, czemu on tak stał i patrzył się na ten szkielet. Miał taką minę...

- Nie zawracaj głowy - powiedziałem - twoje rozważania są śmieszne. Pomyśl lepiej, co robić.

- Jak to, co? Idziemy grać.

- Daj spokój, boję się, po tym, co zrobiłeś Rekszy, lepiej nie pokazywać się w świetlicy.

- Rekszy tam nie ma - powiedział Świątek. - Spójrz! - wskazał na okno. Za oknem na podwórzu widać było Rekszę, Długiego Tomka i chyba ze

dwa tuziny chłopaków. Obrzucali się kulami ze śniegu i ślizgali po zamrożonych kałużach.

Taka okazja nie zdarzała się często. Trzeba było korzystać, póki pan Kwas-kowski nie spędzi bractwa z dworu. Teraz sala gry powinna być pusta.

Okazało się wprawdzie, że pusta nie była, ale nasz czarny stół był wolny.

Ledwie jednak puściliśmy parę piłek, na progu stanęli Reksza, Tomek i cała ich paczka z siódmej. Rozcierali zgrabiałe ręce.

-Na rozgrzewkę kilka setów, panowie! - krzyknął Reksza. - Hej tam! Stół wolny!

W tym momencie zobaczył nas.

- A, kogo ja widzę? Mamy tu naszego gryzonia! - zaczął zbliżać się do nas z twarzą niewróżącą nic dobrego.

120-

-121-

- Wiejmy! - szepnąłem do Świątka.

Ale on już zaserwował. Był to jednaj jego ostatni serw. Reksza już go pochwycił i potrząsnął nim jak workiem.

- Daj mu spokój teraz! - mruknął Toitiek. - Odstaw go! Później się z nim rozprawisz. Nie ma czasu. Grajmy.

Reksza puścił Świątka.

- Masz szczęście, że jestem teraz zajęty, ale masaż cię nie minie - odepchnął go od stołu.

Świątek, zaciskając zęby, oparł się o ścianę pod oknem.

- Chcesz, żeby cię zrolowali? - powiedziałem. - Zwiewaj, póki czas! Na co czekasz?

- Czekam, aż koguta pożre wilk.

- Co takiego? - wytrzeszczyłem oczy

- Sam przecież mówiłeś - pociągnął nosem Świątek - że... że glistę zjada kogut, koguta zjada wilk, a wilka tygrys, który uciekł z cyrku.

- Aha - połapałem się - no, dobrze, czekajmy więc.

Nie czekaliśmy długo. W chwilę potem na salę wszedł Michał, ciągnąc za sobą tłustego Susuła jako partnera.

Rozejrzał się po sali, a widząc, że wszystkie stoły są zajęte, powiedział do Susuła:

- Idź, poproś Rekszę i Tomka, żeby oddali stół.

Susuł posłusznie podszedł do grających i wyrecytował:

- Kolego, bądź grzeczny i oddaj stół. Bardzo prosimy.

- Spływaj - warknął Reksza i pomacał Susuła rakieta.

Susuł wrócił pośpiesznie do Michała, rozcierając miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Prosiłem grzecznie, nie chcą.

- W takim razie poproś ich mniej grzecznie, żeby poszli i zobaczyli, czy ich nie ma za drzwiami - powiedział po nuro Michał.

Susuł zawahał się.

- No, idź, nie bój się. Niech spróbują cię ruszyć. Tłusciuch udał się powtórnie ze swą delikatną misją.

- Michał prosi was - wyrecytował _ żebyście poszli i zobaczyli, czy was nie ma za drzwiami.

Tym razem Reksza przygryzł wargi, zawahał się, obejrzał na Michała, który stał z rękami w kieszeniach.

Chłopcy przy pozostałych stołach przerwali grę i patrzyli ciekawie, co z tego wyniknie. Reksza przełknął ślinę, nie widać, uznał za rzecz niehonorową wycofać się wobec tak dostojnego audytorium, bo wykrztusił odważnie:

- Powiedz Michałowi, żeby on sam poszedł zobaczyć, czy go nie ma w szatni.

Susuł wrócił z niewyraźną miną.

- Słyszałeś sam — powiedział.

- Tak, słyszałem, prosiłeś grzecznie - wycodził ponuro Michał.

Po czym podszedł do Rekszy i ścisnął go za rękę. Rozległ się głuchy stukot. Rakieta wyleciała z rąk chłopca na podłogę. Ale jednocześnie rozległo się głośnie kłaśnięcie. To Reksza drugą ręką trzepnął Michała w ucho i obaj z Tomkiem rzucili się na niego.

Sala zamarła w bezruchu. Przez chwilę na podłodze kotłowała się mieszanina nóg, rąk i zawziętych twarzy. Pierwszy zerwał się z przeraźliwym wrzaskiem Tomek i wycofał za plecy gapiów. Wtedy wszyscy zaczęli krzyczeć. Jedni dopingowali Michała, drudzy Rekszę. Ale walka trwała krótko. Michał położył Rekszę na łopatki i usiadł mu na piersiach, co według zasad regulaminu walk szkolnych oznaczało całkowite i bezapelacyjne zwycięstwo.

W tym momencie do świetlicy wbiegli, zatykając sobie uszy palcami, przerażeni nauczyciele: pan kierownik, pan Kwaskowski i pan Barton.

Przez chwilę stali osłupieni, patrząc na chłopców zastygłych w dziwnej pozycji na podłodze.

Pierwszy przyszedł do siebie pan Kwaskowski.

- Czemu siedzisz na koledze? - zapytał Michała.

- Ba... bawimy się w konie - wyjąkał zmieszany i wystraszony Michał. Sala wybuchnęła śmiechem.

- Kto to widział! Siódmoklasiści. Stare chłopy! Takie zabawy! I te wrzaski. Jak wy wyglądacie!

Wasze ubrania! - zasapał wzburzony kierownik. - Co to w ogóle ma znaczyć!

- A bo, proszę pana, oni się bili - wyjaśnił pośpiesznie ten lizus Burczyk. - To znaczy Michał napadł na Rekszę i Tomka. Oni sobie spokojnie grali, a on ich napadł i chciał odpędzić od stołu. On zawsze napada, pan kierownik wie, jaki on jest!

Pan kierownik nachmurzył się.

- Więc znów stosujesz prawo pięści - powiedział smutno do Michała. - Powiedziałem już, że dla takich nie ma miejsca w szkole. Spakujesz zaraz książki i pójdziesz do domu. Zawieszamy cię w prawach ucznia.

Wśród śmiertelnej ciszy Michał podniósł z podłogi grzebień i stłuczone lustro, które mu wypadło z kieszeni, wytarł chusteczką spoconą twarz i ruszył w milczeniu do drzwi.

Wszystkie oczy obróciły się za nim.

Nagle rozległ się w ciszy głos Światka:

- Proszę pana, czy mogę coś powiedzieć?

-1 22-

-123-

- O co chodzi? - zmarszczył brwi kierownik.

- Mnie się zdaje - powiedział Świątek - mnie się zdaje, że to wcale nie było tak, jak Burczyk mówi. Michał drgnął, zatrzymał się i spojrzał zdziwiony na Świątkę.

- Co nie było tak? - zapytał spokojnie pan kierownik.

- Bo Michał przyszedł tu nas bronić.

- Co takiego?

- Bo Reksza i Tomek zabrali nam właśnie stół. Kiedyśmy grali, oni przy-sli i odpędzili nas od stołu. TLawszt nas odpędzali, a to był przecież nasz stół. /ięc Michał przyszedł i kazał im oddać. A oni nie chcieli i rzucili się na niego.

Wtedy i ja się włączyłem.

- Michał to jest morowy chłop, proszę pana — powiedziałem. - Raz, jak mi obuziacy chcieli zabrać rower, też mnie obronił. Myśmy wiedzieli, że on przyj-IZie nam pomóc. Myśmy z nim o tym mówili.

- Zaraz, czy to prawda, że Reksza i Tomek zabrali im stół? - zapytał kierownik chłopców.

- Prawda, proszę pana — rozległy się tu i ówdzie ciche głosy.

- I ty ich broniłeś? — zwrócił się kierownik do Michała. — Jakoś nie chce mi się wierzyć. Ty?

Michał poczerwieniał jak ugotowany burak.

- Ja... nie... to znaczy... ja właściwie...

- On jest tylko taki skromny, proszę pana - wtrącił szybko Świątek - on zawsze udaje innego, niż jest... i nie lubi się chwalić, i w ogóle nie lubi o tym mówić, ale to morowy chłop.

Michał spociał się. Otarł chusteczką czoło, patrzył na Świątkę dziwnym wzrokiem.

- To jakaś niewyraźna sprawa - powiedział z wahaniem pan Kwaskowski. - To prawda, że Michał zadzierał raczej ze starszymi chłopcami i młodszy się raczej na niego nie skarżyli... To byłoby bardzo szlachetne z twojej strony, że broniłeś słabszych kolegów — obrócił się do Michała — ale ktoś to widział, żeby w ten sposób. Siedziałeś przecież na biednym Rekszy. To jest niedopuszczalne!

—On prosił najpierw grzecznie... — odparł za Michała Świątek - Susuł świadkiem, proszę pana.

Powiedział bardzo grzecznie, żeby oddali stół.

— Czy tak było w istocie? — zapytał nauczyciel.

— No tak, prosił — przyświadczyli chłopcy.

— Nawet nie chciał się mieszać osobiście - dodał Świątek. - Przez Susuła prosił grzecznie, dopiero jak nie pomogło, no to... no to...

— Mniej grzecznie — pokiwał głową pan Kwaskowski — a tymczasem trzeba było raczej zwrócić się do nas.

-124-

- To nie było łatwe, zwrócić się, proszę pana - powiedział Świątek -jak Tomek trzymał go za nogę, a Reksza zakładał mu podwójnego nelsona i dżudo. Przymusowa sytuacja, proszę pana.

Kierownik machnął ręką.

- Nie dojdziemy tu z nimi do ładu, panie kolego - powiedział. - W każdym razie dowiedzieliśmy się czegoś nowego o Michale. Może byłoby dobrze — powiedział zamyślony - żeby Michał w ogóle czuwał tu nad porządkiem? W tej świetlicy dzieją się przerażające rzeczy.

- Tak, to byłby pomysł - podchwycił pan Kwaskowski. - Mianujemy Michała generalnym kuratorem młodszych klas — zażartował.

- Czy to coś od kury? — zaniepokoił się Susuł.

- Cura to po łacinie troska i opieka - wyjaśnił kierownik.

- To znaczy, że Michał będzie mógł nas bronić? — zapytał Świątek.

- Oczywiście, tylko nie w tym stylu co dziś. Kurator to poważna osoba.

- Ja myślę, że po dzisiejszej rundzie nie będzie już musiał sięgać po takie ostateczne argumenty - wtrącił milczący dotąd pan Barton. - Chyba nie znajdzie się taki śmiałek, który by z nim zaczął.

- Byle tylko Michał stanął na wysokości zadania — westchnął sceptycznie pan Kwaskowski - radzę mieć na niego oko.

Kiedy nauczyciele wyszli, Michał popatrzył uważnie na Światka i na mnie.

- Nie wiedziałem, że jesteście aż tacy spryciarze. Nieźle to wykombinowaliście - powiedział.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi — rzekł Światek.

- Będzie z ciebie polityk. Masz głowę. Susuł trącił go w ramię:

- A nasza gra? Stół wolny.

- Jaka gra? — uniósł do góry brwi Michał i uśmiechnął się dziwnie. — Przyszedłem przecież ich bronić. Nie słyszałeś?

- Naprawdę? - zdumiał się Susuł.

- Naprawdę — mruknął zmieszany Michał. — Chodź, Susuł, niech sobie grają.

Ledwie jednak ruszył się z miejsca, do świetlicy wbiegli zadyszani chłopcy z klas trzecich, czwartych i piątych.

- Czy to prawda? - obstąpili go dookoła. -Co?

- Że bronisz? Więc jak to? Ich bronisz, a przed nami udajesz ważnego?! -zasypali go pretensjami.

- Uciekajcie, nikogo nie bronię - mruknął.

- Nie bujaj, a Światka to broniłeś, a Majtę?!

-125-

- Z nimi zawarłem umowę- powiedział, patrząc na nas zimno, ale w oczach zaświeciły mu się jakieś wesołe ogniki.

- Z nami też musisz. Jakże to? Czy my gorsi?

- Widzę, że tu jest nadzwyczajne zapotrzebowanie na obronę - skrzywił się Michał.

W tym momencie rozległ się nowy tupot i do świetlicy wpadł tabun przerażonych piątoklasistów.

- Michał, chodź prędko! Rolują Susuła!

Nim zdolał coś powiedzieć, otoczyła go fala chłopaków. Nie mógł się już jej wyrwać. Uniesiony przez tłum słabych, odpłynął.

Widzieliśmy tylko jego, naprawdę tym razem, przerażoną głowę kołyszącą się gdzieś w potoku głów.

- Czekajcie, jeszcze porachuję się z wami - rzucił nam na pożegnanie - taki zrobić mi kawał!

-126-

Trzynasty występ

Wiadomość poraziła drugą salę w momencie najbardziej niespodziewanym, kiedy normalnie żadne wieści ze świata zewnętrznego nie dochodzą do uszu „czterdziestu męczenników” -jak opiekun drugiej sali, pan Majeran, nazywa swoich chłopaków - to znaczy w czasie ciszy poobiedniej.

Po obiedzie bowiem na koloniach w Ligęzie następuje karmienie młodzieży pastylkami, po czym zapędza się delikwentów do łóżek i nakłania do snu.

Ze wszystkich tortur, jakie wymyślono dla uczestników kolonii specjalnej w Ligęzie, cisza poobiednia budzi największe sprzeciwy nowicjuszy, tym bardziej że większość z nich nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, gdzie ich wywieziono. Myślisz, że przyjechałeś na zwyczajne kolonie letnie dla młodzieży szkolnej, a tu od razu przepuszczają cię, bratku, przez magiel. Ani chwili spokoju. Czas ściśle poszatowany regulaminem. Rano gimnastyka zdrowotna, potem jedni maszerują na zastrzyki, inni na bicze szkockie, czyli na zimne i gorące prysznice z gumowej sikawki. Przy śniadaniu pastylki, przy kolacji pastylki, a przed obiadem łycha podejrzanego mikstury. I stale szpinak i picie mleka, a do zup (wciąż i aż do znużenia jarzynowych) dosypują ci jakichś białych proszków. A jakby tego było mało, co tydzień osobnicy w białych kitlach ważą cię jak tucznika, oglądają, opukują, macają... Słowo daję, sanatorium jakieś, nie uczciwe kolonie.

Nic więc dziwnego, że nowicjusze jęczą, chodzą struci, zbici z tropu, zdezorientowani i ogłupieni, a bardziej przedsiębiorczy chcą z miejsca wyrwać i kombinują skok.

Tak właśnie było z niejakim Bularskim i towarzyszymi. Już pakowali ma-natki i w nocy chcieli się spuszczać przez okno, gdy ktoś zapalił światło i ściągnął ich na podłogę. Z przerażeniem spostrzegli, że są w rękach dryblasza o małych bystrych oczkach, który przyglądał im się z uśmiechem.

Był to weteran z drugiej sali, niejaki Pafnuc...
Pafeuc do czasu przyjazdu Trąbaczewskiego był najlepiej zorientowany i on też brał na siebie dzieło uświadomienia i pokrzepienia nowicjuszy albowiem wychodził z założenia, że kiedy nie można zmienić sytuacji, należy ją przynajmniej zrozumieć, i że to daje ulgę.

- Nie trzeba się denerwować, chłopaki - poklepał Bularskiego po chuder-lawych łopatkach -

Dziwicie się, gdzieście wdepnęli? Sprawa jest prosta... Nie mieliście odpowiedniej wagi - z lekką wzdargą pomacał im mięśnie. Tak, proszę panów mamy kondycyjne braki i flaczki zamiast mięśni, a do tego pewnie złe OB, morfologię i analizy... Dlatego tu was przysłali... Ale nie bójcie się, za miesiąc nikt WaS nie pozna... Będziecie silni jak ja... Już tutaj wezmą się zawas, tu jest specjalny reżym.

Pafnuc zawsze używa trudnych słów, które budzą szacunek malców.
- Co to jest reżym? - zapytał Bularski, zwany później Bulwą. Pafnuc popatrzył na niego małymi oczkami.
- Chodź bliżej, to ci wytłumaczę.

A kiedy Bularski podszedł, Pafnuc wziął go za ucho i zaprowadził do łózka.

- Już wiecie, co to jest reżym - powiedział.
W ten sposób wyrobił się wśród malców pogląd, iż reżym jest to branie za uszy.

Otóż tego popołudnia, kiedy wiadomość poraziła drugą salę wszystko odbywało się zgodnie z wymaganiami reżymu i nic nie wróżyło dramatycznego przebiegu wypadków

Punktualnie o godzinie drugiej pan Majeran zapędził młodzież do łózek

i powiedział jak zwykle-

- A teraz godzina relaksu. Proszę o ciszę. Pamiętajcie, że jesteście zagrożeni.

Słowa te zawsze robią na chłopcach silne wrażenie. Sala milknie Na dobrą sprawę nikt nie rozumie czym są zagrożeni, ale chłopcy nie próbują nigdy „rozgryźć” Majerana. O Majeranie utarł się bowiem pogląd, że jest morowy, ale dziwny.

u

Wypowiedziawszy te sakramentalne słowa, pan Majeran jak zwykle uśmiechnął się smutno (pan Majeran nie ma na koloni, specjalnych powodów do radości), po czym zamknął cicho za sobą drzwi i poszedł do kancelarii, gdzie podobno studiuje podręczniki o wychowaniu. Tak przynajmniej twierdzi Irą-baczewski.

Po Zniknięciu pana Majerana druga sala, jak co dzień, jeszcze chwilę trwała w stanie oSzołomienia.

Osoba dziwnego pana Majerana zawsze wpływała

- 128-

demobilizująco na buntownicze zapędy czterdziestu męczenników i budziła jakieś „zakłopotanie moralne”.

u

Ale gdy tylko ucichły kroki młodego wychowawcy, chłopcy, jakby zawstydzeni tą chwilą słabości, odbijali sobie w dwójnasób. Zaczynało się zwykle od Trąbaczewskiego i Pafnuca. To dlatego, że obaj są najlepiej zorientowani. Dwu najlepiej zorientowanych na sali to jest kara boska.

Pafnuc nie może przeboleć, że już nie jest jedynym najlepiej zorientowanym i korzysta z okazji, żeby, jak się wyraża, „zatkać Trąbę”. Połowa sali dzielnie mu pomaga w tym zatykaniu i dzieją się straszne rzeczy podczas ciszy poobiedniej.

- 128-

Kiedy na przykład Trąbaczewski twierdzi, że ten „świński szpinak” jest jeszcze gorszy na słodko, to Pafnuc od razu, że nieprawda, bo na kwaśno. Kiedy znów Pafnuc udowadnia, że styl grzbietowy pana kierownika Waligóry jest lepszy od stylu klasycznego pana Strucia, to Trąbaczewski śmieje się

i nazywa styl grzbietowy pana Waligóry „holowaniem wraku"... Zwykle spór kończy się na boksie, i to w całym wyczynowym tego słowa znaczeniu. Wystarczy, że Trąbaczewski postawi wyżej Węgra Pappa od Pietrzykowskiego, a już Pafnuc zamienia salę na ring bokserski i zabiera się do demonstrowania Trębaczew-skiemu stylu Pietrzykowskiego...

Tego dnia też wybuchła kwestia sporna, kto jest skuteczniejszy na boisku w ataku - Pohl czy Lentner, i właśnie wśród wrzawy wszystkich czterdziestu męczenników druga sala zamieniła się w oka mgnieniu w boisko, kiedy rozległ się przeraźliwy, ostrzegawczy gwizd. To zagwizdali dwaj wężli, którzy zajmowali łóżka przy samych drzwiach: Łebkowski i Rzepka. Niewątpliwie byli oni geniuszami słuchu, gdyż zaiste trzeba mieć nie lada uszy, żeby wśród piekielnego hałasu i wrzasku usłyszeć i odróżnić zbliżające się kroki na korytarzu. Sala od razu umilkła.

- Panowie, odwalamy sen sprawiedliwych - zakomenderował Pafnuc.

- Koce na uszy i chrapiemy - dodał Trąbaczewski.

Przez chwilę słyhać było jeszcze głuchy tupot bosych stóp, potem skrzypienie sprężyn w łózkach, a na koniec zapanowała śmiertelna cisza. Czterdziestu chłopca momentalnie nakryło się po uszy kocami, a żeby nikt nie miał wątpliwości, że śpią, rozległo się zbiorowe chrapanie...

To był naprawdę rzadko spotykany koncert chrapania, na różne głosy i akordy.

Pogrążeni we śnie sprawiedliwych nasłuchiwali czujnie.

Istotnie i tym razem słuch wężliwych nie zawiódł. Kroki na korytarzu stały się zupełnie wyraźne, w chwilę potem zaskrzypiały drzwi i do sali wszedł rosy blondas, w którym chłopcy od razu poznali niejakiego Ćwika z pierwszej sali.

-129-

Ćwik powiódł przymrużonymi oczyma po nakrytych kocami ciałach i wycodził oficjalnym głosem:

- To u was tak wygląda cisza poobiednia? Odpowiedziało mu jeszcze niewinniejsze chrapanie.

- Nie udawajcie, że śpicie! - zamruczał zdenerwowany. - Słyszać was było w całym domu.

I tym razem nikt się nie odezwał, tylko chrapanie stało się o ton wyższe.

- Dosyć tej zgrywy! — krzyknął. — Słyszycie, co mówię? Po obiedzie obowiązuje cisza. Czy nie znacie regulaminu?

Wtedy dopiero Pafnuc wynurzył się spod koca i ziewnął ostentacyjnie:

- Czy mi się śni... czy słyszę kazanie?

- Mogę przetkać ci ucho, to usłyszysz lepiej, Pafnuc! - warknął Ćwik.

- O rany, co za łajza przeszkadza kimać - odezwał się zaspanym głosem Trąbaczewski.

- To ten lizus, Ćwik — powiedział Pafnuc.

- Jak kocham myć nogi! — wykrzyknął Trąbaczewski. — Faktycznie, to ten lizus Ćwik. Chyba zbłądziłeś koleś, to jest sala pana Majerana, a ty jesteś od pana Strucia,

- Pan Struć mnie do was przysłał, żeby was uciszył - rzekł Ćwik.

- Co ma do nas Struć - wzruszył ramionami Pafnuc - my jesteśmy pod panem Majeraniem.

- Już nie jesteście — odparł krótko Ćwik. Chłopcy spojrzeli po sobie. Chyba się przesłyszeli.

- Jak to nie jesteśmy? - podniósł się Pafnuc. - Przecież pan Majeran usypiał nas przed kwadransem.

- To było pożegnalne usypianie, a od godziny trzeciej jesteście pod panem Struciem — powiedział Ćwik.

Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy.

- Co on mamie, ten Ćwik - wykrztusił wreszcie Pafnuc - słyszałeś, Trąba?

- Ćwiku, co to za mowa? - rzekł naprawdę już zaniepokojony Trąbaczewski. - Nie żartuj tak boleśnie.

Ćwik uśmiechnął się wzgardliwie.

- A co, zrzędała wam mina? Niestety, kochasie, to prawda! Po tej wczorajszej drace pan kierownik postanowił, że pan Majeran nie będzie już waszym wychowawcą. Pan Majeran przejdzie do sali pierwszej, a was weźmie na przeszkolenie pan Struć. Dlatego, ja wam radzę, leżeć spokojnie. U

pana Strucia nie ma rozróbek. Kto szura, pakuje manatki i wyjeżdża z kolonii z bardzo miłym listem do rodziców.

Sala zdrętwiała. Takiej wiadomości nikt się nie spodziewał. Struć wychowawcą sali? No, to byłby koniec świata. I nie wiadomo, jak długo trwało-

-130-

by to przerażenie, gdyby nie ten łobuz Bularski, który krzyknął gdzieś z kąta do Ćwika:

- Te, fagaaas, zamknij gaz!

I od razu wszyscy wystąpili przeciw Ćwikowi. Rozległy się głosy:

- Za drzwi z nim! My ci damy przeszkolenie! Brać go!

Bractwo zerwało się z łóżek i rzuciło na Ćwika. Ale Ćwik nie dał się wziąć łatwo.

- Ja wam pokażę... — zasapał. — Łobuzy! Masz, draniu! — puścił w ruch pięści i pierwszego z nacierających napastników powalił na podłogę.

- Ajaj! Bije! Trąba, ratuj! — rozległy się jęki.

- No... no... Ćwik, hamuj się, stary — wtrącił się pojednawczo Trąbaczewski. - Po co od razu z pięścią?

- Czy z wami można inaczej?... - dyszał Ćwik. - Czekaście, powiem Stru-ciowi. Uprzedzałem was. Prosiłem chyba grzecznie?

- Jasne — przyświadczył spokojnie Trąbaczewski. — Powiedziano, zrozumiano, już się śpi — to mówiąc, zamrugał okiem do chłopaków: — Panowie, spać!

Było to raczej zaskakujące posunięcie i druga część sali, ta, co słuchała Pafhuca, spojrzała pytająco na swojego przywódcę, jak zareagować na tę dziwną politykę.

Pafhuc przygryzł wargi, przez chwilę jakby się zastanawiał, czy też walczył z sobą, wreszcie powiedział pospiesznie:

- Tak jest, śpimy! Koce na uszy! Sen sprawiedliwych, panowie! Chłopcy wytrzeszczyli oczy. Był to niewątpliwie pierwszy wypadek na

drugiej sali, żeby tak dobrze zorientowany weteran jak Pafhuc poparł zdanie swojego rywala Trąbaczewskiego.

W obecności Ćwika nie wypadało jednak prowadzić wewnętrznych dyskusji. Gwar umilkł i wszyscy posłusznie nasunęli koce na uszy, po czym rozległo się zdrowe, melodyjne chrapanie.

Ćwik przez chwilę stał oszołomiony tą nagłą potulnością, tudzież snem, który spłynął na czterdziestu męczenników, potem syknął: „Błazny!", i wyszedł z sali.

- Poszedł fagas? - wychylił się spod koca Pafhuc.

- Poszedł - odparł Trąbaczewski.

- Ty, Trąba... - mrugnął okiem Pafhuc - co to była za polityka? Zląkłeś się Strucia?

- Nie o Strucia chodzi, tylko o Majerana. Poważna sytuacja, bracie. Trzeba się zastanowić w spokoju. Ale najpierw musiałem splawić tego lizusa, Ćwika.

- Tak też myślałem - szepnął zaferowany Pafhuc.

- Że też nas Majeran ani słowem nie uprzedził - westchnął Trąbaczewski.

-131-

— Jak to, nie uprzedził! — uśmiechnął się krzywo Pafhuc. — Przecież co dzień powtarzał, że jesteśmy zagrożeni. Powinieneś się domyślić. Byłeś przecież najlepiej zorientowany - dodał z lekkim przekąsem.

Ale, o dziwo, Trąba nawet tego nie zauważył.

— Sądzisz, że to właśnie miał na myśli, kiedy tak mówił? - zapytał z oczami wbitymi w szybę.

-A co?

Na sali znów wybuchł gwar, ale Trąbaczewski i Pafhuc zgodnie uciszyli męczenników.

- Cicho! Jeszcze kwadrans kimania. Nie widzicie, że myślimy? Wiecie, jaka jest sytuacja.

Słyszeliście przecież, co mówił Ćwik! Musimy znaleźć wyjście.

Kiedy gwar ucichł, Trąbaczewski zapytał:

-Ty, Pafhuc... co to właściwie była wczoraj za draka? No, ta, o której Ćwik mówił. Czy to coś z

Rzepką i Łebkowskim?

- Nie wiesz? - zdziwił się Pafnuc.

- Czy muszę wszystko wiedzieć? - wzruszył ramionami Trąbaczewski. Pafnuc zdziwił się jeszcze bardziej. Nigdy by nie przypuszczał, że takie wyznanie może przejść Trąbaczewskiemu przez gardło.

—Wiesz... — chrząknął nieco zmieszany—ja też właściwie dobrze nie wiem, to chyba coś z Bulwą. Wiem tylko, że Majeran miał od starego mycie główki.

- Większe? - szepnął Trąbaczewski.

- Większe i z mydleniem - odparł Pafnuc. - Majeran nawet się nie bronił. Powiedział, że zaraz spakuje manatki.

— Co ty! — wytrzeszczył oczy Trąbaczewski.

— Jak kocham myć nogi. On tu jest na praktyce... Z praktykantami się nie cackają. Zresztą Majeran sam postanowił, że wyjedzie. Pamiętasz, jak powiedział przedwczoraj: „Jeszcze jedna draka i wyjeżdżam”. Wtedy myślałem, że tylko tak groził. Wszyscy wychowawcy tak grożą. Ale wczoraj zrozumiałem, że on chce to zrobić naprawdę. Tylko kierownik go zatrzymał. „Już koniec turnusu — powiedział — nie dostanę następcy. Musi pan zostać te parę dni, jakoś to ułożymy”. No i ułożyli. Majeran zamienił się ze Struciem salami.

— Brrr, żyć się nie chce. Ale miał pomysł kierownik, co?

— To nie kierownik — westchnął Trąbaczewski. — To mi wygląda na pomysł Strucia. Struć chce pokazać, co zrobi z najgorszą salą kolonii. On ma takie ambicje. Wy jeszcze nie wiecie, kto to jest Struć. Widziałeś, jak on pływa? A jakie ma chwytły? Trzeci stopień dzudo czy coś takiego.

Przeszkolony specjalnie. Teraz tylko takich będą brać na kolonie.

- Ee, bujasz, Trąba! - Pafnuc spojrzał na niego z niepokojem.

- Jak słowo. A widziałeś, jaki ma wzrok? Nieruchome oko, bracie, jak fakir.

-132-

mdto ZXoN gf ^ PafnUC" mdło zrobiło. Nie mogłem się ruszyć

że omTMdTr ni6g0 cała sala

ze om naprawdę chodzą spać o ósmej?

-Nie... daj spokój!

- Mówię ci, Pafouc! Zaszedłem raz do nich nn szczotkę PVłto pięć P°

sie ;tbhractw;spalo Jak ^{TM^z^m^>} dlatega

Si" z T T"1 WPatmJC * ""^ W* węże u f> Sn g° t6Z UCzą ^howawców kolonii? .

Z sariS r*f t0 ?lk° nadzwyczajne zdolności pana S^cia' L sąsiednich łozek podniosły się głosy

Dosyć już, Trąbaczewski, jak Boga, zimno si robił gęsia skórka. Lepiej

h zawtórowało im: Tak jest! Nie damy Majerana! Nie damy!

a0WdĆ ^ bi

PowTedmyszohleĆ- ^ C° ZrObić? *""^ana Powiedzmy sob.e otwarcie. Majeran ma nas dosyć On uprzędzi

Pafnuc m racje _ rzekł Trąbaczewsk, *^^^psy*. W tym

I do

Szurał dla sfZT szurai aia samego szurania.

Preczl

cisza. Wreszcie Pafm* wybuchnął: Szцениaka' Bulwę! Bulwa zawsze ^raŁ

'^ ~ WyCedził Przez ^ Tr^cZ^{TM^} ~ - zasaPał Pafeuc proponuję is0czyć Bulwę

**"

Wyskoczyli z łózek i

ofany ^^ §° wlekli do Pafnuca i Trąbaczewsl^" - O rany... co wy chcecie! - wył i

L

Jak

Trzymać go! Łapać! Dać go tu! f

Tiąbacze»*2marszc , brwj N , - Prawda. P^t „, Łebt0Ivst, ilzep

. że «eż

-133-

- Niewinny jestem! - jęczał Bulwa.

- Nie jęcz - uspokoił go Pafnuc. - Nawykowo zostałeś posądzony, bo zawsze szurasz tam, gdzie nie trzeba. Dawać tu Łebkowskiego i Rzepkę!

- Nigdzie ich nie ma — zasapał Trąbaczewski.

- Jak to nie ma? Pewnie się schowali! Zajrzeć pod łóżko! Chłopcy rzucili się na podłogę i zaczęli zaglądać pod łóżka.

- Są! Są! Ukryli się pod łóżkiem! - ktoś krzyknął podniecony. Wkrótce obu wątych wydobyto spod łóżek i postawiono przed oblicza weteranów.

Pafnuc spojrział z wyraźnym niesmakiem na chudeuszów. Można było z daleka policzyć im zębra. A rozchełstane, błękitne koszulki odsłaniały przeraźliwie sterczące obojczyki...

- No, ptaszęta - powiedział - to przez was ta heca. Co wam wpadło do głowy, żeby się topić? Kto ma słabe pletwy, niech nie pcha się na głębie. Przez was zabierają nam Majerana.

- To... to nie nasza wina, Pafnuc - oświadczył Rzepka.

- My... my musieliśmy, no nie, Rzepka?

- Musieliśmy, Pafnuc - potwierdził Rzepka.

- Jak to, musieliście? - zdumiał się Pafnuc.

- Ja to wszystko wytłumaczę — przełknął ślinę Łebkowski. — Poszliśmy z piłką nad rzekę. Tam jest płasko i można sobie pograć, wiesz... Ćwiczyliśmy strzały do bramki. Sam mówiłeś, że będziemy bramkarzami i że dostaniemy kopa, jak przepuścimy chociaż jednego gola na meczu z pierwszą salą. Więc myśmy się bali i poszliśmy ćwiczyć. I wtedy przyszedł Bulwa i kopnął piłkę do wody. Naumyślnie kopnął i zdradziecko. A potem uciekł. On zawsze jest złośliwy. I piłka zaczęła płynąć. Więc musieliśmy ją ratować, żeby nie popłynęła z prądem. A tam jest wir na zakręcie, więc zaczęło nas wciągać. Struć był akurat na tarasie i musiał nas zauważyć z góry. Więc zbiegł i wyratował nas.

On zawsze wszystko zauważy.

— Ha, więc to jednak Bulwa! — ryknął Pafnuc. — Miałem wycucie, że chciałem go spłaszycić. Dawajcie z powrotem Bulwę.

- Ratunku! Już nie będę... Nie chciałem... Żartowałem tylko... Aaa!!! -wrzaski spłaszczanego Bulwy rozdarły powietrze.

- Panie kolego, słyszy pan te krzyki?

Kierownik kolonii w Ligęczach, pan Watigóra, odstawił niedopitą herbatę i ocierając spocone czoło chusteczką, spojrział spoza gazety na pana Strucia,

-134-

wysokiego pedagoga o skroniach przyprószonych siwizną, który notował coś w pękatym notesie na drugim końcu cienistej werandy.

Pan Struć, nie podnosząc oczu znad notesu, odparł powoli:

- To na sali pana Majerana.

- Na pana sali - poprawił z naciskiem kierownik. - Już teraz na pana sali.

- Pozwoli pan, kierowniku — wycedził spokojnie Struć — że tę salę będę nazywał nadal salą pana Majerana, dopóki nie nauczę jej mojej dyscypliny.

- Dlaczego pan ich nie uciszy? — zapytał zdenerwowany kierownik.

- Posłałem tam dyżurnego Ćwika, żeby ich ostrzegł - odparł Struć. - Dałem im szansę. Więcej nie będę upominał. To mój zwyczaj. Jedno upomnienie musi wystarczyć, potem następuje kara. Przy wieczornym apelu dowiedzą się, że nic nie zostało zapomniane. I że czasy pana Majerana, czasy pobłażania, skończyły się bezpowrotnie na tej sali... - urwał, bo na werandę wszedł właśnie pan Majerana, szczupły, młody człowiek w czarnych okularach i gimnastycznej koszulce, wachlując się włochatym ręcznikiem.

- Gorąco, panowie - powiedział, nalewając sobie wody sodowej z syfonu. - Trzydzieści stopni w

cieniu.

- I parno jak przed burzą - dodał kierownik. - Co panowie proponują na popołudnie?
- Proponuję pójście nad rzekę — powiedział Majeran. — Kapałem się właśnie. Woda jak marzenie.
- Hm... może rzeczywiście najlepiej byłoby nad wodą- kierownik wstał od stołu.

Struć uniósł do góry krzaczaste brwi.

- Pan kierownik chyba żartuje.
- Dlaczego?
- Po tym wczorajszym wypadku? Czy mało jeszcze było kłopotów? Ja bym nie kusił nieszczęścia.
- Chłopcy nie kąpali się jeszcze ani razu od naszego przyjazdu — powiedział Majeran. - Być nad rzeką i nie kąpać się... Wystawiamy ich na zbyt ciężką próbę, panowie.
- Nic na to nie poradzimy, kolego Majeran - rozłożył ręce Struć. - Były przecież deszcze i było zimno. A po tych deszczach rzeka wezbrała... czy pan wie, jaki jest poziom wody? I stale jeszcze wzrasta.
- Są jednak miejsca zupełnie płytkie i bezpieczne - nie ustępował Majeran. - Na przykład na zalewie. Gdyby dokładnie wyznaczyć strefę dozwoloną i roztoczyć nad młodzieżą opiekę...
- Owszem, to by się może dało zrobić, ale nie z tymi rozwydrzonymi chłopakami z Woli - westchnął Struć. - To nieodpowiedzialna banda. Czy pan słyszał ich słowniki, czy pan zna ich zagrania, podstępny i kawały? Nie widziałem

-135-

adobnie niezdyscyplinowanej młodzieży. Z przekory wejdą w głębię. Kto ich pilnuje? Pan? Bo ja nie mam zamiaru po raz drugi nurkować za niedoszłymi >pielcami. Zresztą zaziębiłem się. - To mówiąc, zakaszał grubym kaszlem, pan kierownik Waligóra spojrzał na niego z troską. Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy.

- A gdybym zagwarantował, że to się więcej nie powtórzy? - zaproponował Majeran.

- Pan jest rozbijający, kolego Majeran - zaśmiał się Struć. - Czy można gwarantować za żywioł? Za ogień, że nie sparzy, za wiatr, że nie powieje?)gień trzeba trzymać z daleka od benzyny, a chłopców od wody. Nie, panie kolego Majeran. Od razu widać, że pan pierwszy raz prowadzi kolonie dla chłopców z Woli... A propos, chciałem już dawno zapytać, co pan właściwie jrzedtem robił?

- Pracowałem w Pałacu Młodzieży — odparł Majeran.

- Pożyczał pan grzecznym dziewczynkom i chłopcom książeczki?

- Nie. Uczyłem młodzież tańczyć.

- Otóż właśnie — pokiwał głową wyraźnie rozbawiony Struć. — Pan ma przyzwyczajenia nauczyciela tańca. Obawiam się jednak, że ci chłopcy nie będą tańczyć, jak pan im zagra.

- To prawda... - rzekł zmieszany Majeran. - Muszę się uczyć wielu rzeczy i nie zaprzeczam, że brak mi pańskiego doświadczenia...

Struć uśmiechnął się pod nosem.

- O tak, ja mam cokolwiek lepszy staż.

- Pan Strać był wychowawcą w zakładzie specjalnym - wyjaśnił pan Waligóra.

- W domu poprawczym, jeśli chodzi o ścisłość — sprostował Strać.

- Ach tak... — Majeran spojrzał ciekawie na starszego kolegę.

- Wy, pedagogzy o słabej ręce, wychowujecie przyszłych wychowanków domów poprawczych — uśmiechnął się Struć. — Pan to powinien zapamiętać, panie kolego Majeran... - zakaszał. - Jednak się zaziębiłem po tej przymusowej kąpieli.

- Nic dziwnego, kolego Strać... - pokiwał głową kierownik - wskoczył pan zgrzany do wody...

- Tak, to mi dało radę. Człowiek straci zdrowie na tych koloniach.

- Niepotrzebnie gonił pan Bularskiego - chrząknął nieśmiało Majeran.

- Pan Strać nie gonił Bularskiego - zmarszczył brwi kierownik. - Pan Strać zauważył z tarasu, że Bularski wdrapał się na drzewo. Pan Struć pobiegł ściągnąć go z drzewa i wtedy dopiero zauważył

tonących chłopców.

- Taki właśnie przebieg miały wypadki - zakaszła Strać. - Dlatego byłem zgrzany. Niestety, Bularski, mimo wyraźnego rozkazu, nie chciał zejść z drze-

- 136-

wa i musiałem go ściągnąć. To jeszcze jeden bohater z pana sali, kolego Majeran.

- Ja też bym się bał zejść, gdybym wiedział, że pod drzewem czeka na mnie pan Strać — rzekł smutno pan Majeran.

- Te żarty nie są na miejscu, kolego Majeran - rzekł ostro pan Waligóra. -Pan powinien docenić, że kolega Strać daje z siebie wszystko. Wobec bezradności pedagogicznej niektórych wychowawców cała kolonia opiera się na barkach pana Strucia. A wracając do tematu... — pan kierownik obrócił się do pana Strucia - chciałbym usłyszeć, co pan proponuje zamiast rzeki.

- Las. Grzybobranie, zbieranie jagód... — odparł krótko pan Struć.

- Doskonale — zgodził się kierownik.

- Z jednym zastrzeżeniem - dodał pan Strać. - Łebkowski i Rzepka pozostaną w domu.

- Obawiam się, że to będzie dla nich zbyt ciężka kara - wtrącił Majeran.

- Właściwie to nie miałem na myśli kary — wyjaśnił spokojnie pan Strać. — Chodzi mi o to, by nie dezorganizowali wycieczki. Ja ich mam od początku na oku.

- Myślę, że jeśli pójdą pod pana opieką... - zaczął Majeran, ale Strać przerwał mu ostro:

- O, nie. Ja mam tylko jedno pragnienie. Odstawić ich w całości do domu. Całych i zdrowych.

Wpuścić Łebkowskiego i Rzepkę do lasu, to znaczy dać szaleńcowi nóż w rękę. Z lasu niedaleko do wody. A, nie daj Boże, zechce im się skakać po drzewach albo rozpalić ogień. Pan ich nie docenia, kolego Majeran. Oni są zdolni do wszystkiego.

- A więc zaaplikuje pan im areszt domowy do końca kolonii — rzekł melancholijnie Majeran.

- Tego nie powiedziałem. Od jutra wezmę się za nich i wtedy... zobaczymy. W tym momencie zdenerwowani wychowawcy usłyszeli wyraźne stukanie.

- Kto tam? - zawołał Strać.

Za drzwiami dały się słyszeć jakieś nieartykułowane dźwięki.

- Proszę! - rzekł głośno kierownik.

Drzwi otworzyły się pomału i na werandę wkroczyli z bardzo niewyraźnymi minami Pafnuc i Trąbaczewski. Pafnuc przygryzał wargi, a Trąbaczewski nerwowo raz po raz przyglądał sobie jeża na głowie.

- A, to wy... - zdumiał się Waligóra. - O co chodzi?

- My do pana Majerana... - wyjąkał niepewnie Pafnuc.

- My chcieliśmy się zapytać, czy to prawda... — zaczął Trąbaczewski i utknął.

- Czy to prawda, że pan... że pan ma nas dosyć — dokończył Pafnuc. — To znaczy drugą salę.

-137-

- Prawda - odparł krótko pan Majeran.

- f ze pan nas odstąpił panu Struciom! - przełknął ślinę przez suche gardło Trąbaczewski.

- Tak mi poradził pan kierownik - odpowiedział Majeran. -Orany! .- wykrzyknął Pafnuc i przerażony zatkał sobie usta.

- Co to za odezwanie, Pafnuc - ściągnął brwi pan Struć, stając przed chłop-

-To znaczy, chciałem powiedzieć... niespodzianka- zamrugał oczami Pafnuc'

iałeś powiedzieć „przykra niespodzianka"-uśmiechnął się pan Struć

eSTrT kierownika - wykrztusił przerażony Patoc czy -czy koniecznie pan Struć musi z nas robić ludzi, czy nie może

m Niestety, Pafnuc, jak dotąd to się panu ^^".^^ marsz do sali - powiedział pan Waligóra. - Zróbcie porządek i czekajcie spo kojnie. Za pół godziny pójdziecie na wycieczkę.

- O, to fajowo!

- Jak ty się wyrażasz?

- Przepraszam, chciałem tylko zapytać, czy z panem Majeranem,

- Nie - odparł kierownik. - Z panem Struciem... No, na co jeszcze czeka C1C? - Bo... bo my jeszcze nie załatwiliśmy... tam za drzwiami... e, co ja będę mówił dawaj tych topielców, Trąbaczewski!

Nim się wychowawcy spostrzegli, obaj delegaci drugiej sali dali nogę za drzwi pJezThwilę w kolarzu słycać było jakieś szamotanie magle przez drzwi wleekli z rozpedem dwaj malcy w błękitnych koszulkach - Rzepka

c, Trąbaczewski, co to znaczy! - krzyknął kierownik.

- Gdzie oni są?

Pan Struć wyjrzał przez drzwi i powiedział:

Uciekli łobuzy. Wepchnęli nam Łebkowskiego i Rzepkę i uciekli.

- ŁeŁski i Rzepka P« co was tu wepchnęli? - zasapał zdenerwowany kierownik.

- Mamy wyjaśnić sytuację - rzekł ponuro Łebkowski.

- Co takiego? — zdumiał się kierownik.

- Wyjaśnić sytuację - powtórzył Rzepka z miną, która wskazywa^a na fi" lozoficzną rezygnację.

Kierownik spojrzał na wychowawców.

- Rozumiecie coś z tego, panowie?

- To jakiś kawał - chrząknął pan Struć.

- Radzę się mieć na baczności.

- Zaraz, dajmy im dojść do słowa, niech mówią- wtrącił Majeran. - Czego chcecie?

- My... my bardzo ubolewamy, że... - mrucał Łebkowski, ale zbrakło mu odpowiedniego, dyplomatycznego sformułowania.

- Że tonęliśmy — wypalił Rzepka.

- No, no, proszę! Też coś takiego! - uniósł do góry brwi pan Struć. ~ Ubolewają, że tonęli. I ten zwrot! Kto was tego nauczył?

- Czy tylko to chcieliście powiedzieć, chłopcy? — zapytał pan kierownik.

- Nie... my bardzo ubolewamy, żeśmy tonęli i że pan Struć musiał nurkować — wyrecytował Łebkowski.

- To już lepiej — westchnął kierownik, a pan Struć chrząkn^ i spojrzał łaskawie na delikwentów.

- Prosiłbym, żeby panowie wzięli pod uwagę, hm... postawę chłopców -chrząknął pan Majeran. - To jednak o czymś świadczy. Proponuj? zaufać im jeszcze raz i zabrać na tę wycieczkę.

Teraz z kolei chrząknął pan kierownik.

- Hm... cóż pan na to, kolego Struć?

Pan Struć był wyraźnie w rozterce. Wreszcie powiedział:

- Koledzy... apeluję... nie dajmy się ponosić wzruszeniu. Czfi)no^ pedagogiczna przede wszystkim. To moja dewiza. Pozwolę sobie przypomnec wy~ stępki tych chłopców od początku turnusu. Ja to mam zapisane...

- Pan ma zapisane... - zdziwił się Majeran.

- Mam taki śmieszny zwyczaj, kolego Majeran, zapisywać \yystcpki wychowanków - rzekł z wyraźną goryczą pan Struć. - To bardzo ułatwia pracę i chroni przed złudzeniami. U mnie każdy chłopiec ma konto.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział coraz bardziej zaskoczony Pan Majeran.

- Taki maleńki pomysł racjonalizatorski - wyjaśnił Struć. - Cfrce- być sprawiedliwy. I nie ulegać chwilowym nastrojom. Trudno jest być sprawiedliwym bez konta. Niestety, Łebkowski i Rzepka mają u mnie konto mocno obciążone — to mówiąc, sięgnął do swojego tajemniczego notesu. — Może panowie zechcą posłuchać:

-138-

-139-

Trzeci lipca d stacji Warzęchy Wielkie.

azd na kolonią. Łebkowski i Kzepm pijn « źnieni, w biegu wskakują do pociągu.

Piąty lipca

>kowski i Rzepka wypływają w balu na rzene.

Szósty lipca . d obuwia t stmszą kobiety
 ikowski i Rzepka malują się na czarnu y
 Buto***,-
 esie.
 tym ze wczoraj sprawa na
 i i Rzepka pływają w wezbranej rzece i
 -Zwracam nadtouwagę do pana ^ &
 yrażali, jak oni to nazywają „ubolewanie j
 Łebkowski nie wytrzymał.
 wtórzy. W tym
 - Tak, nie p
 - Styszą panowie? Za każdym ^™ Otóż właśnie to! Macie nieograniczon
 _ stmc
 Mzie co innego,
 myśmy nie
 ie chciel-j, W Łebkowski - naprawdę nie ehcie.iś- wody tóniy też nie cheiel,.. ale... - Rzepka poc,as-
 - Bo piłka wpadła.
 wrzudł, a potem udekl na drzewo. Dlatego i _ ale już jak tak daleko zaszło, to
 tam siedział, jak pan j
 - Ja me chcę skarżyć ^^ powiem. Bularski jest zawsze zy mv-rnv
 ostami, to on nam podłożył pod prześcieradła, a myśmy..
 -140-
 - A wyście go za to po gołym siedzeniu... - zasapał pan Struć. - Chłopak później musiał trzy dni jeść
 posiłki na stojąco... Nie przeczę, że Bularski jest łobuz, ale kto zabrał piłkę kolonijną nad rzekę, on
 czy wy?
 -My.
 - Właśnie. A o której to godzinie poszliście z tą piłką, można wiedzieć?
 - O pierwszej.
 - A czy wiecie, co chłopcy według rozkładu zajęć powinni robić o godzinie pierwszej?
 - Powinni jeść obiad.
 - A więc naruszyliście świadomie rozkład zajęć i regulamin. Dlaczego to zrobiliście?
 - Bo był poniedziałek.
 - Oryginalne tłumaczenie. Więc co z tego?
 - Bo w poniedziałek... - zaczął Łebkowski i ugryzł się w język.
 - W poniedziałek jest na obiad gryczana kasza - wypalił Rzepka. Pan Struć rozłożył ręce.
 - Otóż panowie widzą. Rzecz jest prosta. Łebkowski i Rzepka wyjaśnili wszystko kaszą.
 - My... my... już nigdy więcej — wykrztusił Łebkowski.
 - Już nigdy więcej — powtórzył jak echo Rzepka.
 - Znam to. Słyszę to już, dzięki Bogu, dwunasty raz - rzekł zmęczonym głosem pan Struć. Po
 każdym z dwunastu występów śpiewaliście to samo.
 - Tak, ale trzynastego występu nie będzie — rozległ się nagle uroczysty głos pana Majerana.
 Pan Waligóra i pan Struć spojrzeli na niego... Pan Struć roześmiał się i chciał coś powiedzieć, ale
 pan Majeran go uprzedził:
 - Panie kierowniku, mam małą prośbę — powiedział. — Czy mógłbym porozmawiać w cztery oczy
 z chłopcami? Tylko jedną minutę.
 Kierownik machnął ręką:
 -No, dobrze... dobrze... Zostawmy ich samych, kolego Struć. Kiedy wyszli, Majeran stanął
 naprzeciw chłopców w błękitnych koszulkach i przez chwilę przyglądał się im w milczeniu.
 - A więc widzicie, jak wygląda sytuacja - wycedził wreszcie zimno. -Jestem przez was skom-pro-
 mi-to-wa-ny. Jak nigdy w życiu. Słyszeliście na własne uszy. Pan Struć śmieje się ze mnie.
 Dlaczego? Bo wam wierzę. Czy ludzie, którzy wam wierzą, muszą być śmieszni?
 - Więc... więc pan naprawdę... naprawdę nam jeszcze wierzy — zasapał dziwnie zmieszany

Łebkowski.

- Co robić... muszę wam wierzyć — przygryzł wargi pan Majeran.

- Musi pan? - szepnął zdziwiony Rzepka.

-141-

- Wbijcie to sobie dobrze do waszych cielecych łbów - pan Majeran popatrzył na nich przenikliwie.

- Gdybym przestał wam wierzyć, nie mógłbym być wychowawcą nawet przez minutę. Ludzie muszą sobie wierzyć - powiedział dziwnie smutno. - Jeśli nie będziemy sobie wierzyć, to, moi drodzy, generalna kłapa i wysiadka... i demoralizacja. To znaczy, że nic już nie ma sensu i należy wrócić do stanu pierwotnego. Otóż, mało brakuje, a ja też będę przez was zdemoralizowany.

-Pan?

- Nauczyciel, który nie może wierzyć uczniom, jest zdemoralizowany. Nie pozostaje mu nic innego, jak kupić sobie bat i zostać treserem dzikich zwierząt w cyrku. Bat w jednej ręce, w drugiej kawałek cukru, to bardzo proste, prawda? Myślicie, że uczniowie nie mogą zdemoralizować nauczyciela? Oho, jeszcze jak mogą. Dlatego ta wasza wycieczka z panem Struciem będzie taka ważna. Koniecznie chcę, żebyście na nią poszli. Czy wiecie dlaczego? Myślicie może, że mi was żal i chcę, żebyście pobrykali po lesie? Wcale nie. Zasłużyliście aż nadto na karę. Chcę, żebyście poszli na tę wycieczkę tylko dlatego, że to jest nasza ostatnia szansa. Musicie pokazać, że można wam wierzyć i że ludzie, którzy wam wierzą, nie są śmieszni. Rozumiecie?

- Rozumiemy, proszę pana... i... - Łebkowski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Majeran przerwał mu:

- Dosyć. Zaczekajcie tu chwilę.

Kiedy wyszedł, Rzepka szepnął przestraszony do Łebkowskiego:

- Łe... Łebkowski... wiesz, mnie... mnie się zdaje, żeśmy strasznie narozrabiali... ty... ty widziałeś, jak... jak Majeran wyglądał?

- Tak... miał okropną twarz i takie oczy...

- Myślisz... myślisz, że on już jest zde... zdemoralizowany?

- Chy... chyba jeszcze nie, ale... może się zdemoralizować. On nigdy nie kłamie... i...

- Cicho... coś słyszę - przerwał mu Rzepka. - To oni... mówią coś bardzo głośno...

Nie mogli się oprzeć pokusie. Z bijącymi sercami przywarli do drzwi i nadsluchiwali. Dochodził stamtąd głos pana Majerana:

- To będzie ostatnia próba. Nie tyle dla nich, ile dla mnie, jeśli przegram, odejdę.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Przygryzli wargi.

- Niechże pan będzie poważny, kolego Majeran - usłyszeli głos kierownika.

- Odejdę w ogóle z zawodu - odparł pan Majeran.

- Widzę, że kolego Majeran nareszcie zaczyna myśleć rozsądnie. Otóż dobrze, zgadzam się na ten eksperyment - rzekł poważnie pan Struć.

Chłopcy omal nie krzyknęli z wrażenia. Tego się nie spodziewali po Struciu. Pan kierownik też się widać nie spodziewał, bo rzekł lekko zdenerwowany.

- Nie rozumiem pana, kolego Struć. Przecież jeszcze przed chwilą...

- Chodzi mi o to, żeby kolego Majeran ostatecznie przejrzał na oczy i zrozumiał, że minął się z powołaniem - mówił pan Struć. - Myślę, że trzynasty występ Łebkowskiego i Rzepki gruntownie go o tym przekona, co będzie bardzo korzystne dla sprawy wychowania, a mnie przedłuży życie - pan Struć przerwał w tym momencie. Pewnie uśmiechnął się po swojemu, z goryczą. - Nie będę musiał więcej rzucać się spocony w nurty rzeki... ja bardzo nie lubię wody - dodał po chwili. - Dla tych powodów gotów jestem poświęcić się po raz ostatni i wziąć łobuzów do lasu.

- Ha... jeśli tak... - rzekł kierownik. - Ale ostrzegam pana, kolego Majeran, ma pan mniejsze szansę niż wygranie w toto-lotka.

Ledwie podnieceni chłopcy zdążyli odskoczyć od drzwi, kiedy na werandę weszli wychowawcy.

- No więc, chłopaki - powiedział zaafierowany pan Waligóra - idziecie na wycieczkę. Przygotujcie

się.

- Dziękujemy, panie kierowniku - wykrztusili.

- Podziękujcie panu Majeranowi - uśmiechnął się blado kierownik. - Pan Majeran postawił dzisiaj na bardzo wątpliwy los. A tym losem jesteście wy.

Wypadki potoczyły się szybko i niespodziewanie.

Tegoż popołudnia, korzystając z ciszy i wolnego czasu, pan kierownik Waligóra i pan Majeran usadowili się na werandzie i zabrali do zaległej papierkowej roboty, która jeszcze bardziej niż niesforność młodzieży dawała im się we znaki.

Pan Waligóra w słomkowym kapeluszu, obstawiony butelkami wody sodowej, sprawdzał w pocie czoła stertę kolonijnych rachunków, a pan Majeran ze strutą miną przeglądał pękatą teczkę z korespondencją urzędową, kiedy nagle zagrzmiało. Pan Waligóra powiódł niespokojnym wzrokiem po widnokregu. Słońce jeszcze świeciło, ale gdzieś na południu pęczniała olbrzymia, sina chmura.

- Którą mamy godzinę? - zapytał młodszego kolegi.

- Już szósta - odparł pan Majeran.

- Pan Struć z chłopcami powinni niedługo wrócić. Chyba zdążą przed burzą.

- Myśli pan, że będzie burza? To chyba przejdzie gdzieś bokiem - powiedział pan Majeran.

-142-

-143-

Okazało się jednak, że prognozy meteorologiczne nie były silną stroną pana Majerana. Oto bowiem, jakby w odpowiedzi, zagrzmiało powtórnie. Tym razem gdzieś całkiem blisko.

- Boję się, że jednak nie ujdzie nam na sucho - zażartował pan Waligóra, wachlując się kapeluszem.

- Niech pan spojrzy, jaskółki latają coraz niżej i jest coraz bardziej duszno. Naprawdę nie udało nam się to lato. Czytał pan dzisiejszą gazetę? Rzeki znów przybierają. Podobno grozi powódź. Proszę, niech pan przeczyta.

Pan Waligóra chciał podać gazetę panu Majeranowi, ale w tej samej chwili niespodziewany podmuch wiatru wyrwał mu ją z ręki. Jednocześnie wszystkie kwity, rachunki oraz listy sfrunęły ze stołu...

Pan Majeran rzucił się za nimi i począł zbierać je na czworakach. Na próżno. Nowy poryw wiatru popędził je dalej, unosząc jednocześnie słomkowy kapelusz z głowy pana Waligóry.

Na szczęście dom kolonijny otoczony był żywopłotem z tarniny i tam wszystkie papierki, a także kapelusz pana Waligóry, zatrzymały się jak na mecie i tam też dopadli ich zdyszani wychowawcy.

- Wie pan co, kolego Majeran - zasapał kierownik, naciskając z powrotem kapelusz na łysinę - nic tu po nas. Zwijajmy lepiej sztandary... Najgorsze, że chłopców wciąż nie widać. Przemokną do suchej nitki.

- Niech pan będzie spokojny - rzekł Majeran, wpatrując się w drogę. - Pan Struć nie da się zaskoczyć... O, idaj już!

— Nie widzę... — wytrzeszczył oczy pan Waligóra. — Tfu! — zakrztusił się nagle, bo gwałtowny wiatr przyniósł z drogi duszący tuman pyłu. Jednocześnie z tyłu za nimi trzasnęło okno i rozległ się jękliwy brzęk tłuczonej szyby.

— Na miłość boską, niech pan pozamyka okna. To przecież prawdziwy cyklon!

Pan Majeran dopadł do drzwi. W drzwiach obejrzał się jeszcze i z ulgą zauważył, że razem z pierwszymi kroplami deszczu na dziedziniec wpadli zziębnięci chłopcy... Uspokojony, pobiegł zamykać okna.

Tymczasem pan kierownik Waligóra, wciąż przytrzymując oburącz kapelusz, wyszedł naprzeciw chłopców.

- No, jak tam - zapytał uśmiechnięty - udało się wycieczka?

- Wdechowo było, panie kierowniku - zasapał Pafnuc. - Nie można powiedzieć.

- Mamy witamin do końca kolonii - powiedział Trąbaczewski. - Chłopaki, pokażcie manele. Pan kierownik spróbuje — podsunęto panu Waligórze koszyki pełne świeżych jagód. Pan Waligóra skosztował jedną jagódkę i smakując, rozglądał się dokoła.

- A gdzież to pan Struć?

- A właśnie, zapomnieliśmy powiedzieć — zadyszał Pafnuc — pan Struć, jak zobaczył, że zbiera się na burzę, to kazał nam biegiem wrócić, a sam został.

- Został? - zdumiał się pan kierownik. - Jak to, został? Dlaczego?

- Nie wiem, nic nam nie mówił, tylko kazał szybko wracać.

- Nie podoba mi się to... — zaniepokoił się pan Waligóra — zaraz... czy wszyscy wrócili?

- Chyba tak... - odparł Pafnuc.

- A Łebkowski i Rzepka? - zapytał pan kierownik.

- Łebkowski i Rzepka! - ryknął Trąbaczewski. Ale nikt nie odpowiedział.

- Może poszli się przebrać - powiedział Trąbaczewski.

- Albo się myją- dodał Pafnuc.

- Trzeba sprawdzić. Poszukajcie ich zaraz.

- Tak jest, panie kierowniku - odparli chłopcy i rozbiegli się po budynku, krzycząc: - Łebkowski i Rzepka!!! Łebkowski i Rzeepka!!!

Deszcz zaczął strumieniami zalewać werandę i kierownik schronił się w kancelarii. Tam znalazł go zaniepokojony pan Majeran.

- Czy coś się stało?

- Tak, stało się - zasapał zdenerwowany kierownik. - Łebkowski i Rzepka gdzieś przepadli. Nie podoba mi się to, panie Majeran. Że ja też dałem się panu namówić.

Nim pan Majeran zdążył coś powiedzieć, powrócił zziębnięty Pafnuc.

- Panie kierowniku... nie ma ich nigdzie — zadyszał.

- Szukaliście wszędzie? - zapytał kierownik.

- Tak jest, panie kierowniku.

- A czy w ogóle widzieliście ich w drodze powrotnej?

- Wracaliśmy biegiem, w paru grupach... — odparł Pafnuc.

- Nie zwróciłem uwagi.

- Ja też ich nie widziałem, może biegli za Ćwikiem - dodał Trąbaczewski, który właśnie wpadł na werandę.

- Nie, za mną nie biegli - oświadczył Ćwik.

Zapanowała chwila denerwującej ciszy. Słychać było tylko jęk wiatru na dworze i dzwoniące rześzystych kropeł deszczu o szyby. Wreszcie kierownik jakby się ocknął.

- Wszyscy do sal - zakomenderował głośno. - Myć się i przebierać. Chłopcy nie ruszyli się z miejsca.

- Panie kierowniku... - rzekł zdławionym głosem Trąbaczewski.

- Czego jeszcze chcesz?

- Pójdziemy szukać Łebkowskiego i Rzepki nad rzeką. Całą gromadą.

-144-

-145-

- Tego jeszcze brakowało! żebyście się wszyscy pogubili! Natychmiast marsz do sali! - krzyknął pan Waligóra.

- Panie kierowniku...

- Powiedziałem „nie”. kierownik zapatrzył się Kiedy uciął tupot oddalających się chłopców, kierownik y w szyby smagane deszczem i powiedział: M

- Teraz już wiem, dlaczego Struć został. On ien szund, v Majeran przygryzł wargi. ^ierhze się pan odezwie - wy-

- No, czemu pan stoi! Czemu pan milczy? Niechże się pai cedził kierownik.

- Przepraszam, kierowniku - szepnął martwo Majera^ dzie

- Przepraszam pan! A to dobre - wybuchnął kierownik co nam p z pana przeprosin!

A potem dodał już spokojniej:

- Niech pan biegnie po peleryny, Majeran, <^ "Sy się ciężkie Ledwie jednak Majeran zrobił krok w kierunku drzwi, rozległy się

kroki na korytarzu...

- To oni... - rzekł z ulgą pan Majeran.

- No, to po zmartwieniu.

Struciem. Otworzył gwałtownie drzwi i

zderzył ** J"5^1^ Pzlepione włosy

Nieszczęsny wychowawca był przemoczony do suchej mm... kleiły mu się do czoła. W ręce trzymał jakieś zawiniątko.

"*-LL Pan sam, sS A «^X«^ S pan

- Nie ma ich... Nieszczęście... Znalazłem tylko to l y

i pokazał mokre błękitne koszulki.

- Gdzie pan je znalazł?! - wykrztusił kierownik.

prawda!

. -.^n Struć - Wołałem, nikt

- Wisały na krzakach wikliny - oddychał ciężko Sttua > ^

nie odpowiadał... ta burza... głużyła ^tk°,^^ ak ściana... ni-śladu... Szukałem wszędzie... nic nie

było ^^^^ chyba wy-gdzie nie było śladu... tylko to na wiklinach... a rzeica przy stąpi z brzegów...

zalała już pierwsze groble. -Ide'- pan Majeran skoczył do drzwi.

- Dokąd! Pan oszalał! - Waligóra i Struć rzucili się za nim.

- Puśćcie mnie, panowie, muszę pójść.

-146-

- To nie ma sensu. Nie znajdzie ich pan - powiedział Struć. - Ja szukałem dobrze.

- Muszę pójść! — zadyszał Majeran. — Czy mam siedzieć z założonymi rękoma i czekać?... Na co czekać... To zresztą moja wina.

- Wszyscy jesteśmy winni - rzekł kierownik. - Nie powinienem się zgodzić na ten idiotyczny eksperyment. Przecież wiedziałem, że pan... - nie dokończył i machnął ręką. - To pan mnie namówił, kolego Struć - wybuchnął nagle.

- Nie doceniłem tych smarkaczy - mruknął zgnębiony Struć. - Zmylili mnie. Wywiedli w pole. Cały czas byli przy mnie... spokojni jak trusie. Potem zaczęło się błyskać. Byli przy mnie najbliżej, więc kazałem im zgnać chłopców, bo rozbiegli się po lesie. I musieli skorzystać z okazji. Mamy teraz życiową lekcję, kolego Majeran.

- To już nie lekcja, to nieszczęście - powiedział kierownik. Struć otarł rękawem zmoczoną twarz.

- Niech pan przynajmniej powie, kolego Majeran... niech pan przyzna, jeśli pan uczciwy, że pan się mylił. Dlaczego pan milczy? - wykrzyknął nagle. - Niech pan powie! Niech pan powie, że zły Struć ma rację. Pan myśli, że ja nie mógłbym być łagodnym wychowawcą, że ja nim nie byłem. Byłem... póki nie trafił mi się taki wypadek jak dziś - zakaszłał, a potem dodał cicho: - Ale teraz nie powie już nikt, że Struć nie umie wychowywać. Nikt już nie powie... A kto tak powie, przegrywa jak pan, kolego Majeran. Przegrywa zawsze...

- Dosyć! - przerwał ostro kierownik. - To nie pora, żeby mówić takie rzeczy... trzeba się zastanowić, co robić... Musimy telefonować na milicję. Boże... taka kompromitacja... to już nawet nie kompromitacja. To karna sprawa.

- A jednak... wciąż nie mogę pojąć... — szepnął Majeran — patrzyłem przecież w ich oczy... widziałem, że nie kłamali.

- To nie na tym polega - rzekł gorzko Struć. - Młodzież nawet nie kłamie tak często, jak myślimy... młodzież daje tylko obietnice... Ja to panu mówiłem...

- Tak, mówił mi pan... - powtórzył martwym głosem Majeran. - „Obietnice wiatru, że nie będzie wiał... obietnice ognia, że nie sparzy...”

Jego słowa zginęły w szumie szalejącej ulewy.

IV

A jednak poszli, nie zwlekając, jeszcze raz, obaj: Struć i Majeran. Chociaż bez żadnej nadziei...

Majeran miał rację. Nie mogli siedzieć z założonymi rękami.

-147-

Pan Waligóra otulony w mokry pled - peleryny zabrali obaj wychowawcy - raz po raz wychodził na taras, wypatrywał oczy i czekał.

Na milicję nie mógł się w żaden sposób dodzwonić. Zapewne burza zerwała przewody. Pozostało więc tylko to straszne oczekiwanie. Wreszcie koło dziesiątej, kiedy ściemniło się już zupełnie, usłyszał na żwirze ścieżki chrzęst kroków i suchy kaszel.

Ruszył niecierpliwie naprzeciw.

Z mroku wynurzyły się dwie sylwetki. Tylko dwie. Struć i Majeran. Kierownik nie zadał im nawet jednego pytania. Wszystko już było tragicznie jasne. Jak człowiek martwy począł wchodzić po schodach. Zobaczył przyklepione do szyb twarze chłopców. Odwrócił się.

- Jeszcze nie śpią - powiedział do wychowawców, sam nie wiedział, po co. Chyba po to, żeby przerwać to nieznośne milczenie.

- Nic ich nie słyhać - zachrypiął Struć i ta uwaga też zabrzmiała jakoś dziwnie sztucznie.

- Tak, nic ich nie słyhać - powiedział kierownik. - Niech pan im każe iść spać... Albo nie. To nie ma już żadnego znaczenia... przypuszczam, że to nie ma już dla nas żadnego znaczenia.

- Co z telefonem? — zapytał głucho Majeran.

- Zepsuty.

- Pójdę na posterunek - powiedział słabym głosem Majeran.

- To dwanaście kilometrów...

Nagle wszyscy trzej znieruchomieli. W żywopłocie coś zachrząściło nieprzyjemnie... Usłyszeli sapanie i nagle z tarniny wynurzyła się niezgrabna postać. Otrząsnęła się jak niedźwiedź wychodzący z barłogu i ruszyła wprost na wychowawców.

- Kto to? - zawołał pan Waligóra.

- Biodruś - odpowiedział gruby głos. - Taka ćma, żem wlaźł prosto w to kłujące paskudztwo. Tyż pomysł ciernie sadzić na dróźnie, jakby mało było cierni, że tak powiem, na drodze żywota. Amen. Wychowawcy spojrzeli po sobie.

- Kto pan jest? - zapytał kierownik, patrząc na dziwne indywiduum w długim płaszczu po pięty i czarnym, oklapłym kapeluszu.

- Biodruś - odpowiedział intruz, jakby to miało wystarczyć za całą prezentację.

- Nie znamy pana — powiedział kierownik.

- Ejże... czy pan mnie nie zna, kierowniku? A kto wam przywiózł ziemniaki z pegeeru?

- Co pana tu sprowadza? - zachrypiął zdziwiony Struć.

Indywiduum chrząknęło pod nosem.

148-

- Ja... ja w sprawie tego, co się zdarzyło.

- W sprawie chłopców? - wykrztusił Majeran. - Boże. Niech pan mówi, panie... panie...

- Biodruś — podpowiedziało indywiduum. - Tak, ja w sprawie chłopców — powtórzył zakłopotany.

- Dwu chłopców z kolonii.

- Szybciej, na miłość boską! Pan wie coś o nich?

- Nie wiem, jak to powiedzieć... - rzekł Biodruś coraz bardziej zakłopotany. — Panowie, widzę, nerwowi. Ano dziwić się trudno... panowie odpowiadają... ale co robić... woda żywo!... z żywo!em to nie przelewki... a rzeka okrutna, co zabierze, nie zwraca... zrozumieć trzeba.

- Dosyć... — wykrzyknął pan kierownik.

- Oj, nerwowo tutaj... - zakaszłał Biodruś — nerwowo. Zaraz... który z panów jest panem Majeranem?

- To... ja — wysunął się do przodu pan Majeran.

- Więc to pan... nie wygląda pan groźnie - zachichotał Biodruś.

- Panie Biodruś — zasapał z oburzeniem pan Waligóra. Brakowało mu tchu. — Jeśli pan przyszedł tu żartować z wychowawców, to wybrał pan niestosowną porę.

- Ooo, surowo tutaj... surowo - pokręcił głową Biodruś - ludzie prawdę mówili.

- Proszę wyjść! - krzyknął kierownik. - Pan sobie podpiał. My nie mamy zamiaru wysłuchiwać pańskich opinii.

- Niechże mnie Bóg broni, żebyś miał pić w taką porę - podniósł ręce do góry Biodruś - chociaż

nie jestem od tego... i gdyby teraz panowie cokolwiek na rozgrzewkę, tobym się nie pogniewał, bom przemókł do kości.

- To są kpiny — zachrypiał wzburzony Struć. — Pan szydzi z naszego nieszczęścia. Czy po to pan tu przyszedł?

- Zachowaj Boże. Ja, że tak powiem, w poselstwie od chłopaków.

- Co? Co? Od kogo?

- Od chłopaków - powtórzył spokojnie Biodruś.

- Więc oni żyją?

- Do diabła, co też panowie... — skrzywił się zgorszony Biodruś — dlaczego nie mieliby żyć?

Wychowawcy zaniemówili. Słowa nie mogli wykrztusić. — Dopiero teraz pan mówi! — wykrzyknął wreszcie pan Struć do głębi wzburzony.

Biodruś popatrzył na nich ze zdumieniem.

- Zaraz... panowie... zaraz... zaczynam rozumieć, więc panowie myśleli... - roześmiał się. - Oj... nerwowo tu... nerwowo. Chłopaki mieli rację, że mnie w te pędy wysłali. Otóż mam uspokoić panów i powiedzieć, żeby się panowie

-149-

wychowawcy nie trafil bo... zaraz, choroba, ja to mam zapisane - wyciągnął z zanadru kartkę, odsunął daleko od oczu i odczytał powoli: - „...bo nie było trzynastego występku”. Tak właśnie kazali powiedzieć: „trzynastego występku”, osobliwie panu Majeranowi. Nie bardzo się na tym wyznają, ale to miałem powiedzieć i zaświadczyć urzędowo... Bez tego baliby się wrócić... To tyle od nich, a od wsi... to ja, panowie, przyszedłem uściskać dłoń... i podziękować jako wychowawcom... Jutro rano, jak się ze wszystkim uspokoi, przyjdą tutaj przewodniczący Buras i sekretarz Oliwa, a prezes kaeru Pędzik też przyjdzie... Już by dzisiaj przyszedł, ale się suszy, a galanto chce przyjść i też uściskać dłoń, więc na razie to niech Biodruś uściśnie i podziękuje.

- Za co? - wyszeptał osłupiały kierownik.

- No, za chłopaków, że nieszczęście od nas odsunęli.

- Jakie nieszczęście?

- Że nas nie zalało, panowie. Że nas nie zalało.

- A cóż oni takiego zrobili?

- Zaraz opowiem... Więc, proszę panów, to było tak: wysoka fala niespodziewanie na wał uderzyła... Oni byli akurat w lesie koło wału. Patrzą, jeszcze nie pada, a pod nogi struga im jakaś płynię. Bystre chłopaki od razu zrozumieli, co się święci. Biegną na wał. A tam zrobiła się mała wyrwa i woda cieknie. Więc zrzucili koszule, bo bali się je zabrudzić, jako że tu surowo, panowie, oj, surowo, i dalej kamieniami i darnią zatykać. Rozebrali kopiec graniczny z kamieni i w trymiga dziurę zatkali. A potem co tchu pobiegli do wsi alarmować...

- Rozumiem... - szepnął pan Struć - musieli w zdenerwowaniu zapomnieć o tych koszulach, ale swoją drogą powinni mnie uprzedzić, zanim pobiegli.

- Oj, dobrze, że nie tracili czasu... woda wali, podmywa, wyrwa co sekundę się powiększa. Za parę minut to i ratować nie ma co. A tak przybiegliśmy z siekierami i łopatami, umocniliśmy wszystkie słabe miejsca. Osobliwie koło mostu, dwa kilometry w górę rzeki. Chłopaki nie chcieli wracać na kolonię „bez usprawiedliwienia”, jak powiadali, bo bali się, że nikt im nie uwierzy i będą ich posądzać o trzynasty występku. Myśmy też woleli ich nie puszczać w taką burzę, bo do kolonii daleko i mogliby zabłądzić w tej ulewie i zaćmie. Więc trzymaliśmy ich przy sobie i nie powiem... dużo nam pomogli.

- A więc to dlatego ich nie znaleźliśmy - uśmiechnął się pan Majeran. - Oni pracowali z wami w górnym biegu rzeki... a myśmy, mój Boże, szukali ciał raczej w biegu dolnym. Myśleliśmy, że ich zniosło w dół.

- Tak to chyba było - powiedział Biodruś i spojrzał zdziwiony na pana Majerana. - Co panu... czemu pan tak zbladł?

- Nie... nic... już nic... - pan Majeran otarł czoło chusteczką i uśmiechnął się słabo.

-150-

- Jest to rodzaj osłupienia pedagogicznego - zażartował pan Waligóra.
- Nie rozumiem... - powiedział Biodruś.
- Nie szkodzi - szepnęła Majeran. - Panie Biodruś, czy można pana uściskać? - rzekł niespodziewanie i nie czekając na pozwolenie, serdecznie uściśnął Biodrusia.
- Ależ co znowu, panie wychowawco, co pan... - wyrwał się przerażony chłopina. - Nie jestem panną na wydaniu, jestem chłopem z wąsami. Niech mnie pan puści... Panie kierowniku, co ten pan tu wyprawia ze mną!
- Niech pan wybaczy panu Majeranowi — roześmiał się kierownik — widzi pan, panie Biodruś, tu się rozgrywało coś, hm... w rodzaju biegu pedagogicznego z przeszkodami.
- Biegu peda... gicznego? — wytrzeszczył oczy Biodruś. — Niech mnie kule biją, jeśli coś rozumiem.
- Tak jest — powiedział pan Struć i uściśnął rękę pana Majerana. — Wygrał pan, kolego... Jeden zero dla pana. A swoją drogą nie spodziewałem się. Niesamowite chłopaki. No, miał pan nosa. Gratuluję. I niech pan nie ma żalu do złego Strucia.
- Skądże... nie mam prawa - westchnął pan Majeran. - Ja też już przecież zwątpiłem.
- No... no... cóż znowu, kolego Majeran - kierownik poklepał serdecznie pana Majerana po wystających łopatkach. - Pan jest zbyt skromny. Ale niech pan mi powie, panie Biodruś, dlaczego pan od razu nie przyprowadził z sobą tych bohaterów?
- Dlaczego? Chłopaki przemokli przecież do suchej nitki... pod kocami siedzą, biedule. A właśnie... byłbym zapomniiał, jeśli są jakieś suche ubrania...
- Panie Majeran, niech pan biegnie do magazynu po ciepłe swetry i dresy służbowe — powiedział kierownik.
- Chodźmy, panie Biodruś... - rzekł wesoło Majeran - co z pana za człowiek, mógł pan od razu powiedzieć... My tu się wzruszamy... a oni tam czekają... Niech no pan się ruszy...
- Zaraz... pomału... - zasapał Biodruś. - Biegi peda... giczne już się przecież skończyły... - zażartował - oj, nerwowo tu, słowo daję nerwowo, panowie.

Kiedy wreszcie, mrucząc pod nosem, wyszedł za panem Majeranem, pan Struć zapatrzył się w ciemne okno.

- Co pan tak się zamyślił, kolego? - zapytał kierownik.
- Diabelny szczęściarz z tego Majerana... - powiedział cicho, jakby do siebie, pan Struć.
- Sądzi pan?

151-

: 2?L

„w« w

miecM * b,ado pan Sn* - Mus* przecież o<ino-czarne, k*d» ten trzynasty wystepel.

-152-

Równy chłopak i Rezus

>iedy przeszedłem do ósmej B z powszechniaka, przez długi czas w nowej budzie byłem fąflem i figusem, czyli zerem, a moja biegłość w matematyce i nabrzmiałe bohaterskimi uczuciami wypracowania na tematy dowolne pograżyły mnie zupełnie. Stwierdzono w dodatku, że kłaniam się na ulicy znajomym koleżankom, mam czyste paznokcie i myję się od czasu do czasu dość gruntownie, nie palę i nie stosuję lewych prostych, by udowodnić swoją rację- i nie było już dla mnie ratunku. Byłem nierówny. W tym cała rzecz. Nie ma pozycji neutralnych. Jeśli nie jesteś równy —jesteś nierówny, a więc godny bicia. Więc też mi się dostawało. Płatano mi różne kawały, szczególnie na gimnastyce. Gimnastyka jest zawsze lekcją równych. Podkładano mi nogi, gdy biegłem do skoku przez konia, smarowano mi drabinki tłuszczem, a ja, nie mając „chwytu", zwiisałem bezradnie jak ciele, budząc zdrową wesołość kolegów.

Poza tym w wolnych chwilach z poświęceniem zakładano mi nelsona, robiono mi syfony i ścinki oraz dawano sera. A ja wciąż byłem nierówny i nawet w czasie mąk sera zastanawiałem się, czy słowo to pochodzi od sera, jako że ser się tłoczy, gdyż ja byłem tłoczony, czy też od serrare, co znaczy po łacinie ściskać, gdyż ja byłem ściskany.

Po dwu miesiącach takich zabiegów doszedłem wreszcie do wniosku, że być nierównym to dosyć przykre, a nie mając żadnych uzdolnień w kierunku męczeństwa, postanowiłem spróbować być równym.

Ułożyłem sobie słownik mowy, gdyż mowa była bardzo ważna i gdzieś słyszałem, że na początku było słowo. Przez kilka dni w wolnych chwilach wkuwałem więc arkana mowy, a zwłaszcza mocne zwroty, by w niczym nie być dłużnym.

-153-

ten się więc na boks do 'Leg u każdemu fąflowi nanosie' na d
uhcą,
się zapisałem. sobie osmalonego
Profesor Rzeziński, zwany ł to **

robi! wrażenie.

źba. Starsi

órki. Innego

-154-

jego lekcji najmniejszej draki. Stuliliśmy uszy i wkuwaliśmy potulnie. Rzecz jasna, była to wielka plama na naszym uczniowskim honorze, ale nie można było inaczej.

Dlatego moja szalona myśl, żeby ruszyć Rezusa, wywołała ogromne wrażenie wśród kolegów. Ruszyć Rezusa to było prawie tak, jak ruszyć słońce.

Ustaliłem datę draki na poniedziałek. Na początku postanowiłem wypuścić próbny balon. W poniedziałek przed lekcją matematyki napisałem na tablicy wielkimi jak wół literami „REZUS”. Z biciem serca czekaliśmy, co będzie...

Lecz stała się rzecz dziwna. Rezus wszedł. Spojrzał...

- To ja - powiedział po prostu i zadowolony, przedziwnie zadowolony, zabrał się do lekcji, jak gdyby nigdy nic.

Tylko jeden woźny Plesiński, kiedy zobaczył napis, oniemiał ze zgrozy i powiedział:

- Czterdzieści roczników nie zmoгло pana profesora Rzezińskiego, ale wy go zmożecie... Czy nie widzicie, że on jest chory?

Ale my nie widzieliśmy. W ogóle nie mogliśmy sobie wyobrazić, żeby Rezus mógł być chory.

Po tej oczywistej klapie byłem głęboko upokorzony. Równi szydzili ze mnie. Byłbym dał za wygraną, gdyby nie klasówka. Za kilka dni, w piątek, miała być decydująca klasówka. Padł na nas błady strach. Baliśmy się słabych stopni. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Podpadlibyśmy Rezusowi i zostalibyśmy wydani na męki przez resztę roku, póki nie wypocilibyśmy tych koniecznych czwórek i piątek. Wtedy Ciałko, najtęższa głowa naszej klasy i przywódca równych, pierwszy podszedł do mnie i powiedział:

- Ty, Puzon, masz zagrywki nie z tej ziemi. Musimy się ratować. Pomyślałem, że ty nas możesz uratować.

- Ja? A dajże ty mi spokój. Ciałko uśmiechnął się.

- Ty, Puzon - powtórzył - masz zagrania nie z tej ziemi, ale, bracie, jeśli chcesz być równym, zrobisz dla nas jedną rzecz.

-Co?

- Trzeba podwędzić Rezusowi tematy do klasówki.

- Oszalałeś! — wykrzyknąłem.

Ale Ciałko ciągnął dalej z zimnym uśmiechem. Widać było, że sobie wszystko już obmyślił.

- Czy widziałeś brulion w czerwonej, plastikowej okładce, który Rezus nosi z sobą? Tam są tematy.

Chłopaki z dziewiątej mówią, że on opracowuje temat klasówki na tydzień naprzód i zapisuje go w tym brulionie. Więc to znaczy, że nasz temat powinien już tam być. Trzeba zajrzeć do brulionu i prze-

-155-

ać... Rezus w czwartki chodzi do filharmonii. Poszedłbyś w czwartek do >go i załatwił... pod jego nieobecność.

Milczałem długo, wstrząśnięty, i przetykałem ślinę przez zdławione gar-3. To była wielka draka. Wiedziałem, że gdy się uda, zostaną na zawsze rów-rrn i sława mojego imienia nie zgaśnie do końca naszej budy.

- Ale... ale gdzie on mieszka?

- Dowiem się - rzekł Ciałko.

Okazało się, że zdobycie adresu Rezusa nie jest wcale proste, Ciałko dowiadywał się u starszych kumpli ze szkoły, ale nikt nie wiedział, gdzie Rezus mieszka. Nawet to nas zdziwiło, ale nie mieliśmy czasu zastanawiać się nad tym fenomenem. Dopytywaliśmy się dalej, ale na nic. Wreszcie trzeba było loszyć się biurem adresowym. Dopiero w czwartek Ciałko wręczył mi adres klucz.

- On mieszka w mieszkaniu zagęszczonym - powiedział - zajmuje tam jeden pokój. Z klatki schodowej dostaniesz się łatwo. Otworzą ci inni lokatorzy, a drzwi do pokoju otworzy ci to - podał mi klucz.

- Skąd go masz? - wykrztusiłem.

- Widziałem raz... jak Rezus wyjmował z kieszeni taki klucz. To jest zupełnie zwyczajny klucz. Taki sam był w naszym domu. Więc przyniosłem.

Umówiliśmy się, że pójdziemy razem. Ciałko z kolegami będzie czekać pod domem Rezusa, a ja wejdę sam i jeśli wszystko będzie w porządku, dam im znak: trzy razy odsłonię firankę. A jeśli wpadnę — jeden raz.

Punktualnie o godzinie siódmej wieczorem przybyliśmy pod dom Rezusa. Była to samotna czteropiętrowa kamienica, zbudowana w stylu corbusierow-skim, zapewne bardzo nowoczesna i elegancka przed wojną, ale teraz porządnie podniszczona, o ścianach poharatanych przez kule. Otaczały ją ruiny i jakieś zaniedbane ogrody, tak typowe dla tych stron Mokotowa.

Wszyscy byliśmy bardzo podnieceni. Ciałko nerwowo rozglądał się dookoła. Zdawało nam się, że wszyscy wiemy, kim jesteśmy i po co przyszliśmy w to miejsce. Patrzyliśmy w okna pierwszego piętra. Jedne były ciemne, inne oświetlone. Ale nie mogliśmy się zorientować, które z nich należą do pokoju

Rezusa.

- Nie bój się! - mruknął niepewnie Ciałko. - Rezus na pewno jest już na koncercie. Wał śmiało.

Wzruszyłem ramionami, poklepałem go uspokajająco po plecach, uśmiechnąłem się nonszalancko i bez słowa skierowałem się ku bramie.

- Czekaaj - rzekł zadyszczonym głosem Ciałko - kupimy ci papierosów.

Obróciłem się do nich.

- To zbędne - odparłem z zimnym uśmiechem, który zrobił na nich wielkie wrażenie, i spokojnym, niedbałym krokiem wszedłem do bramy. Na schodach

-156-

rozpiąłem płaszcz. Zrobiło mi się gorąco. Otarłem odruchowo czoło. Było mokre od potu.

Opanował mnie strach. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie jasno, na co się odważyłem. W pierwszym momencie chciałem zawrócić. Zbiegłem nawet kilka schodków w dół, ale wtedy ogarnął mnie z kolei drugi lęk. Przed kompromitacją w oczach paczki. Nie, nie mógłbym takiego upokorzenia znieść.

Ciężkim krokiem, jak skazaniec, począłem się wspinać na górę. Boże, jak trudno jest być równym. Stałem przed drzwiami oznaczonymi numerem 3. To tutaj. Na drzwiach ujrzałem szereg wizytówek, jedna pod drugą. Przy każdej było napisane, ile razy dzwonić do danego lokatora wspólnego mieszkania.

Przyjrzałem się lepiej źle oświetlonym wizytówkom. Było ich pięć:

1) Mosiężna, solidna wizytówka, jak szyld: Dr praw Walenty Kubej - dzwonić trzy razy...

2) Elegancka, kartonowa wizytówka: Matylda Nogajec - dzwonić dwa razy.

3) Ekscentryczna, kolorowa wizytówka w kształcie serca: Eugeniusz Żytko, aktor - dzwonić jeden

raz, przyjmuje tylko w godz. 11-12 (z wyjątkiem sobót). Piękne panie zawsze.

4) U. B. Kotowscy - dzwonić cztery razy (zwyczajna wizytówka, zrobiona z papieru listowego).

5) Wizytówka normalna, ale bardzo stara i pożółkła, a na niej wypisane czerwonym niegdyś, obecnie przyciemniałym, podobnym do starej krwi atramentem. Jan Rzeziński — nauczyciel. Tylko tyle. Ile razy dzwonić, nie podano.

Ta okoliczność wydała mi się nadzwyczaj korzystna. No, bo w tej sytuacji byłem upoważniony do dzwonienia, tak jak chciałem, obojętnie, jaką ilość razy, i nikt nie mógł się na mnie gniewać.

Zadzwoiłem więc po prostu i zwyczajnie jeden raz.

Otworzył mi osobnik gładko wygolony, łysy i pachnący, w jedwabnym, eleganckim szlafroku, jak należało mniemać, pan Eugeniusz Żytko. Spojrzał na mnie, jak mi się zdawało, z głębokim rozczarowaniem, co było zrozumiałe w świetle anonsu na wizytówce, jako że nie byłem piękną panią.

- Cóż to znaczy, młody człowieku - rzekł do mnie z pretensją - czy nie czytał pan, co jest napisane na drzwiach?

- Bardzo mi przykro - odparłem - lecz przyszedłem do profesora Rzezińskiego, a na jego wizytówce nie podano, ile razy dzwonić. Zadzwoiłem więc do pana.

- Ale dlaczego do mnie?

- Widziałem pana na scenie - wykrztusiłem - grał pan tam... tam... szlachetnego rycerza.

-157

- Szlachetnego rycerza - zmarszczył czarne brwi Eugeniusz Żytko - nie przypominam sobie.

- Grał pan tam szlachetnego rycerza - brnąłem z determinacją - i od tej chwili nie jest pan... nie jest pan dla mnie obcym człowiekiem, więc ośmieliłem się zadzwonić...

Aktor spojrzał na mnie łaskawiej.

- No, dobrze, ale to dziwne - powiedział.

- Dlaczego dziwne?

- Że pan do Rzezińskiego...

Wpuścił mnie na korytarz. Po jednej i po drugiej stronie otwierały się drzwi i wyglądały z nich zaciekawione głowy współlokatorów.

Widok pana Eugeniusza Żytko prowadzącego młodego chłopaka musiał się im wydawać dziwny, bo wyszli do przedpokoju i przyglądali nam się ciekawie, z jakimiś uśmiezkami nie bardzo życzliwymi.

- Ten młody człowiek to do Rzezińskiego - rzekł głośno aktor, jakby chciał od razu wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

- Do Rzezińskiego - powtórzyła kobieta o przeraźliwie jasnych włosach i przeraźliwie czerwonych ustach, zapewne pani Matylda Nogajec. - Pan jest jego kuzynem? - zapytała ciekawie.

- Nie, proszę pani, uczniem.

- Uczeń do Rzezińskiego - rozległy się szept. Wszystkich jakoś dziwnie podnieciła ta wiadomość.

Matylda Nogajec zaraz podbiegła do sąsiednich drzwi, gdzie stali jacyś ludzie w otoczeniu gromadki dzieci, zapewne U. B. Kotowscy, i patrząc na mnie, mówiła coś do nich z ożywieniem, a potem U. B. Kotowscy do niej. I zaraz podszedł do mnie jakiś pan w rogowych okularach i pańskiej bonżurce, zapewne dr praw Walenty Kubej, i przyjrzał mi się z bliska, zdejmując okulary, a potem zaczął szeptać poufnie z panem Eugeniuszem Żytko. A dzieci U. B. Kotowskich szły za mną z otwartymi ustami i wiedziałem już, że odprowadzą mnie do samych drzwi profesora.

- To tam, w końcu przedpokoju - powiedziała dziewczynka o białych oczach i zaczęła podskakiwać na jednej nodze.

- To tam, w końcu przed-po-ko-ju - wyrecytował jej mniejszy brat. Wciąż szli za mną. A starsi patrzyli ciekawie.

Oblało mnie gorąco. Zrozumiałem, że wszystko na nic. Zupełna kłapa. Nie mogę przecież na oczach tych okropnych ludzi otworzyć kluczem drzwi profesora. Cały plan spalił na panewce. Poza tym przeraziło mnie jeszcze jedno. Dlaczego nikt z tych wścibskich współlokatorów nie powiedział,

że profesora nie ma w domu? Czyżby wbrew naszym przypuszczeniom nie poszedł na koncert? Co za pech!

- 158-

Postanowiłem wycofać się czym prędzej, zawróciłem gwałtownie i rzuciłem się w kierunku drzwi wyjściowych.

- To ja przyjdę innym razem - wykrztusiłem zadyszany.

Ale oni widać wzięli moje nagłe spłoszenie za objaw nieśmiałości, bo zaprotestowali gwałtownie.

- Gdzie pan chce uciekać, młody człowieku? — zaśmiał się Eugeniusz Żytko. - Profesor przecież czeka na pana.

- Czeką na mnie? - wyjąkałem i chciałem przedrzeć się przez kordon lokatorów, naprawdę już przerażony, ale aktor wziął mnie pod rękę i zaczął prowadzić pod drzwi profesora.

- Profesor czeka na pana - powtórzył - teraz już rozumiemy, dlaczego dziś nie poszedł na swój czwartkowy koncert.

Zglupiałem, zupełnie oszołomiony tą wiadomością, i temu oszołomieniu prawdopodobnie należy przypisać fakt, iż dałem się potulnie jak cielę podprowadzić pod same drzwi profesora.

- No i mają państwo dzisiejszą młodzież - uśmiechnął się za okularami dr praw Walenty Kubej - co za nieśmiałość. Jakie to nerwowe pokolenie.

Tymczasem pani Matylda Nogajec już zastukała do pokoju Rezusa i nie czekając na odpowiedź, uchyliła drzwi:

- Ma pan tego swojego gościa, sąsiedzie Rzeziński - powiedziała i dosyć energicznie, jak na niewiaścę, wepchnęła mnie do środka.

Stałem przy drzwiach ogłupiały i niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Musiałem być zdrowo przerażony, skoro w pierwszej chwili zdawało mi się, że Rezus siedzi na antycznym trójnogu z kutego żelaza, podobnym do tego, jakim w Delfach siadywała Pytia.

Widziałem kiedyś taki na ilustracji. Ale to było złudzenie. Postać, którą brałem za Rezusa, była po prostu popiersiem Ar-chimedesesa stojącym przed lampą z abażurem, a trójnóg - podstawą tejże lampy-

Pomału oczy moje przyzwyczyły się do półmroku i zacząłem rozpoznawać dalsze szczegóły pokoju. Było to duże locum zastawione meblami podobnymi do tych, jakie widziałem w Muzeum Narodowym. Trzy jego ściany aż po sufit zajęte były przez półki z książkami. Czwarta - wygięta półkolistą - tworzyła rodzaj wnęki, oddzielonej od reszty pomieszczenia na pół zasuniętą kotarą, spoza której wyglądało coś, co przypominało równie dobrze maleńką kuchenkę jak laboratorium - i, jak się zdaje, pełniło jedną i drugą funkcję.

Lecz gdzież jest profesor? Na próżno się rozglądałem. Dopiero gdy usłyszałem jego głos, dostrzegłem za kręgiem światła lampy, w cieniu starego filodendrona, drobną postać, leżącą na szezlongu i szczelnie owiniętą w pled jak mumia.

-159-

- Kto to? - zapytał, nie odwracając głowy, słabym, zmęczonym głosem, zupełnie niepodobnym do tego, jaki znałem ze szkoły.

- Męczyk — odpowiedziałem.

- Męczyk? - powtórzył, jakby wciąż jeszcze nierozbudzony ze snu.

- Uczeń pana profesora.

- Mój uczeń? - Rezus odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Z klasy ósmej B - dodałem. Rezus uniósł się na poduszkach.

- Czekaj no, to ty jesteś tym ananasem, który na lekcji pani Krawczykowej udawał trupa?

- Tak, to ja.

- To ty na przerwach uprawiasz dzudo?

- To ja - przyznałem błdy.

- A zatem jesteś Puzonem we własnej osobie - ożywił się, jakby nie wiadomo dlaczego ucieszony.

- Tak, to ja jestem Puzonem - odparłem z całą godnością, na którą się mogłem zdobyć w tym

momencie, choć czułem, że zimny pot spływa mi po plecach. Nie ma szans. Przepadłem z kretesem. Co za fenomenalna pamięć. Zapamiętał wszystko. No, teraz mnie robi na szaro. Odruchowo spojrziałem na wielką kątownicę kreślarską wiszącą nad posłaniem, tam gdzie dawniej szlachta wieszła strzelby i miecze.

- No, to przybliź się, niegodziwcze, niechże ci się przypatrzę - powiedział Rezus.

Zawahałem się.

- No, śmiało! - uniósł abażur lampy.

Ruszyłem ze ścierniętą skórą, gotów w każdej chwili wziąć nogi za pas. Nie spuszczałem z oczu trójkątnej twarzy Rezusa. Z bliska, w żółtym świetle, wydawała się bardzo stara i pomarszczona. Patrzyłem na wyostrzone rysy profesora, na jego oczy przygasłe i zapadnięte i po raz pierwszy pomyślałem: n i e jest wieczny ani niezniszczalny. Jest śmiertelny... jak mój dziadek, który umarł na wiosnę, jak wszyscy. Dziwne, że dotąd nie zwróciłem na to uwagi.

A potem zaraz pomyślałem z ulgą, że jeśli Rezus jest chory, to nie będzie tej klasówki, a ja nie będę musiał wysilać się na „akcję”.

Postanowiłem się upewnić i przezwyciężając nieśmiałość, zapytałem cicho:

- Pan profesor jest chory?

- Tak jakby, mój chłopcze - odrzekł słabym głosem - dlatego mnie zastałeś. Zapewne nie wiedziałeś, że w czwartki już od lat chodzę do filharmonii. Ale dzisiaj poczułem się gorzej...

- 160 -

Przypomniałem sobie, co mówił woźny Plesiński, i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Czyżbyśmy naprawdę zmogli wielkiego Rezusa?

- Ale... ale to chyba nie z naszego powodu pan profesor poczuł się gorzej? - zapytałem niespokojnie.

- Oczywiście, że nie - Rezus patrzył na mnie uważnie. - Jesteście zbyt zarozumiali. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Woźny Plesiński... - zacząłem i zmieszany ugryzłem się w język.

- Cóż on wam napłócił takiego? - zainteresował się Rezus.

- Powiedział... - chrząknąłem - powiedział, że... że czterdzieści roczników nie zmogło pana profesora, ale my... my...

- Ale wy dacie mi radę - roześmiał się profesor. - Nie wierz Plesińskiemu. To nie dlatego - spoważniał i rzekł cicho: - Biedny, poczciwy Plesiński nie rozumie, że rzeka musi dopłynąć do morza. Omnia flumina mare petunt... A że to się dzieje za waszej szkolnej „kadencji”, to już tylko przypadek... to już tylko przypadek, mój chłopcze. Nie mamy przecież do siebie żadnych pretensji. Jesteście zawsze spokojni na moich lekcjach...

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Czyżby zapomniał o tym rysunku na tablicy? Czy też udaje tylko, żeby zmylić moją czujność, a za chwilę dobierze mi się do skóry. Więc żeby się upewnić, zapytałem:

- To... pan profesor się nie gniewa za to na tablicy?

- Skądże. Przecież wiem, że wszyscy mnie tak nazywają. Zresztą ja wiem, dlaczego ty tak napisałeś.

- Pan profesor wie, że to ja? — zdrętwiałem.

- Domyśliłem się tego łatwo. I wiem, że nie napisałeś tego po to, żeby mi dokuczyć.

- Pan profesor wie?

Skinał głową, a ja zmieszałem się jeszcze bardziej. Zauważył to i szybko zmienił temat.

- No, jak tam - zapytał - boicie się tej pierwszej klasówki?

- Tak, panie profesorze - odparłem.

- Niepotrzebnie - powiedział. — Przygotowałem dla was bardzo przyjemne zadanko... maleńkie, przyjemne zadanko.

Słyszałem cokolwiek o „maleńkich, przyjemnych zadankach” Rezusa i dreszcz mnie przeszedł. Oprzytomniałem.

- To... pan profesor przyjdzie jutro do szkoły? - zapytałem.

- Będę musiał, przyjacielu — westchnął - nie jestem jeszcze zupełnie zmożony - dodał z

uśmiechem. - Czy bardzo cię to martwi?

- Nie... skąd - zaprzeczyłem pośpiesznie i niezupełnie szczerze. Z wnętrza rozległo się głośnie bulgotanie.

-161-

- Pewnie woda się już gotuje - rzekł profesor. - Mam do ciebie prośbę. Idź do laboratorium, wyłącz kuchenkę i wlej nieco wrzątku do czajniczka. Tam iż wszystko przygotowane. Napijemy się dobrej, gorącej herbaty, bo tutaj imno jak w psiarni. Nie palą jeszcze. Czujesz chyba? — Rezus rozcierał chude

łonie.

Byłem co prawda zlany potem i czułem się jak w rzymskiej łaźni, ale kinałem głową i skwapliwie wsunąłem się do wnętrza. Wyłączyłem kuchenkę, lalałem wrzątku do czajniczka i rozejrzałem się ciekawie dookoła. Nagle serce nabiło mi gwałtownie. Na półce, pod oknem, na samym wierzchu, jakby już przygotowany na jutro, leżał dobrze mi znany zeszyt. Poznałem go od razu po czerwonej plastikowej okładce. Nachyliłem się i odczytałem napis: „Klasa VIII B”. To ten, nie może być wątpliwości. Tu są schowane „maleńkie, przyjemne zadanka”, od których uczniom puchły głowy. Tu jest nasz jutrzejszy temat i rozwiązanie. Nie namyślając się, wyciągnąłem z kieszeni notes i ołówek. Już miałem sięgnąć po zeszyt... ale w ostatniej chwili opanowałem się.

Nie, jeszcze nie teraz. Jestem szalony. Odszukanie i przepisanie nawet najprostszego tematu zajmie mi parę minut. Rezus może mnie nakryć. Później przepiszę. Jak wrócę po herbatę. Szukanie szklanek, łyżeczek, cukru, rozlewanie esencji, napełnianie szklanek - wszystko to wymaga czasu i moja dłuższa nieobecność nie wyda się podejrzana.

Na ulicy rozległ się umówiony gwizd. Parę taktów marszu z „Mostu na rzece Kwai”. Odśloniłem trzy razy firankę na znak, że wszystko w porządku. Przestali gwizdać, a ja pośpiesznie wróciłem do profesora.

- Załatwione, panie profesorze - powiedziałem - za chwilę herbata będzie gotowa.

- Dziękuję ci, drogi chłopcze - Rezus przyglądał mi się z uśmiechem. -

Chociaż właściwie to dziwne — rzekł wolno, jakby do siebie.

- Co? - wykrztusiłem przestraszony. Czyżby mnie przejrzał?

- Dziwne, że mnie odwiedziłeś. Od początku o tym myślę... Co tu dużo gadać. Jestem zaskoczony - powiedział - nie będę tego ukrywać, jestem zaskoczony.

- Dlaczego - wymamrotałem - przecież... przecież pan jest naszym nauczycielem... i kiedy Plesiński - kłamałem na całego - kiedy woźny Plesiński powiedział, że pan jest niezdrowszy... no to...

- Może masz rację... - szepnął Rezus - to chyba zupełnie naturalne... że uczniowie odwiedzają swoich nauczycieli. Tylko że ja... wybac mi... to dlatego... że ja nie spodziewałem się... zapewne źle was sądziłem... bo, widzisz, ja już uczę czterdzieści lat... miałem czterdzieści roczników, w pięciu klasach po czterdziestu wisusów, to jest cała armia... Pamiętam ich doskonale, poznałbym chyba każdego, ale nigdy żaden z nich...

-162-

Umilkł, chwilę leżał nieruchomo z oczami wbitymi w sufit, a potem podjął znowu:

- Owszem, przychodzili do mnie rodzice uczniów i mówili: „Pan świetnie przygotował syna do matury”. Na zakończenie roku dostawałem kwiaty. Obcy ludzie pisali o mnie: „To doskonały nauczyciel”. Otrzymywałem odznaczenia i honorowe dyplomy. Ale nigdy z żadnym z moich uczniów nie rozmawiałem jak z tobą. Nigdy nie przyszedł tu... tak po prostu... bez żadnej sprawy, jak ty...

Oblałem się rumieńcem.

- Panie profesorze - zaprotestowałem - niech pan tak nie mówi, na pewno tak nie było...

- Nie... nie... nie upiększajmy rzeczywistości, mój chłopcze, nie trzeba nigdy upiększać rzeczywistości. Tak było. Dla moich uczniów byłem tylko Re-zusem... Z pewnością to nie ich wina... z pewnością. Nie oskarżam nikogo, żadnego z nich.

- Pan się myli - powiedziałem szybko, żeby przerwać tę rozmowę - wszyscy pana szanują.

Najbardziej szanują i cenią ze wszystkich nauczycieli. I oceniają to, co pan profesor im dał.

- Zapewne... zapewne - powiedział z jakimś gorzkim uśmiechem - oceniają. Za dwadzieścia... za dziesięć lat. Kiedy już są konstruktorami, profesorami, artystami... Ale to kawał czasu te dziesięć lat. Widzisz, za dziesięć lat potrafią ocenić, ale już nie pamiętają. Co zostaje w ich pamięci o nauczycielach po dziesięciu latach? Strzępy. Zamglone obrazy. Mówiłem sobie: to mi wystarczy, że mój uczeń jest konstruktorem okrętu, że zbudował fabrykę dla Indii czy koksownię w Nowej Hucie. Że wykłada na politechnice i jest członkiem Akademii Nauk, że jako znany pisarz nie robi błędów w swojej książce, gdy chodzi o pojęcia z fizyki, i że nauczyłem go myśleć logicznie na tych okropnych lekcjach matematyki, których tak nienawidził. Ale to nie wystarcza. To nie cieszy tak jak żywy głos, uśmiech i serce takich jak ty chłopaków, kiedy jeszcze są w szkole. Zawsze mi tego brakowało. Bo, widzisz, jeśli ci powiedzą: „Ten nauczyciel jest oschły i surowy”, nie wierz. Nie ma oschłych nauczycieli. Są tylko smutni, są chorzy nauczyciele, są nauczyciele zakłopotani i bezradni albo po prostu nieszczęśliwi nauczyciele — urwał i zapatrzył się w ciemny kąt pokoju.

- Po co, dlaczego pan mi to mówi? — rzekłem zażenowany i niespokojny. Rezus obrócił się i wziął mnie za rękę.

- Bo przyszedłeś. I wiem, że mnie zrozumiesz. Bo my do siebie jesteśmy podobni, Puzon. Obserwowałem cię od początku roku. Byłeś dobrym, trochę nieśmiałym chłopakiem, tylko jak ja postanowiłeś raz udawać innego, niż jesteś. Ja też kiedyś popełniłem ten błąd. Było to bardzo dawno. Czterdzieści lat temu, kiedy zaczynałem uczyć. Stałem wtedy bezradny przed silną, rozhukaną

-163

klasą, jak niewprawy żeglarz przed groźnym żywiołem. Byłem mały i śmieszny, miałem stare i wytarte ubranie i bałem się klasy. Dlatego udawałem, że jestem bardzo surowy. Kiedy nauczyciel jest bezradny, wtedy często udaje, że jest surowy. Ja musiałem wyjątkowo dobrze udawać, skoro wszyscy uwierzyli. Wtedy po raz pierwszy nazwano mnie Rezusem. Potem nie byłem już ostry. Od czterdziestu lat nie jestem już ostry, ale wciąż idzie za mną fama jak cień, którego nie sposób się pozbyć. A to przecież kłamstwo. Zastanów się i powiedz, czy byłem dla was ostry?

Jego blade oczy wpatrywały się we mnie z napięciem, jakby czekając na wyrok.

Spuściłem głowę. Ależ tak, oczywiście. To jakaś straszna pomyłka. Dopiero teraz uświadomiłem sobie z całą wyrazistością, że Rezus nie był właściwie ostry. Nie mieliśmy z nim nigdy żadnych zatargów. Nie podnosił głosu. Nie wyrzucał za drzwi, uśmiechał się nawet często jakimś swoim smutnym, dalekim, rezusowskim uśmiechem. Ale myśmy się bali. Nawet tego uśmiechu. Dziwne. Dlaczegośmy się bali?

- Tak - odparłem - pan profesor nie był ostry.

- Widzisz - ściszył głos Rezus, jakby mi się zwierzał poufnie. - Ja to już dawno chciałem wam powiedzieć... oznajmić wam oficjalnie, że nie jestem ostry, ale nie było okazji. Rozumiesz, jak to jest, kiedy się nie ma okazji?

Tak, rozumiałem doskonale, jak to jest, kiedy się nie ma okazji. Raz, dawno temu, kiedy jeszcze bawiłem się modelami, zginął mi model Tu 114, strasznie pechowo mi zginął, po pierwszym wypuszczeniu. Nie mogłem go znaleźć i posądziłem jakiegoś nieśmiałego chłopaka, że go zabrał. Dlaczego go posądziłem? Chyba dlatego go posądziłem, że nie był z naszej ulicy i nie należał do paczki, która mnie otaczała, lecz zawsze trzymał się z daleka, samotnie przy murze i stamtąd obserwował chciwie nasze samoloty. Wtedy gdzieś nam zniknął w czasie zamieszania. Dlatego go posądziłem. Chłopiec płakał. I nigdy go już nie zobaczyłem na naszej ulicy. A potem, w jesieni, kiedy liście opadły, znalazłem mój model wysoko na koronie drzewa. I od razu przypomniał mi się tamten chłopak i chciałem wszystko naprawić, ale już była jesień i było zimno, więc może wyjechał do swojego miasta, jeśli tu był tylko na wakacjach, dość że nie miałem okazji, żeby mu powiedzieć". „Niesłusznie cię posądziłem, jesteś swój chłop i możesz bawić się z nami". I noszę tę sprawę niezalutwowaną, a kiedy sobie o niej przypomnę, robi mi się smutno, choćbym był w

najlepszym
nastroju.

To jest właśnie tak, kiedy sienie ma okazji, ale Rezus przecież miał okazję. Widywał nas codziennie. Dlaczego więc mówi, że nie miał okazji. Zapytałem go o to.

Pokręcił głową:

-164-

— Nie o taką chodziło okazję. To była trudniejsza sprawa. Ja musiałem mieć zupełnie specjalną okazję. Widzisz, trudno było opowiedzieć tak zwyczajnie, jak rzeczy stoją. Gdybym wam powiedział kiedyś tak po prostu, jak rzeczy stoją, nie uwierzylibyście. Nie byłem dla was zwykłym nauczycielem. Nasz dyrektor określił to bardzo trafnie. „Stał się pan dla nich pojęciem ponadczasowym - powiedział - niezniszczalnym i nietykalnym jak platynowy wzorzec metryczny”. Czy wiesz, gdzie znajduje się platynowy wzorzec metryczny? — zapytał mnie nagle.

— W Sevres pod Paryżem, panie profesorze - odparłem.

— Tak jest, mój chłopcze. Ale pan dyrektor zapomniał, że nawet ten wzorzec nie jest wieczny i będzie zastąpiony.

— Tak, panie profesorze, teraz ma być jeszcze doskonalszy wzorzec elektronowy.

— Doskonale, Puzon. Widzę, że orientujesz się w materiale. Otóż jeśli nawet ten platynowy wzorzec nie był doskonały, cóż dopiero człowiek. Och, to była źle dobrana przenośnia, bo ja nie jestem platynowym wzorcem, jak sobie ubzduraliście. Powiem ci w tajemnicy — ściszył głos — że ten spokój śmiertelny, jaki nastawał w klasie, kiedy ja wchodziłem na lekcję, upokarzał mnie głęboko i bolał. Nienawidziłem go. Doszło do paradoksu, że ja... pomyśl, ja, „ostry Rezus”, czekałem z upragnieniem na jakiś kawał z waszej strony, chciałem, żebyście raz zachowali się niesfornie jak na lekcjach innych nauczycieli. Bo wtedy bym uwierzył, że nie jestem dla was martwym, obojętnym wzorcem, że istnieją jakieś ludzkie sprawy między nami. Ale wyście byli bez zarzutu i nie robiliście nic. I dlatego, kiedy ty napisałeś na tablicy „Rezus”...

— Panie profesorze... — wykrztusiłem czerwony. Ale on powstrzymał mnie ręką.

— Więc kiedy napisałeś na tablicy „Rezus”, zabiło żywiej moje stare serce i pomyślałem sobie, że jeszcze nie wszystko stracone, a sprawa nie wygląda tak źle, jak myślałem. Przez czterdzieści lat nikt tak nie napisał, a ty napisałeś... oho, coś się zmienia. Będę zwyczajnym nauczycielem, starym, trochę śmiesznym, ale będą mnie odwiedzać moi uczniowie i będziemy z sobą rozmawiać. No, i nie pomyliłem się, bo przecież ty przyszedłeś. Dlatego jestem ci wdzięczny, mój chłopcze... — przygarnął mnie do siebie.

Gardło mi się ścisnęło i oczy mnie dziwnie zapiekły. Pomyślałem sobie, że to wspaniałe, że Rezus, straszliwy Rezus, jest właśnie taki, że właściwie tak mało nas dzieliło. Co nas właściwie dzieliło? Ale im więcej myślałem, jak nadzwyczajny, jak morowy jest Rezus, tym bardziej robiło mi się głupio. I coraz bardziej czułem się pogiębiony, że profesor mówi mi takie rzeczy. Takich rzeczy nie mówią sobie przecież zazwyczaj uczniowie i profesorowie. A ja nie mogłem odpłacić mu szczerością za szcze-

-165-

rość i prawdą za prawdą, choć słowo dają, tak bardzo chciałbym. Bo moja prawda była plugawa. Przecież przyszedłem go okraść.

Na ulicy już od kilku minut rozlegał się niecierpliwy gwizd moich kumpli. Patrzyłem zmieszany i pełen trwogi na profesora.

Rezus musiał zauważyć zmianą na mojej twarzy, bo rzekł zakłopotany.

— Też sobie znaleźliśmy temat do rozmowy. Zagadaliśmy się na śmierć, a tam stygnie herbata - podniósł się z poduszek i zaczął zakładać pantofle.

- Niech pan nie wstaje - powstrzymałem go przestraszony - niech pan się nie rusza, ja sam... ja sam przyniosą wszystko, co potrzeba.

Pobiegłem do „laboratorium”. Czerwony zeszyt leżał wciąż na swoim miejscu. Wystarczyło tylko sięgnąć. Wyciągnąłem rękę... znów ją cofnąłem... coś zaczęło mnie uwierać przy kołnierzyku. Odchrząknąłem i poprawiłem sobie kołnierzyk i krawat. Myślałem: „Rezus jest wspaniały, ale

byłoby wspanialej, gdybym ja był taki, jak myśli Rezus. Ale nie jestem. Jestem w sposób oczywisty podły. Zagrałem tylko komedią, a teraz zrobią swoje. Chociaż właściwie szkoda, że to była tylko komedia. Dlaczego taka bycza scena ma być tylko komedią?" I pomyślałem, że właściwie tak mało brakuje, żeby to wszystko nie było komedią, ale prawdziwą, najprawdziwszą prawdą... Wystarczy tylko...

Więc niech się stanie prawdą.

Zostawiłem czerwony zeszyt na miejscu, odsunąłem firankę i dałem sygnał chłopakom: „nie udało się, wpadka". A potem zacząłem nalewać do szklanek herbatę.

W lustrze naprzeciw zobaczyłem swoją wystraszoną jeszcze twarz piętnastoletniego dryblasza z pierwocinami wąsów pod nosem i z nieco odstającymi uszami. „Więc wszystko na nic - na nic chwytły dzudo, ćwiczenia na drążku, na nic encyklopedyczne studia i zadymianie szkoły. Nie będą równy. A rivederci, Roma. Przypatrz się - pomyślałem - tak wygląda twarz kretyna". Pomyślałem i uśmiechnąłem się.

„Czemu się uśmiechasz, kretynie? Z czego się cieszysz?" — wykrzyknąłem w duchu, ale uśmiechałem się coraz bardziej.

166-

Spis treści

Lalu Koncewicz, broda i miłość.....	3
Wielka heca.....	34
Czy będziesz moim tatą?	
Niezwykły powrót zaginionego ojca.....	54
Fałszywy trop.....	61
Ta zdradziecka Julita Wynos.....	85
Spisek słabych.....	114
Trzynasty występ.....	127
Równy chłopak i Rezus.....	153

Wydawnictwo Zielona Sowa poleca książki Edmunda Niziurskiego:

/Jutro klasówka

/ Klejnoty śmierci, czyli tajemnica awaramleów

/ Księga urwisów

/ Lalu Koncewicz, broda i miłość oraz inne opowiadania

/ Pięć melonów na rękę

/ Sekret panny Kimberley

/ Szkolny lud, Okulla i ja

/ Tajemnica Dzikiego Uroczyska

/ Żaba, pozbieraj się!

wkrótce ukażą się:

/ Siódme wtajemniczenie / Sposób na Alcybiadesa / Tajemniczy nieznajomy z ZOO